ZORZA.

ZORZA

DZIENNIK

MŁODEMU WIEKOWI

POŚWIĘCONY.

Kto garstką ziemię nosi, góry się doczeka.
Czyń każdy w swojém kółku co każe duch boży
A całość sama się złoży.

K. Brodziński.

TOM V.

WARSZAWA,

W DRUKARNI POD FIRMĄ M. CHMIELEWSKIEGO

przy ulicy Senatorskiéj. Nr 463.

1844.

Wolno drukować z warunkiem złożenia w komitecie Cenzury po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby exemplarzy.

w Warszawie dnia 23 *Lutego (7 Marca)* 1844 *r.*

Cenzor starszy i naczelnik

Niezabitowski.

WSPOMNIENIA

Kobiet wsławionych w Polsce

IV.

MAŁGORZATA Z ZEMBOCINA.

Po zgiełku i wrzawie nastąpiła cisza i pokój, rycerstwo polskie wyjechało za królem Bolesławem pod Kijów, gdzie go chęć sławy i przysłużenia się przyjacielowi powiodła, na podwórcach nie rżą ani tętnią ochocze rumaki, nie chrzęści zbroja, nie słychać wojennych pieśni; — po kościołach ciche tylko modły kapłanów wznoszą się pod niebiosa, a w szlacheckich domach za zamkniętemi wrotami, przy ognisku warczą w niewieściém ręku wrzeciona, bo dawne niesie przysłowie że: praca czas skraca; więc żony i córki przy kądzieli a motowidle spodziewały się snadniéj mężów i ojców doczekać.

W Zembocinie, o milę od Krakowa, w starym modrzewim dworcu, młoda piękna Małgo-

rzata między dwiema siostrami, na wyścigi z niemi pracuje;— żegnając ją mąż zapewnił że wyprawa ta krótko potrwa, czynna zatém i zabiegła Małgorzata pragnie w czasie jego nieobecności przysposobić potrzebne szaty i pokrycia, by za powrotem małżonka więcéj mieć wolnego czasu na dopełnienie obowiązków gościnności, tyle chwil zabierających dawnym polskim gospodyniom.— W ciągłém zajęciu mijał dzień za dniem, tydzień za tygodniem; Małgorzata nie wychodziła ani wyjeżdzała w odwiedziny, do Krakowa nawet jeździła tylko w wielkie uroczystości, bo konie i ludzie za panem na wojnę wyszli, a baczna gospodyni nie chciała pozostałych od uprawy roli odrywać,— ale za to, w żembocińskim kościele codzień na mszy, w niedzielę zawsze na summie i nieszporach bywała; otoczona czeladzią i kmiotkami swéj włości, gorąco błagała nieba o pomyślność królewskiéj wyprawy, o powrót małżonka; i można powiedzićć że życie jéj płynęło między przybytkiem pańskim, domowym ogniem i wiejskiemi chaty do których z radą i pomocą na pierwsze wezwanie spieszyła.

Co się działo za obrębem który sobie dobrowolnie zakreśliła, Małgorzata nie pragnęła wiedzieć i nie wiedziała rzeczywiście, a przecięż wkoło niéj straszliwie wszystko się zmieniało.— Niewiasty z początku zajęte domową pracą, nie

mogąc się doczekać powrotu mężów i braci sprzykrzyły sobie ciche życie, i pomału po zabawę i pociechę poczęły się wychylać za domowe progi, przy rodzinnym stole przyjmować licznych a nie zawsze godnych gości, majątki trwonić na uczty i stroje.— Pola leżały odłogiem, waliły się puste stodoły, włościanie marli z głodu, dzieci bez starań i opieki macierzyńskiéj dziczały,— ludzie obojętni na cześć i sławę wzbogacali się cudzą szkodą,— zuchwalili się słudzy widząc w paniach niebaczność na dobre obyczaje, domy boże pustkami stały, a po dworach które tak niedawno jeszcze wzorem czystego rodzinnego życia były, rozlegał się odgłos gier i biesiad; grube żarty, zbytki w napojach i pokarmach wzrok raziły, bo pomieszały się wszystkie klassy społeczeństwa, a to nie skutkiem oświaty i miłości chrześcijańskiéj, lecz skutkiem zuchwalstwa jednych a poniżenia drugich.— Do tego, wieści od wojska niemile brzmiały; rycerstwo ujęte przepychem Kijowa, tonąc w zbytkach, zapominało o domach i rodzinach, nie myślało o oddalonym kraju choć rok za rokiem mijał, a obrażone tą obojętnością niewiasty, uważały ją za usprawiedliwienie swego postępowania.

I Małgorzacie długim się czas samotności wydawał, i ona nieraz pomyślała, że mąż mógłby już wrócić do domu, ale chrześcijanka, wiedzia-

ła że cudze winy nie usprawiedliwiają naszych błędów, że nawet za złe dobrém oddawać należy.— Smutne godziny zapełniała gorliwszą pracą, a kiedy już opatrzyła dom we wszelkie potrzeby, kiedy pewną była że Mikołaj za powrotem do Zembocina miły i wygodny spoczynek znajdzie, kiedy w jéj włości nikomu na odzieży nie zbywało, dzieła rąk swoich poświęciła ku ozdobie domu Pańskiego.

Dom jéj cichy i spokojny, włościanie szczęśliwi, uprawne łany bujnym plonem pokryte, były niemym lecz bolesnym wyrzutem dla sąsiadek i sąsiadów; a kiedy jeszcze po kościołach kapłani gromiąc występnych, panią na Zembocinie stawiali jako żyjący przykład cnoty, kiedy starcy pozostali w domach napominając niezbożne niewiasty, wysławiali życie Małgorzaty, niechęć i obojętność jaką dla niéj z dawna w sercach chowano, w nienawiść się zmieniły.— Niecni i nieogładzeni ludzie których niewiasty do siebie podniosły, przekonani że naśladowanie Małgorzaty nie przyniosłoby im korzyści, zapragnęli jéj zguby.— Nieznacznie zatém poczęto pracować nad tém by się zbliżyć do Zembocina, by jego panią wciągnąć w swoje kółko, i tym sposobem zniszczyć otaczający ją urok, lecz ona nieprzewidując podstępu, samą wytrwałością w przyjętym trybie życia zniweczyła te zamiary; — teraz dopiero

niechęć ogólna wybuchnęła jawnie: — Małgorzata okrzyknięta pyszną i wzgardliwą stała się celem najprzykrzejszych wymówek; w kościele, na drodze, w własnéj jéj wsi nawet, grona zepsutéj młodzieży ścigały ją niezasłużonemi obelgami. — Cnotliwa niewiasta chcąc sobie przykrości, a ziomkom winy oszczędzić, zamknęła się w domu, sądząc że o ukrytéj zapomną; — ale inaczéj się stało: — modrzewie ściany wśród których tak czyste i ciche płynęło życie, raziły jeszcze występnych; zbrojne kupy (jak mówią kronikarze) otaczały mieszkanie Małgorzaty, grożąc jéj mieczem i pożogą. — Serce jéj mocne wiarą i cnotą nie ulękło się pogróżek; — nocą, w milczeniu opuściła lube swoje ustronie, w towarzystwie sióstr zamknęła się w dzwonnicznéj wieży zembocińskiego kościoła, przy pomocy wiernego sługi zaparła i kamieńmi drzwi założyła, a tam, między niebem i ziemią, między prześladowcami i opiekunem, w towarzystwie dwóch dziewic, przebyła kilka miesięcy, za całą żywność mając szczupłe zasiłki, które w spokojnych chwilach stary poczciwy sługa składał w koszyk spuszczany z wieży na sznurze.

Nakoniec wrócił król Bolesław z Kijowa; okropne kary, wstyd, oburzenie i wzgarda przybyłych rycerzy stały się udziałem większéj części niewiast; — Mikołaj z Zembocina na kolanach skła-

dając Bogu dzięki za cnotliwą i odważną małżonkę, własnemi rękami odwalał tymczasem drzwi jéj dobrowolnego więzienia. Imię Małgorzaty z czcią i uwielbieniem z ust do ust przechodząc, ośm już blisko wieków przetrwało, ale największą jéj na ziemi nagrodą, było bezwątpienia szczęście małżonka, i świadectwo czystego serca i sumienia.

P. K.

SZMUGLEWICZ

MALARZ POLSKI.

Franciszek Szmuglewicz był synem dekoratora Augusta III.— Szymon Czechowicz wuj jego gdy w młodym siostrzeńcu ujrzał zaród talentu malarskiego polecił go J. X. Gedroiciowi biskupowi źmudzkiemu. Szanowny biskup młodego ale wiele na przyszłość rokującego malarza wysłał do stolicy papiezkiéj i oddał na naukę Maronowi, szwagrowi Rafaela Mengsa malarza niderlandzkiego.

W Rzymie zatém Szmuglewicz przepędził z wielką korzyścią lat 22 i dopiero po śmierci Czechowicza powrócił do Warszawy, gdyż wielce był zatrudniony przez cudzoziemców a szczególniéj Anglików tak lubiących przechowywać i naprawiać starożytne obrazy.

Szmuglewicz położył wielkie zasługi w ułożeniu Statuarjusza (przepisów) które ze swym dozgonnym przyjacielem Breno i Terme di Tito skreślił. — Breno zostawszy przy dworze Rossyjskim jeneralnym inspektorem zabudowań w Petersburgu, za panowania N. Cesarza Pawła I^{go} mając polecone wystawienie zamku Ś. Michała, przedstawił go Monarsze.

Szmuglewicz w skutek tego został wezwany z Wilna do Petersburga gdzie zajmował się pracą, a kaplicę dworu upiększył obrazem Ś. Michała strącającego złych duchów, i wielu innemi dziełami zdobiącemi sufity tego zamku.

Ale wielkiém nieszczęściem został dotknięty, bo słabością oczu, które wspólnie z ręką stanowią skarbiec malarza; gdy Szmuglewicz przybył do Wilna na professora malarstwa przy dawniej tam istniejącym uniwersytecie — jeszcze się ona powiększyła; a mocniéj jeszcze dotknęła go w Petersburgu.— I dla téj to przyczyny wiele malowideł jego lubo dobre, niesą jednak należycie wykończone. — Ukończywszy polecone pracę powrócił znów do

Wilna i tam do roku 62 życia swego był professorem w uniwersytecie.

W kościele grecko-unickim XX. Bazyljanów w Warszawie pozostały trzy obrazy tego godnego pamięci męża— w wielkim ołtarzu jest umieszczony obraz uśpienia N. Panny Marji, a po bokach ŚŚ. Onufry i Bazyli są najpiękniejszemi z utworów jego pendzla— po różnych kościołach i u znakomitych osób znajdują się jego talentu płody— kościół na Łysej górze bogaty w nie także, jednak prawie wszystkie są znacznie uszkodzone.

Poprzednie jego obrazy wielce się różnią od następnych; łatwo sobie wytłómaczyć że słabość oczu a wreszcie wiek to spowodował.

Rysunki jego są zachwycające, robił je z taką łatwością i tak wiele, że trudno wierzyć temu kto nie patrzył na jego pracę.

Być może że znajdą się i niedokładne pomiędzy niemi, ale zawsze w nich przebija dobry smak i śmiałość jemu tylko właściwa.— W optyce i architekturze celował również— a budowniczowie często wzywali jego pomocy lub porady.— Krajobrazów zostawił wiele. Portrety robił jedynie dla znajomych, nie jego bowiem to pole było— jednak i tu trzymał się drogi którą sobie obrał.— Portret Xiężnéj Lubomirskiéj marszałkowéj z pamięci wymalował, i tak schwycił podobieństwo, że

go za arcydzieło pod tym względem uważano, i znaczne zań summy ofiarowano malarzowi, który jednak zbyć go nie chciał;— dopiero po śmierci Szmuglewicza P. Ginter dostał go w posiadanie.

Przy takim talencie obdarzony był także miłym charakterem — w obcowaniu słodki, przyjaciel wierny, dla rodziny był ojcem i dobrodziejem, i przez miłość ku niéj, aby więcéj mógł ją obdarzać, nie obrał sobie małżonki.— Niektórzy twierdzą jakoby jego rodzina pochodziła ze Żmudzi, lecz Szmuglewiczowie nigdy tam nie byli.

Brat jego starszy Antoni miał także wziętość w Warszawie, szczególniéj malował dekoracje teatralne i ozdoby pokojowe.

Juljan Heppen.



WSPOMNIENIA WYGNANKI.

Wstęp.

Przed kilkunastu laty żyła w Warszawie kobiéta średniego wieku; postać jéj szczupła i wysoka, twarz nadzwyczajnie blada, szara suknia, szal czarny, i kapelusz z czarną zasłoną znane były wszystkim mieszkańcom Starego-miasta, bo w téj części Warszawy obrała sobie schronienie.— Nie żądała ona nic od nikogo, nie wchodziła z nikim w stosunki, służyła sobie sama, przy kupnie rozmaitych do życia potrzebnych przedmiotów mówiła złą polszczyzną, a gdzie było można po francuzku.— Sąsiedzi nazywali ją różnie: pokutnicą, warjatką, najczęściéj starą panną, ale kilka osób znających ją z bliska wiedziało: że się nazywała Miss Betty, że była angielką, że z ro-

dziną francuzkich wychodźców podróżowała po całym prawie świecie, i że z znacznym zapasem pieniędzy a znaczniejszym jeszcze rozlicznych wiadomości, osiadła na resztę życia w naszém mieście.

Dzieckiem jeszcze będąc znałam ją z widzenia, późniéj kiedy siedzibę swoją przeniosła do domu w którym rodzina moja mieszkała, sąsiedztwo, kilka drobnych przysług które odemnie przyjęła, a najwięcéj może moja młodość zbliżyły nas do siebie; od ukłonów przyszło do rozmowy, daléj do wspólnych przechadzek po tarasie zamkowym, téj ulubionéj schadzce ówczesnych staro-miejskich dzieci; nakoniec, po roku może znajomości otworzyły się dla mnie drzwi jéj mieszkania, które w dziecinnéj wyobraźni rozkołysanéj dziwnemi o miss Betty powieści, malowałam sobie jak czarodziejski jaki przybytek.

Na trzeciém piętrze były dwie nieduże izdebki, czysto wybielone, z białą co tydzień mytą podłogą; w pierwszéj z nich kominek służył do przyrządzania posiłku, tu stały gospodarskie sprzęty, kilka krzeseł, stolik do roboty, w oknach wychodzących na jezuicką dzwonnicę, za białą firanką wisiały klatki z kanarkami, i stały kwiaty nie drogie lecz zawsze świeże.— W téj izdebce miss Betty przyjmowała osoby, które ciekawością lub życzliwością wiedzione odwiedzały ją czasa-

mi; w drugiéj zaś gdzie wszystkie swoje chowała skarby, bywała tylko mała liczba wybranych jéj przyjaciół, i to w chwilach szczególnego usposobienia gospodyni, w chwilach kiedy o swojéj i swoich przeszłości mówić miała ochotę.

Drugi ten pokoik możnaby wziąść za muzeum rzadkich i kosztownych rzeczy; gdyż oprócz stołu, kanapy, i kilku krzeseł, cały obwód jego zajmowały szafy z szklannemi drzwiami, a w nich za zielonemi firankami wisiały nieznane mi w ów czas tkaniny, sieci, futra, leżały ogromne muszle, igły, iglice z prostego drzewa, kamyki różnego kształtu, owady, motyle, naczynia gliniane,— najważniejsze zaś miejsce zajmował wielki nowoziemski pies, starannie wypchany, i dwie śliczne papugi.— W pierwszych czasach mojego bywania w tym przybytku osobliwości, mniemałam że miss Betty zajmuje się bardzo nauką historji naturalnéj, lecz późniéj, kiedy co wieczór wolno mi było siedząc na małym stołeczku słuchać jéj opowiadań;— kiedy widząc łatwość z jaką rozumiałam jéj mowę dawała mi do tłumaczenia listy, i wypisy z dziennika osoby bardzo jéj drogiéj, poznałam: że przedmioty te nie dla umysłu, lecz dla serca jéj nieopisaną wartość miały, bo do każdego przywiązywało się wspomnienie istoty, którą miss Betty przez pierwszą połowę życia swojego wśród zgryzot i udręczeń po całym

szukała świecie, a któréj stratę opłakiwała przez resztę dni swoich.

Przez kilka lat znałam miss Betty, towarzystwo jéj przyczyniło się znacznie do rozwinięcia umysłu mego, w jéj rozmowie łatwiejszą jak w książkach znajdowałam naukę, a pomna jak w młodym wieku chciwie chwytałam szczegóły jéj opowiadań, mniemam że i czytelnikom moim przyjemnie będzie dowiedzieć się, zkąd pochodziły osobliwości zamknięte w izdebce miss Betty, i dla czego tak miłémi jéj były.— W następujących zatém kartkach obok wiadomości których rzetelność stwierdzić można świadectwem pism i ludzi uczonych, zamyślam podać dzieje osoby,zajmującéj najpiękniéjszemi przymiotami serca i umysłu, zgasłéj wprzód nim dziwne jéj życia wypadki do powszechnéj wiadomości dojść mogły;— część ich w wprawdzie należy do ogółu, gdyż połączoną jest z ważnémi dla ludzkości zdarzeniami, lecz część bliższa jéj serca, myśli, uczucia, wielokrotne walki, nikomu prawie znanemi nie są, bo tylko miss Betty udzielić ich była w stanie, a po śmierci jéj w mojéj jedynie pozostały pamięci.

I.

Wilton-Hall.

Przy końcu ośmnastego wieku, o dwie mile od Glasgowa stał zamek Wilton-hall zwany, odwieczna dziedzina Wiltonów rodziny; — Starożytna to była budowa, ciężka, niezgrabna, ręką czasu przyćmiona, okna jéj w nierównych od siebie powybijane odstępach, świadczyły, że wznosząc ją nie zważano bynajmniéj na harmonję i zewnętrzną ozdobę, a dwie szare wieże sterczące po bokach zamku jak dwaj posępni strażnicy, drzwi z grubych tarcic dębowych żelaznemi prętami obite, i szczątki starego muru w którym gdzieniegdzie strzelnice widać było, dowodziły: że miejsce to nie zawsze było bezpiecznêm, że się tu częste i ciężkie staczały walki.

. W czasie o którym wspominam, miejsce kłótliwych i bitnych baronów zajął spokojny lord Wilton, biegły dworzanin i polityk, a młoda piękna jego małżonka zasiadła w szerokém krześle, które przed laty poważnym, surowym szkockim *myladies* służyło; — zamek zaś lubo nie zmienił jeszcze ponuréj powierzchowno-

ści swojéj, wewnątrz przecięż mieścił wszystko, czém tylko smak wytworny i wielkie dostatki ozdobić i umilić życie potrafią.

Pewnego ranka, na miękkim trawniku zajmującym środek ogromnego dziedzińca; sześcioletnie dziecię, w proste ubrane sukienki igrało z młodym wyżłem, a przy żelaznéj kracie na drogę wychodzącéj dwie osoby różne wiekiem, ubiorem, i ułożeniem żwawą prowadziły rozmowę.

Młoda dziewica w szkockich góralek ubraniu, w krótkiéj kratkowanéj spódniczce w czarnym gorsecie z pod którego cienkie białe rękawy szeroko na jéj drobne ręce spadały, ślicznémi błękitnémi oczyma poglądała na niemłodego człowieka stojącego po drugiéj stronie kraty, i potrząsając smutnie głową słuchała słów jego.

Mężczyzna ów, lubo porządnie ubrany, lubo łagodnie mówiący, miał jakiś dziki wyraz w pomarszczonéj twarzy,, a z wielkich czarnych oczu przemawiało obłąkanie, owa ciężka a tyle w Szkocji szanowana niedola.

— No Marjo! mówił: bądź dobrą dla ojca, daj mi jeszcze co więcéj.

— Nie mam ojcze kochany! odrzekła dziewczyna, przed tygodniem posłałam matce wszystko co miałam;— czyliż nie wiesz o tém?

— Nie wiem, bo już dawno nie byłem w domu,

— Jakto? krzyknęła z przerażeniem Marja, więcéj jak od tygodnia błąkasz się ojcze po drogach?— a biedna Betty?

— Biedna? spójrzyj na nią, jak jéj twarzyczka kwitnie, jak się oczy śmieją— biedna! cóż to jéj przy mnie brakuje?

Westchnęła Marja.

— Ależ ojcze! wszak sam kilku groszy żądasz odemnie?

— To co innego! to dla zaspokojenia mego przywidzenia, ale na potrzebach, na wygodach życia nigdy mi nie zbywa, bo.., widzisz... tobie, i pocichu mogę to powiedzieć— widzisz ten kij?... to laska czarnoksiężka, gdzie tylko stąpię przyjmują mnie mile, na pierwsze słowo otwierają się przedemną drzwi chaty i bramy pałacu, dla mnie najcieplejszy kącik, najlepsze jedzenie, najwygodniejsze posłanie,— jam pan całego kraju, a to wszystko moiéj lasce winienem, o! to talizman.

Marja znowu potrząsnęła głową, a w oczach łzy jéj stanęły, bo wiedziała ona że talizmanem ojca była utrata rozumu.

— Widzisz, mówił daléj: że Betty nie biedna;— za te kilka penców coś mi dała kupię jéj kolczyki; ale nie mam nic dla żony,— wracam z podróży, długiéj, dalekiéj, cóż żonie przyniosę?...

— Jeżeli o to idzie, zawołała wesoło Marja, oto masz ojcze kochany, weź ten pierścionek

ja się obejdę bez niego. a dla matki, oh! dla drogiéj matki mojéj, oddałabym wszystkie w świecie klejnoty, choćbym ich tyle miała co mylady.

— Dobraś dziewczyna! bądź zdrowa... A pamiętaj o przyrzeczeniu.... jak kiedy będziesz miała brylanty.

— W téj chwili otworzyła się krata, kareta lorda Wilton wjechała na dziedziniec, Marja poskoczyła ku dziewczynce która w igraszkach z wyżłem stoczyła się na brzeg trawnika, i o mało pod konie nie wpadła, a kiedy ją podniosła, już obłąkanego nie było przy kracie, już nawet głos brzmiący którym jakąś starą dziwaczną nucił piosnkę, znikł w oddaleniu,

Nie bardzo się tém zasmuciła Marja, gdyż szczególnym trafem Gilbert zapomniał maleńkiéj Elżbiety, a siostra troskliwa o los dziecięcia które obłąkany ze zbytku przywiązania wszędzie wodził z sobą, szczęśliwa była myślą, że na pół już zdziczała dziewczynka, powróci do zwyczajnego życia w zamku lady Wilton, któréj pozwolenie na to łatwo, się wyjednać spodziewała.

Skoro obiedwie siostry weszły do pokoiku Marji, Betty posiliwszy się cokolwiek, usiadła w starém krześle z poręczami, a znużona drogą i zabawą usnęła w krótce twardym snem dziecięcym;— młoda zaś pokojowa zajęła się przy-

rządzaniem domowego ubioru dla mylady, któréj co chwila wyglądano z Glasgowa.

Niedługo, stary Daniel, kamerdyner lorda, wszedł do pokoju, trzymając w ręku drewnianą głowę a na niéj ogromną wypudrowaną perukę; skłonił się ceremonialnie dziewczynie, i chcąc sobie w téj chwili przynajmniéj zyskać jéj przychylność, zaczął rozmowę od uwag nad pięknością śpiącéj Betty, daléj chwalił zręczność z jaką Marja opinała wstążkami koronkowy kornecik, a w końcu, niby od niechcenia dodał stary dworak:

— Już to wiadomo że panna Marja zręczną jest i umiejętną we wszystkiém, jak to panna wszystko w porządku utrzymuje! jak szale i futra od mólów chronić umie!— piękna to sztuka, i nieraz mnieby się także przydała, bo wyznam że choć już tyle lat mam zaszczyt zwać się kamerdynerem Mylorda, nie wiem jak naprzykład zapakować perukę na kilka miesięcy; a dopiero w przyszłym roku na zebranie parlamentu potrzebną będzie.— Może mi panna Marja udzieli swoich wiadomości?— a może nawet w dobroci swojéj zechce ten szacowny strój głowy wziąść pod swoją wyłączną opiekę?

— Bardzo chętnie! rzekło dziewczę nie mogąc się wstrzymać od uśmiechu, proszę postawić na

stoliku tę szanowną perukę, już ja ją do przyszłéj wiosny przechowam.

Układny starzec wśród ukłonów i podziękowań wysunął się za drzwi, a Marja zamknąwszy je na klucz, poskoczyła do drugiego wyjścia, prowadzącego do pokoju lady Wilton, która w téj właśnie chwili powróciła z Glasgowa.

Marja była ulubioną swéj pani, od kilku lat wzięta do zamku wyuczyła się wszelkich robót kobiécych; zręczna, przemyślna, głęboko pobożna, czasem wesoła jak dziecię, czasem jak poeta tkliwa, zjednała sobie względy Mylady, a przestając sama na jéj przychylności, hojne dary pani swojéj przesyłała matce, która o kilka mil od Wilton-hallu w maleńkiéj mieszkając chatce, pracowała usilnie na wyżywienie sześcioletniéj Betty, i męża, niegdyś jednego z najlepszych cieśli, dziś przez nieszczęśliwe spadnięcie z rusztowania pozbawionego rozumu.

Zmieniając ubranie, mylady opowiadała Marji, jakie widziała stroje i hafty, jakich nakupiła towarów, jak między wszystkiemi sklepami do jednego szczególniéj się tłoczono, bo w nim na krótki czas osiadł złotnik świeżo z Londynu przybyły, i posiadający zapas najbogatszych, i najmodniejszych klejnotów.

— Patrz na ten krzyżyk, jaka misterna robota! i łańcuszek stosowny bardzo, nieprawdaż?

— Prześliczny jest mylady!

— Niechże ci służy moje dziecię.

— Czy podobna pani! tak kosztowny klejnot.

— Nie drogo go kupiłam;— przytém, lubię żebym w domu nie sama tylko ładnie ubraną była, a tyś taka skąpa, że chyba ja o twoim stroju myśleć muszę.

Słowa te wymówiła lady Wilton z przyjaznym uśmiechem, bo wiedziała dla czego Marja tak oszczędną była dla siebie;— zarumienione dziewczę ucałowało z uczuciem jéj rękę, a lady Wilton rzekła daléj:

— Prócz potrzebnych sprawunków, pozwoliłam téż sobie na niemały zbytek;— spójrzyj na moją głowę Marjo! cóż?...

— Widzę pani,— oh! co za świetne piórko! czy to wszystko brylanty? o! to pewno nie mało kosztuje;— ale co téż dla pani zbyt kosztownėm być może!

— Jednakże długo się nad tém kupnem namyślałam, bo trzysta funtów szterlingów to ogromna summa!

— Trzysta funtów! prawda, to majątek! rzekła Marja.

— Dla ciebie;— ale dla bogatych i zbytek czasem bywa obowiązkiem; z czegóżby żyli kupcy i rzemieślnicy gdybyśmy się stroić nie chcieli?

— Pani zapewne każe to schować do swojéj gotowalni?

— Jeszcze nie; — chcę żeby mylord mój nowy strój zobaczył; — weźże kochanko toczek, który oto Robert przyniósł w tem pudełku, przymocuj do niego to strusie pióro, osadź je w szrubeczkę co tu pod brylantami ukryta, i przyjdź mi poprawić włosy.

Marja wyszła do swojéj izdebki, bo tam miała potrzebne do szycia narzędzia, odświeżyła stroik zmięty cokolwiek podróżą, przyszyła białe powiewne pióro, wpięła brylantową spinkę, myśląc mimowolnie, jak szczęśliwie i spokojnie biedna jéj matka żyćby mogła za summę na to świecidełko wydaną, i ustawiwszy toczek na podstawce wróciła do pani.

II.

Dziecinna zabawa.

Podczas gdy Marja zajmuje się przebieraniem lady Wilton, i układaniem przywiezionych nowości, maleńka Betty otworzyła oczy, przetarła je, otrząsnęła się z długiego snu, i ujrzawszy się samą, postąpiła ku drzwiom do sieni, by się na świeży trawnik wydostać, gdzie znajomy jéj wyżeł wy-

skakiwał ochoczo; lecz drzwi były zamknięte, przezorna Marja klucz z nich nawet wyjęła.— Betty, popatrzywszy oknem na dziedziniec, i słysząc głos Marji w przyległym pokoju pewną była że ją siostra w krótce uwolni, nie zbliżyła się więc nawet do drzwi lady Wilton, bo nawykła do wielkiego dla niéj uszanowania, lecz czynna i żwawa wynalazła sobie wnet zajęcie i zabawę.

Ogromna wypudrowana peruka najprzód ściągnęła jéj uwagę;— widziała ją ona poprzednio na głowie lorda Wilton, i dziecinnym zwyczajem wyobraziła go sobie w postaci drewnianéj głowy, a kłaniając się jej niziutko, rozpoczęła rozmowę, na jakąby się w obecności prawdziwego pana zamku nigdy zdobyć nie śmiała.

— Jak się masz maleńka?— dawno tu jesteś? jadłaś obiad? może ci czego potrzeba?— może chcesz pieniędzy?

Wszystko to niby w zastępstwie lorda jak najgrubszym wymawiała głosem, i za każdém pytaniem odpowiadała za siebie piskliwie:

— Zdrowam mylordzie!— przed godziną przyszłam z ojcem, ale nie wiem gdzie mi się podział.— Jadłam, dziękuję.— Jeżeli łaska mylorda, tobym prosiła o jedną z tych laleczek co na waszym stoliku stoją.— O! pieniądze! pieniądze! bardzo je lubię, a jeszcze białe, świecące, i ojciecby się ze mną niemi zabawił.

— A! otóż i Mylady! rzekła mała gadułka dygając przed czepkiem chwiejącym się na drewnianéj podstawce.— Jak pięknie ubrana! jak jéj do twarzy!— O! ale to nie sztuka, ładnemu we wszystkiém ładnie.— Zobaczę jak téż mylordowi w czepeczku będzie.

To mówiąc, wspięła się do stolika, i na gęste białe kędziory peruki włożyła wytworny toczek.

— Ha! ha! ha! a to zabawnie! wołała klaszcząc w ręce;— bo téż ja to jakoś na bakier wsadziłam.— No! teraz? pfe! szkaradnie!— już to widać panom w czepkach nie ładnie.

Zdjęła lekkie ubranie z peruki, lecz po chwili znów rzecze:

— W cóż mylorda ubiorę? — a! już wiem; odejmę ten świecący kawałek, to będzie korona; — i pusta dziecina nie znająca wartości rzeczy, śmiałą ręką odpiąwszy brylantowe piórko, zatknęła je w sztuczne skręty;— poprawia, przechyla, spogląda to w tą to w ową stronę; powtarzając wyrazy starego Daniela, które raz przypadkiem uchwyciła:

— A to feralny dzień jakiś! już widzę mylordowi nie dogodzę.— Ale kiedy tak, dodała: to nic nie dam;— proszę sobie zostać w téj umączonéj szopie;— nie! nie potrzeba korony, już się i tak ubieliła.

Lecz próżno chce odpiąć kosztowny klejnot,

liczne końce, szrubka i trzpień złoty zatonęły we włosach, i ile razy wyciągnie piórko z jednéj strony, tylekroć z drugiéj mocniéj je jeszcze zagłębi; po chwili, złoto i brylanty przypruszone obficie pudrem znikły prawie z przed oczu Elżbietki, a rozgniewana próżném usiłowaniem dziewczynka, trzepnęła jeszcze parę razy perukę drobną lecz nie lekką rączką, i odskakując od stołu rzekła:

— Już temu chyba sama Marja poradzi!

Nagle na spokojnym dziedzińcu Wilton-hallu niezwykły hałas dał się słyszéć; dzwonki, piszczałki, dzikie śpiewy jakieś zabrzmiały, Betty skoczyła do otwartego okna, i wnet lord Wilton, i jego peruka, i zakopana w niéj mniemana korona znikła jéj z pamięci.

III.

Cyganie.

Gromada cyganów w dzikich podskokach snuła się po dziedzińcu, czarne ich i twarde włosy unosiły się za każdém poruszeniem, ubiór dzi-

waczny, najczęściéj z różnobarwnych płatów złożony, mężczyzni z kijami w ręku i torbami na plecach, kobiety z dziećmi w płachtach na ramionach zawieszonych, starsze dzieci zaledwie ubrane, a wszystkich twarze ogorzałe, rysy ostre, język obcy, i zręczne przełamywanie się w nieznajomym tańcu malowniczy przedstawiało widok.

W samym środku gromady, na dwójkólnym wózku siedział starzec poważny;— twarz jego piękna lubo równie jak innych ogorzała, włosy zupełnie białe spadające mu na ramiona, ubiór prawie cały, i kapelusz na głowie odznaczały go jako naczelnika;— i rzeczywiście był on przedmiotem czci i poszanowania całéj czeredy, był to król cygański, jedyny ich władca w całym kraju, który również jak oni, bez domu, bez rodziny, wędrował po całéj Szkocji, i dziś w jedném, jutro w drugiém zgromadzeniu odbierał należne sobie hołdy, udzielał nauki, i wymierzał sprawiedliwość.

Przybycie tych niespodziewanych i nieproszonych gości, całą ludność zamkową ściągnęło na dziedziniec, nawet lady Wilton nie mogła się oprzeć ciekawości, i pochylona w oknie poglądała i przysłuchiwała się z zajęciem jak cyganki to z kart, to z ręki wróżyły służącym, i jak ci w miarę złych lub dobrych przepowiedni, darzy-

li wróżki, już pieniędzmi, już do stroju potrzebnémi przedmiotami.

Stary Daniel, uważający się za pierwszego pomiędzy zamkową służbą, a niemogący się jednak oprzeć żądzy zbadania przyszłości swojej, zbliżył się do króla cygańskiego, który dotąd nie mięszał się bynajmniej do swoich podwładnych, i podając mu na dłoni kilka sztuk monety rzekł:

— No stary! powiedz, co mnie czeka?

Starzec podniósł się dumnie, a odtrącając rękę Daniela odpowiedział:

— Ja z takich rąk nie wróżę; — ale.... dodał zbliżając się z powagą pod okno lady Wilton; — jeżeli mylady pozwoli mi swéj dłoni, okażę co umie Gilpin z Snowdonu.

Tak nagłe przemówienie zmieszało nieco lady Wilton, lecz kiedy w niepewności czy ma zezwolić na żądanie starca, poglądała dokoła, maleńka główka Betty ciekawie z narożnego wychylona okna, podała jéj myśl doświadczenia sztuki Gilpina, i ubawienia się jego kosztem.

— Nie pragnę wiedzieć przyszłości, rzekła do starca, ale oto moja córka! dla niéj mi powróżcie. — Marjo! zejdź z miss Betty na dziedziniec, dodała odwracając się do swojéj ulubionéj, a ciszéj rzekła: — nie wydaj tajemnicy.

Gilpin przenikliwym wzrokiem rzucił na twarz dziecięcia; twarzyczka świeża, jasne włosy Betty zdawały się miłe na nim sprawiać wrażenie, lecz kiedy zeszła z Marją na dziedziniec, kiedy ujrzał proste jéj ubranie, doszedł podstępu lady Wilton, i pewnie ją za to ukarać postanowił, bo wpatrując się w dziewczynkę zmarszczył nagle gęste brwi swoje, potrząsnął głową, i ponurym przemówił głosem:

— Piękne masz rysy dziecino, i dobre serduszko, ale lepiéjby ci było na ten świat się nie rodzić, bo z twojéj przyczyny zakrwawi się serce matki i ojca twego, a najmilsze ci istoty do zguby potrącisz.

Przelękniona Marja schwyciła siostrę na ręce, a przyciskając ją do piersi, blada, drżąca, przybiegła do pokoju pani, która również żałując żartu swego, rzuciła starcowi garść pieniędzy, i dała znak ręką by się z całą gromadą oddalił.

Jeszcze przez czas jakiś cyganie wili się po dziedzińcu, jeszcze szmer ich mowy dochodził do okien zamku, nakoniec wszystko ucichło, żelazna krata zamknęła się za nimi, i każdy do swego zatrudnienia powrócił.

Lady Wilton zatrzymała przy sobie Elźbietkę, i chcąc nagrodzić chwilowy przestrach, którego ją mimowolnie nabawiła, posadziła dziecię przy

stole założonym rycinami, dała jéj paczkę cukierków, kilka kokard z gotowalni, a sama siadłszy przy niéj, patrzyła z zajęciem na zabawę dzieciny, i odpowiadała łaskawie na tysiączne jéj pytania.

Marja wszedłszy do swego pokoju, poczęła go porządkować;— pamiętała ona przyrzeczenie Danielowi dane, lecz że za kilka dni miała wydobywać na zimę futra i szuby z letniego schowania, odłożyła zatém opatrzenie peruki do owego czasu, i dla uprzątnienia miejsca, wstawiła ją tymczasowo w szafę, gdzie stare suknie chowano.— Głośny śmiech Elżbietki w przyległym pokoju zwrócił nagle jéj uwagę;— baczna Marja obawiając się by jéj siostra zbytnią pustotą nie naraziła się pani, weszła do lady Wilton;— lecz w téjże prawie chwili, przy kracie dziedzińca dał się słyszéć głos dobrze jéj znajomy, wołający:

— Betty! Elżbieto! moje dziécię! wróć do ojca!

A po chwili tenże sam głos wołał gniewnie:

— Ach! porywcy! nie chcecie mi oddać mojéj córki? otwierajcie! otwierajcie! bo wyłamię kratę.

I rzeczywiście Gilbert silną dłonią wstrząsał żelazne pręty.

Marja ujęła siostrę za rękę, a chcąc czémprędzéj zapobiedz dalszym ojca uniesieniom, przez

pokoje pani zbiegła do drzwi wchodowych, w kilku skokach przebyła dziedziniec, i rzekła do Gilberta:

— Daruj mój ojcze! myślałam żeś mi Elżbietkę na parę dni zostawił.

— Nie, o! nie! ja bez niéj żyć nie mogę; — prawda że czasem o wszystkiem, i o niéj nawet zapominam, ale to nie na długo.— Dziś oto, odszedłem ztąd kawał drogi, bliżéj mi było do domu niż do ciebie, a przecież wróciłem.

Obłąkany uchwycił dziewczynkę na ręce, przycisnął ją silnie do piersi, i skinieniem głowy pożegnawszy starszą córkę, oddalił się w tym samym co rano kierunku.

Marja wracając od kraty spojrzała ku oknom zamkowym;— w jedném z nich stała lady Wilton, i dawała jéj ręką znaki pośpiechu: dziewczyna weszła żwawo do pokoju, a ujrzawszy w nim mylorda, domyśliła się że pani pragnie pokazać mu nowe swoje brylanty; wbiega więc do swojéj izdebki chwyta czepek leżący na stole, oddmuchuje strusie pióro, lecz brylantowe?.... wiemy gdzie spoczywa.

Skłopotana Marja przerzuca wszystko na stole, schyla się na podłogę, patrzy po wszystkich stronach, nakoniec śmiertelnie blada i drżąca, z obłąkanym wzrokiem wchodzi do pokoju lady Wilton.

— A co Marjo? rzecze ta z uśmiechem nie postrzegając jéj zmiany.

— Ach pani!

— Cóż ci jest? czyś słaba Marjo?

— Nie, ale to piórko!....

— Cóż?....

— Zginęło!

— Pióro brylantowe zginęło!... wieść ta rozległa się echem po całym zamku; — uczciwi służący dbali o swoją sławę zebrali się w salonie pragnąc państwu wyrazić ubolewanie swoje, i przekonać ich że są wszyscy obecni, i gotowi do szczerych odpowiedzi; mylady z mężem raz jeszcze przejrzeli izdebkę Marji;— piórko zarzucić się nigdzie nie mogło, przez pokój pani nikt nie przechodził prócz Marji... lecz drugie drzwi otwierały się do sieni i na boczne wschody; tamtędy mógł wejść kto obcy!....

— Czy od powrotu Mylady był kto obcy w dziedzińcu zamkowym?— zapytał lord Wilton zgromadzonéj czeladzi.

— Banda cyganów, odrzekł z nich jeden.

— A więc cygani! cygani skradli brylanty mylady! w pogoń za cyganami! wołano ze wszech stron.

— Cierpliwie tylko! rzekł spokojnie lord Wil-

ton;— osiodłać cztery konie, czterech ludzi niech będzie gotowymi do drogi, i dopóki nie wrócę, niechaj nikt nie wychodzi za kratę.— Oddalił się do swego pokoju, i niedługo powrócił z czterema zapieczętowanemi papierami.

— Dick! weź ten list, i jedź Edymburgskim gościńcem, jeżeli spotkasz cyganów dasz o ich bytności znać w najbliższém miasteczku, i starszemu konstablowi oddasz to pismo.

— Wy trzéj, jedźcie razem do rozstajnéj drogi, tam rozłączcie się na trzy strony; uważać będziecie w którém miejscu są teraz cygani, i pospieszycie do Glasgowa, a tam każdy z osobna odda to pismo lordowi kommendantowi.

Czteréj ludzie wyjechali razem, lord Wilton kazał zamknąć kratę, i klucze wziązł do siebie, żona jego smutna i niespokojna chodziła po pokoju, a biedna Marja, przerażona strasznym wypadkiem, ogłuszona niezwykłym ruchem, z załamanemi rękami, na pół żywa padła na krzesło i zamknęła oczy, by prędzéj zebrać wstrząśnione i rozpierzchnione myśli.

Konie lorda Wilton biegły z szybkością błyskawicy, ludzie nie szczędzili sił swoich, mile angielskie mniejsze są znacznie od naszych, nie wyszło zatém trzech godzin od wyjazdu posłańców, gdy jeden z nich wrócił z wiadomością, że władze glasgowskie przy pomocy dragonów ujęły

całą cygańską bandę, lecz że naczelnik ich na własną prośbę, pod dobrą strażą przybędzie wkrótce do Wilton-hallu, chcąc jak mówił dać potrzebne objaśnienia.

IV.

Któż winny?

Niedługo, z związanemi rękami, między konstablami i dragonami ukazał się Gilpin z Snowdonu.— Wprowadzony do sali gdzie się zebrali wszyscy Wilton-hallu mieszkańcy, powiódł dumném okiem po zgromadzeniu, i zbliżając się do lorda Wilton, rzekł:

— Czy to są wszyscy słudzy zamkowi? Przeliczono obecnych, i oprócz jednéj kobiety od kilku dni nieopuszczającéj łóżka wszyscy byli przytomni.

— A więc rzekł Gilpin, jedna z stojących tu osób popełniła kradzież:

Okrzyk zgrozy i oburzenia wzniósł się dokoła, obrażeni słudzy zapomnieli na przytomność państwa, a gniewne i obelżywe wyrazy sypnęły się z ust wszystkich.

— Mylordzie! rzekł Gilpin, ludzie twoi znieważają mnie, ani ja, ani żaden z bandy przy któréj bawię w tym czasie, nawet szpilki nie wyniósł z twego zamku.

— Jednakże, rzekł lord Wilton, prócz was nie było tu nikogo obcego.

— Powtarzam, swoi wziąść mogli. Jam cygan, lecz krzywdy i obelgi nie zniosę; — mylordzie! cofnij swoje oskarżenie, bo jeżeli dowiodę niewinności mojéj i mojej gromady, wtedy ja dochodzić będę niesłusznie wyrządzonéj mi zniewagi.

Uśmiechnął się lord Wilton.

— Nie cofam oskarżenia! rzekł.

— Niech i tak będzie! — prowadźcie mnie do więzienia; — ale wprzódy — czy mógłbym widziéć miejsce gdzie miano popełnić kradzież?

— Owszem!

Poprowadzono Gilpina do izdebki Marji, a tłum sług idących za nim, szeptał zcicha:

— Pewnie podrzuci brylanty!

Gilpin stanąwszy przy stole na którym jeszcze leżał nieszczęsny czepek, powtórnie wezwał lorda Wilton, by cofnął oskarżenie, lecz napróżno.

— Którędyż miał wejść sprawca kradzieży? czy tą drogą którą szliśmy teraz?

— Co za niewiniątko! rzekł Daniel wszak widzisz drzwi drugie.

— Gdzież one prowadzą?

— Na dziedziniec przez kręte schody.

— Proszę je otworzyć!

Coraz bardziej zdziwiony śmiałością starca lord Wilton sam zbliżył się ku drzwiom, i ujął za klamkę, lecz otworzyć nie mógł.

— Mylordzie! zawołał Gilpin;— przysięgnę i ja i wszyscy moi, że te drzwi były również zamknięte w czasie naszéj bytności w zamkn.

Wszystkie oczy zwróciły się na Marję, która nieprzytomna sobie stała przy stole, i osłupiałym wzrokiem poglądała na Gilpina, który ją tegoż samego ranka tak swoją przepowiednią przeraził.

— Gdzie klucz od tych drzwi Marjo? rzekła łagodnie lady Wilton.

— Marja machinalnie sięgnęła do fartuszka, i podała klucz żądany.

Grobowa cisza zaległa pokój; litość, niespokojność, obawa o lubioną powszechnie Marję wszystkie serca zajęła.

— Teraz, rzekł Gilpin, wracajmy do Glasgowa; przed sądem przysięgłych dowiemy się kto winny.

P. K.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KOŚCIOŁEK Ś. STANISŁAWA
W ŻELECHOWIE.

Wposród różnych zamieszek krajowych zaginęły papiery i inne ślady początku Żelechowskiego parafialnego kościoła 1); wiadomo tylko, że był drewniany pod wezwaniem S. Stanisława, hojnością staropolskiéj pobożności szczodrze uposażony w srebra, aparaty i inne przedmioty do służby Bożéj potrzebne. Kościół ten razem z pro-

1) Ks: Józef Ostrowski kanonik koleg: Opatowskiéj proboszcz Żelechowski przy spisie nowego inwentarza użala się i bardzo boleje że nieszczęśliwe wojny ze szwedami za czasów Augusta II. stawszy się przyczyną wielu nieszczęść dla całego kraju i kościół Żelechowski ze wszystkiego odarły— a on z mieszkańcami po lasach kryjąc się, ocalenia szukał.

bostwem dnia 27 maja 1682 r. stał się pastwą płomieni, obraz jednakże S, Stanisława tytularnego patrona parafji z dogorywających głowni bez najmniejszego uszkodzenia wydobyli mieszkańcy Żelechowa i w kaplicy drewnianéj za miastem wśród lasu umieścili; — tam (nim nowy kościół stanął) lud znękany wojną, powietrzem i głodem wzywał przyczyny S. patrona nieszczęśliwéj krainy. Żywa wiara, gorące modły, czyste niejedno sumienie jawną odebrało pociechę, z téj przyczyny miejsce to stało się w okolicy głośne i zawsze od pobożnych licznie nawiedzane. W dokumentach kościelnych, nawet w dekretach biskupich przy wizytach kościoła piszą o tym wizerunku *gratiosa imago* to jest: łaskami słynący obraz, albo inaczéj mówiąc: Bóg w tém miejcu za wstawieniem się S. Patrona okazywał łaski, szczególniéj gdy tego świętego przyczyny wzywano z dobrą wiarą i ufnością.

Stanisław Linkhaus dziedzic dóbr Żelechowa, w 1691 zaczął budować nowy farny kościół murowany który dotąd stoi, lecz go nie dokończył zupełnie, śmierć tamę jego zamiarom położyła; kościół miał mieć dwie wieże i ozdobną facjatę.

W roku 1707 dobra przeszły na własność dziedziczną Mateusza Rzewuskiego hetm: W, K. wojewody podlaskiego — nowemu kościołowi — nowe uposażenie nadał. Za tytuł Zwiastowa-

nia N. Marji Panny obrano i takowy Rzym aprobował. Obraz cudowny pozostał w kaplicy prywatnie istniejącéj za miastem,którą tenże Mateusz Rzewuski hetman W. K. miał zamiar wymurować, ale zatargi o koronę za Stanisława Leszczyńskiego powołały go w potrzebie ojczyzny— niedługo też i życie zakończył. Dopiero syn jego Wacław Rzewuski dopełnił zamiaru ojca w 1740 kaplicę S. Stanisława wystawił z muru, i gruntu kawałek nadał, aby zawsze jeden kapłan dla dogodności pobożnego ludu, mógł się utrzymać. 1749 r. władza duchowna przeznaczyła z seminarjum krakowskiego księdza Marcina Bulandowicza na prebendarza Ś Stanisława, r. 1751 erekcja przez kardynała Lipskiego biskupa krakowskiego zatwierdzona.— W 1799 kościołek Ś. Stanisława w czasie wizyty biskupiéj ś. p. ks: Skarszewskiego biskupa lubelskiego do farnego kościoł przyłączony został. Dwóch tylko kapłanów przy kościołku Ś. Stanisława głowę położyło, ks; Bulandowicz przez lat 10 a ks: Jacek Cielemęcki przez lat 40 tam przemieszkiwali— oba pogrzebani obok siebie wprost wielkich drzwi przy kościołku. Do roku 1822 jeszcze czasami nabożeństwo w kościołku odprawiane bywało, w końcu gdy wszystkie zabudowania i sama kaplica bardzo pustoszeć zaczęła— obraz Ś. patrona po 140 latach, znowu do farnego ko-

ścioła przeniesiony i w wielkim ołtarzu umieszczony został.

Przez lat czternaście to jest do roku 1836, kościołek S. Stanisława stał pustkami. Chciano go zamienić na kościół dla kolonistów wyznania ewangelickiego albo zupełnie rozebrać — dopiero ks: Jan Ossoliński wikarjusz Żelechowskiego parafjalnego kościoła — mieszkańców miasta i okolicznych parafjan zachęcił do zebrania składek dobrowolnych na reperację i to w prędkim czasie pomyślnym skutkiem uwieńczone zostało; obraz znów przeniesiony i nabożeństwo odprawiane być zaczęło.— Oby Bóg wszystkim tchnącym prawdziwą przychylnością do tego miejsca błogosławić raczył.

Ks. A. Krasuski.

P. Z.

Takie są historyczne podania o kościołku S. Stanisława ale lud, który mało bacząc na historję, poezją podań swoich brak jéj zapełnia, utworzył sobie legendę w niżéj umieszczomych obrazkach zawartą i podaje ją o kościołku z całą wiarą swojéj błogiéj prostoty. Być może że legenda ta stosowała się do początków kościoła

farnego, a z przeniesieniem obrazu do kościołka przystała, zawsze kołysała ona młodociane lata moje, spędzone w lubém ustroniu Żelechowa, dla ich pamięci wam ją, czytelnicy młodzi, powtórzę.

DWA OBRAZKI.

I.

Wśród rozległych równin Podlasia leży miasteczko Żelechów, wokoło bujnym otoczone łanem, jakby wieńcem różnobarwnym, majowym, za którym wznoszą się wokrąg odwieczne lasy. Mały rynek, kilka ulic drewnianemi zapełnionych domkami, gdzie-nie-gdzie rzucony sadek, drzewko cieniste, dwór bielejący zdala na tle grabowego lasku, oto obraz miasteczka, nad którém jeden tylko gmach panuje, poważne wznosi czoło— kościół parafialny. Wymurowany na wzgórzu, powagą swoich kształtów wraża szacunek w serce obojętnego nawet przechodnia. Od strony wielkich drzwi świątyni Pańskiéj widać za miastem leżący cmentarz. Zwyczajnie jak cmentarz małego miasteczka, niezdobny w bronzy, marmury, kilka na nim drewnianych krzyżów,

szczerego żalu pamiątek, kilka drzewinek się wznosi, mnóstwo kwiatów rozsianych i jeden grób bez oznaki, bez napisu a jednak wszystkim znajomy— wszystkim zarówno drogi. Wspomnienie pięknych czynów człowieka to pomnik najtrwalszy, ręka go ludzka nie zniszczy, nie zatrze czasu władza, on w sercu pokoleń ryty. Szanowny mężu cześć twojéj pamięci! — Od strony wielkiego-ołtarza widać zdaleka za miastem drugi dom Boży — kościołek S. Stanisława.

Ku téj to stronie, w pogodny dzień niedzielny, przed kilkunastu laty zwracała kroki młoda niewiasta. Przy niéj postępowało cztery dzieweczki swobodne jak motylki, radosne jak dzień wiośniany.

— Mamo! pozwól, wbiegniemy na szczyt téj góry, wołały razem dzieweczki i szczęśliwe z przyzwolenia, po kilku skokach już były u celu, bo tą górą było małe wyniesienie zwirowe. Matka z uśmiechem słuchała ich spostrzeżeń, patrzyła na ich szczerą radość z prawdziwém współczuciem; sercu matki tak łatwo odżyć szczęściem dzieci!

— Ależ, rzekła im po chwili, widzę zupełnie zapominacie że dziś do kościołka idziemy.

— Prawda, zawołały dzieweczki, zapomniałyśmy, ależ bo tu tak pięknie!

— Każdym zamiarem rzekła matka jedna dą-

żność kierować winna, kto dla nętnych zboczeń opóźnia się i zatrzymuje rzadko staje u celu.

Dziewczynki zbiegły prędko, ucałowały ręce matki i biegły daléj; — gościniec szedł pomiędzy łanami bujném zbożem zasianemi, z pomiędzy złocistych kłosów wyglądał wdzięczny bławatek, kąkol barwisty, z szkarłatnym makiem szedł w zawody, świetne jaśniały powoje. Dziewczynki umyśliły wieńce z tych kwiatów zanieść w ofierze do świątyni Pana. I słusznie — kwiatek polny prostotą swoją tak wiernie tłumaczył ich niewinne myśli. Rozdzieliły się szybko i ciągle naprzód postępując napełniały rączęta drobne pękami polnych kwiatuszków; matka uczyła w wieńce łączyć bławatki, inne roślinki w zgrabne układać równianki, ale otóż ukazała się wbok gościńca wązka drożynka i tuż kościołek już widać. Na skręcie gościńca stoi prosty krzyż drewniany. Dziewczynki część swoich zbiorów złożyły u jego podnóża, znakiem Zbawiciela czoło i piersi naznaczyły i skocznie biegną do celu.

Cmentarz kościołka nieogrodzony, w jego obrębie zniszczony pożarem był domek księdza, gruzy o tém świadczą, w pobliżu studzienka mała, słynna uzdrawiającą oczy wodą.

Najmłodsza dzieweczka zaczerpnęła rączką z płytkiéj studzienki, zwilżyła oczy, a potém zwracając się do matki rzekła pieszczotliwie:

— Babcia mówiła, kto w téj studzience umyje oczki, zawsze je zdrowe i śliczne mieć będzie, wszak prawda mamo?— I błysnęło w niebieskiém oczku odbicie wesela niewinności, kolor ich równał jasnych bławatków barwie.

— Matka uścisnęła ją czule i pomyślała: tak, zawsze śliczne będą oczki twoje, jeśli je światło wiary upromieniać będzie!

Od kościołka drzwi otwarte— wchodzą dzieweczki, cóż za widok oczom się przedstawia! kościołek pusty, z ozdób obrany, kilka w nim śladów malowideł dawnych, szczątki drewnianych ławek, znaki pobocznych ołtarzy w gruzy zmienionych i tylko mur wielkiego ołtarza przechowany w całości. Na nim miejska dziatwa umieściła mały obrazek Ś. Stanisława, lud okoliczny w prostocie wiary złożył krajankę chleba, jaj kilka i parę groszy dla tych ubogich, co tu się modlić przybędą. Jeden z nich właśnie przed tym ołtarzem klęcząc odmawia pacierze. Biały włos jego przemawia uszanowaniem, czoło rozpromienione blaskiem pobożnéj myśli— suknie jakgdyby zakonne. Na widok dzieci powstał, powitał słowem bożém i wyszedł zwolna z kościołka. Dziatwa pobiegła za nim, nęcił ją wyraz jego słodyczy i sędziwości szczęśliwéj.

— Zkąd jesteś, dziadku, pytały, dla czego ciebie nie znamy?

— Tutejszym ja rodzic, odpowie staruszek, ale już dawno o, dawno jak noga moja na téj nie postała niwie. Tu kiedyś byłem rzemieślnikiem, tu z kochaną żoną, z wdzięcznych dziatek gromadką błogi wiodłem żywot. Pracowaliśmy szczerze, Bóg dopomagał pracy. Wyposażyliśmy starszą córkę, dla innych dzieci zasób zbierać zaczęliśmy— wtém przyszła choroba, zabrała żonę i dwoje młodszych dzieci. O, straszna to była chwila! Nie umiałem jéj znieść chrześcijańskiém sercem i Bóg ukarał jeszcze— zabrał ostatnią pociechę — najstarszą córkę. Wtenczas pomyślilem sobie: już nic nie mam na ziemi! w niebie moje anioły— za niemi do nieba wzniosłem myśli i porzuciwszy dobra ziemskie, z kijem pielgrzymim poszedłem w świat szeroki. Zwiedzałem miejsca święte, kościoły wszystkie po drodze. Łzy mi wzrok przyćmiły, cierpienia stargały siły— nie mogłem pracować mrócić do rodzinnego gniazda nie miałem siły. A wiec z piosenką pobożną, z powiastką świętą zawsze gotową przechodzę z wioski do wioski; z miasteczkado miasteczka, wszędzie się znajdą litościwe dusze co przyjmą starca na noc pod strzechę, łyżką go strawy zasilą, szmatą zużytą obdarzą. Jakoś bez myśli po długiej pielgrzymce w tę stronę zwróciłem kroki, starość też ostudziła boleść; zapragnąłem zobaczyć miasto, na grobie swoich pacierz odmówić. Ależ kościołek na dro

dze jak tu nie wstąpić, na gruzach cudownego miejsca nie zanieść modłów do Boga?

— Więc znałeś dziadku ten kościołek? zapytała starsza dzieweczka?

— Powiedz-że nam, powiedz, dodała najmłodsza dla czego w nim nie ma ślicznych obrazów, złotych aniołków, tylko tak smutno i pusto.

— Dla czego? — nie wiem,— odrzekł poważnie. Gdym małym chłopcem bywał tu z matką— były obrazy, aniołki złote i było cudnie, bogato! Potém— lecz nie pamiętam po co? dla czego? gdy umarł ksiądz co oto w tym zgorzałym mieszkał domu, przeniesiono cudowny obraz do miejskiego kościoła, ozdoby zabrano, a pustka pozostała.

— Szkoda, wielka szkoda! mówiły z żalem dzieci.

— Zapewnie szkoda, rzekł dziadek, mało kościołów tak cudownym powstało sposobem.

— Jakto? spytały ciekawie.

— O, to długa powiastka, panienkom może się spieszy.

— Nie, nie, bedziemy cię słuchały— wszak pozwoli kochana mama? pytały tłumnie. Matka sama nieświadoma podania o założeniu kościołka, nietylko przyzwoliła na żądanie dziewczynek, ale swoje jeszcze dołączyła prośby. Usiadł więc starzec na murawie; opodal matka się wsparła—

dziatki obsiadły go wkoło, wlepiły w niego żywe oczki swoje— a on tak wolnym zaczął mówić głosem:

Legenda dziadka.

Daleko ztąd daleko— gdzieś aż na Ukrainie, mieszkał pan bardzo bogaty— miał żonę gdyby anioła: pobożną, piękną, cnotliwą, miał i dostatki wielkie: wspaniałe zamki, rozległe włości i złota ogrome skrzynie. W jego borach najcudniejsza przebywała zwierzyna, stawy najlepszéj dostarczały ryby i pola jego tak obfitemi jaśniały plony, że się aż cała dziwiła okolica. Ależ twarz jego zawsze pochmurna, oko tęskliwe, ustom uśmiechy nieznane, bo domu jego żadna nie weseliła dziecina. Próżno w dalekie kraje do grobu świętych szle mnogie dary i złotem ubóstwu sypie; modlą się mnichy, ubodzy na kolanach Boga proszą— ależ Bóg prośby nie słucha, a pan bogaty w tęsknych godzinach smutny liczy żywot. Raz mu daleka wypadła droga aż do stolicy. Już mnogie łany przebył w podróży, rozliczne miasta i wioski, kiedy pod wieczór w podlaskiéj stronie zdążał ku naszemu miastu. Szybko się powóz toczył gościńcem— już widać

zdala migocą drobne ogniska wtém nagle konie wbok się zwracają, sługi zdrzymnęły, a oczy pana lekka pomroka przyćmiła.

Jemu się zdaje że nie śpi, oczy otwiera i patrzy w niebo— lecz niebo czarnym pokryte kirem, i ziemia czarna— a wkoło niego pusto i głucho i on sam jeden na świecie. Strachem przejęty, ręce do modlitwy składa, chce prosić Boga, prosić gorąco lecz z piersi głosu żadną siłą wydobyć nie może, ni myśli żadnéj ułożyć. Znów spojrzał w górę— aż na tle czarném mała gwiazdeczka zabłysła. Z początku rzuca drobniutkiém światłem, coraz jaśniéjszém;— płynie ku niemu— i świat się cały żywych promieni napełnia blaskiem, a on w zachwyceniu zniża kolana, czoło pochyla.

Znów spojrzał w górę, z gwiazdy świetlistéj robi się postać cudowna, święta! Biskupie szaty na niéj, w twarzy anielskiéj wyraz swobody— a w ręku palma męczeńska. Była to postać patrona naszéj krainy! S. Stanisław długo w powietrzu stał nieruchomie; i cisza była w całéj przestrzeni— lecz w duszy pana rajskiéj muzyki brzmiały odgłosy i lubość wielka go owładnęła— bojaźń ustała, a miłość silna wstąpiła w serce.

— Tu, na tém miejscu, przemówił S. Stanisław, postaw kościołek dla chwały Bożéj— Bóg

zjiści twoje życzenia! I każde słowo z ust świętego wyszłe jak promień boski trafiało w serce ukorzonego — ogień miłości łączyło ściśle z uczuciem wiary — nadziei.

Święty Stanisław znów blaskiem gwiazdy okryty wzniósł się wysoko i zniknął. Pan zadziwiony skrył twarz w dłonie — tak został chwilę — i spójrzał znowu wokoło siebie. Niebo pogodne gwiazdami błyszczy — zdala migocze światło w miasteczku — zamiast gościńca, wokoło niego kłosiste zboże, on wśród powozu klęczy pobożnie — i konie klękły — a sług zmarzonych schylone głowy. — Zbudził ich — wstali, słuchali dziwów — potém znakami miejsce zatknęli, — i zaraz w mieście pan z Ukrainy zrobił układy — złoto zostawił na budowanie kościoła. Wzniósł się gmach Pański na chwałę boską, na cześć S. Stanisława, ale nazwiska wielkiego pana nikt się dowiedzieć nie mógł. I wtenczas tylko kiedy po ukończeniu budowy i poświęceniu pierwsza się msza odbyć miała — zajechała pyszna kareta — z niéj śliczna pani i pan urodny wysiedli, a po nich zniosły sługi przybyłe jasnowłosego chłopczyka i w tym kościołku po mszy najpierwszej, dzieciątko piękne jakby aniołek, przyjmując chrzest święty, imię Stanisław dostało.

Tak skończył dziadek i umilkł — dzieci mu jeszcze w oczy patrzyły — a pani rzekła:

— Jakto być może by kościół taki w gruzach zaginął.

— Mamo, my będziem prosiły Boga, rzekły dziewczynki, może znów jaki pan z Ukrainy kościołek odnowi.

I pobiegły do świątyni złożyły rączki pobożnie i powtarzały za matką: „Boże nie daj upadać świotyniom twoim, niech i ten z gruzów kościołek powstanie." I mówiły jeszcze prostemi słowy co im myśl dziecięca podała— a święci anieli, stróże progów domu Bożego, szczere ich modły przed tron Boga zanieśli.

II.

Było to 7 maja 1836 roku tożsamą dróżyną szło znowu znajome grono, ku temu samemu celowi, tylko dzieweczki podrosły, zmieniły się— najstarsza prowadziła za rękę małą jeszcze, piątą siostrzyczkę— i matki z niemi nie było przy małych braciach została.

Śmielszym postępowały krokiem, ale i teraz po drodze wianuszki wiły, równianki składały, bo kwiaty polne z kwiatem uczucia znów chciały złożyć na ołtarz Pana. Zdaleka uweselił ich oko jasno odnowiony kościołek i zbliska wiele

nowych rzeczy od owego czasu przybyło. Kościołek powstał z gruzów— jutro w dzień świętego patrona pierwszy się odpust odprawi, cudowny obraz z procesją uroczystą przeniosą. One dziś jeszcze chciały dodać kilka kwiecistych ozdób do wewnętrznego przybrania.

Już mają wchodzić w progi świątyni— a wtém z nich jedna spostrzega, tuż przy drzwiach wielkich na brzozowéj ławeczce, jakąś postać znajomą.

Był-to ten sam jeszcze dziadek którego kiedyś przed laty tu modlącego zastały. Krótko on wtedy gościł w miasteczku— daléj w świat poszedł wędrować, ależ kiedy zasłyszał o odnowieniu kościołka, mimo wieku i słabości przybył raz jeszcze pomodlić się przed cudownym obrazem i tutaj już głowę położyć.

— Witamy, dziadku, rzekły dzieweczki, czy nie pamiętasz jak tu na gruzach dawno, o! dawno, zeszliśmy ciebie, i tyś nam potém o założeniu cudowném tego kościołka powiadał.

— A wyście potém modliły Bogu, z mémi modłami łączyły swoje niewinne prośby. O! tak pamiętam.

— Bóg naszych modłów wysłuchał, z gruzów znów piękny wzniósł się kościołek mówiła starsza.

— Ależ powiedzcie, miłe dzieweczki, jaki cud nowy się zdarzył? kościół wznieść z gruzów, o! na to wiele potrzeba złota!

— A panowie z Ukrainy już nie jeżdzą tym gościńcem, rzekła wesoło młodsza.

— Tak, cud zapewne, mówiła znów starsza, bo myśl śmiała odnowienia kościoła powzięta przez ubogiego sługę Bożego i doprowadzona do skutku, jest prawdziwym cudem.

Widzisz, dziadku kochany, jeden z gorliwych kapłanów, wikarjusz tutejszy, długo patrzył z żalem na zburzony dom Boży, jednego dnia powiedział sobie: „ja ten kościołek odbuduję“ — odtąd myśl ta ciągle z nim była, wystarał się o pozwolenie, zaczął składki zbierać, łączyli się ochoczo pobożni parafjanie, kto czém mógł przykładał się do dzieła, ci cegłę dali, ci drzewo, tamci murowali bezpłatnie, inni pieniężny nieśli datek. A kiedy trudna przyszła jaka chwila, zasiłku brakło, to kapłan z ambony przypomniał odbudowanie kościołka, prośbę wzniósł nową, nową modlitwę odmówił, i znowu znaleźli się dobrodzieje — aż oto świątynia pańska nanowo stanęła!

— Niech mu to Bóg nagrodzi! rzekł dziadek, i wszedł za dzieweczkami w progi kościołka dziękczynne wznieść modły.

W. T.

CESARZ CHIŃSKI ROLNIKIEM.

Podług zasad rządu chińskiego cesarz powinien własną ręką uprawiać ziemię, cesarzowa zajmować się przędzeniem. Monarcha czynić to ma dla tego, by uszlachetnić rolnictwo, zamiłowanie do niego wzbudzić; monarchini przykładem swoim winna zachęcić inne niewiasty. Pokarm i odzież są dwie konieczne potrzeby życia, a kto uprawia rolę, mówią chińczycy, ma czém nakarmić i odziać rodzinę. Dawni mocarze, założyciele państwa chińskiego, zajmowali się gorliwie pełnieniem tego zwyczaju, następcy poszli w ich ślady— a dzisiejszy nawet cesarz przyrzekł corocznie stosować się do przyjętéj przez swoich poprzedników zasady.

Ta ceremonja nie na saméj uprawie ziemi zależy, mieści się w niéj jeszcze myśl ofiary którą

cesarz, jako naczelnik religji uważany, składa wielkiemu *Chang-ti* dla uproszenia obfitych plonów. Aby się godnie przysposobić do spełnienia ofiary, trzy dni postu i odsunięcia się od świata ją poprzedza. Takim samym sposobem gotuje się cały poczet panów i dworzan mających towarzyszyć monarsze. W wigilję ceremonji wybiera cesarz kilku mężów najznakomitszych w państwie, aby w sali przodków monarszych, przed ich wizerunkami kornie schyleni, oznajmili im, że nazajutrz ofiara spełniona będzie.

Toż samo prawo wyznacza różne przygotowania któremi urzędnicy zająć się mają. Jeden sposobi różne przedmioty do ceremonji potrzebne, drugi układa mowę dla cesarza, trzeci każe ustawiać namioty wśród których może cesarz obiadować zechce, czwarty winien zgromadzić kilkudziesięciu poważnych starców rolników, aby z chlubą patrzyli jak sam monarcha uprawia ziemię. Takaż liczba młodszych rolników sposobi pług, zaprzęga woły przygotowuje ziarno do siewu. Cesarz zasiewa pięć gatunków ziarn za najpożyteczniejsze uznanych, to jest pszenicę, ryż, proso, bób i jeszcze jeden gatunek prosa w chińskim języku *kao-leang* zwanego.

Po takich przysposobieniach, (powiada jeden z naocznych świadków) 24 dnia po nowiu wiosny, cesarz udał się z całym dworem w świąte-

cznych szatach odziany, na miejsce przeznaczone do oddania czci wielkiemu *Chang-ti*, złożenia mu wiośnianych ofiar i błagania go o zachowanie i rozplenienie płodów ziemi. Miejsce to jest wzgórze za miastem od strony południa, na pięć stóp wysokie, tuż przy nim znajduje się pole, które ma ręka monarsza orać. Cesarz skończył ceremonję poświęcenia, zstąpił z trzema książętami i dziewięcioma urzędnikami dworu. Kilku panów zniosło na barkach kosztowną skrzynię z ziarnami. Cały dwór w milczeniu głębokiém otoczył pole, Cesarz ujął pług — i orząc przez długość łanu kilka razy *zawrócił:* po nim toż samo zrobił jeden z książąt i następnie kolej obeszła. W kilku miejscach zaorawszy *skib* parę, cesarz siał ziarna wspomniane, i tak się skończyła ceremonja; nazajutrz dopiero wieśniacy zasiew kończyć mieli.

Starym i młodym rolnikom wezwanym rozdano nagrodę składającą się z czterech sztuk płótna w różnych kolorach, na suknie przez chińczyków zwyczajnie używanego.

W. T.



SZOPKI.

Narodzenie pańskie, tak długo oczekiwane, tak radosne dla świata całego, nietylko kościół boży, lecz wszyscy chrześcijanie od najdawniéjszych czasów zwykli obchodzić wesoło i uroczyście;— w pierwszych wiekach chrzęścijaństwa, gdy życie i nauka Zbawiciela opowiadane były głosem naocznych prawie świadków, cześć i podziwienie słuchaczy tak były żywe, że bez uprzytomnienia sobie pod zmysłową postacią, oczyma czystéj wiary zapatrywali się na cudowne świętego życia wypadki;— późniéj, kiedy po przetrwaniu pierwszych prześladowań, chrześcijanie odetchnęli swobodniéj, kiedy bez narażenia się na cierpienia lub wzgardę mogli się wyznawcami Chrystusa okazać, kiedy w uroczystościach kościelnych błyszczały religijne obrazy, powiewały

poświęcone chorągwie, wtedy mówię, powstała myśl niewinna i pobożna, powstał zwyczaj wystawiania widowisk, których treść brano z życia Zbawcy świata.

Narodzenie Chrystusa, Pana wszechświata w ubogiéj szopce, pierwszy Jego spoczynek na ziemi w żłobie, między bydlętami, radość aniołów głoszących ten wielki wypadek, proste hołdy pastuszków, i pokłon mędrców wschodnich, wszystko to było obfitym do widowisk i obrazów przedmiotem, i w średnich wiekach widzimy, jak przy zbliżeniu się świąt Bożego-narodzenia zamożne gospodynie, a nawet znakomite panie zajmowały się urządzeniem żłobu, który jak najdokładniéj wykonany, ustrojony bogato stał przez całe święta ku pamiątce boskiego dzieciątka, ku podziwieniu sąsiadów i domowych. — Postacie należące do całości bywały rozmaitéj wielkości, czasem dzieci zastępowały miejsce aniołów i pasterzy, czasem były to figurki woskowe, do wyrobienia których znakomici nawet artyści dokładali ręki, drewniane, papierowe, wypychane laleczki, osiołki mysiemi skórkami pokryte, słowem rozmaitemi sposobami naśladowano wnętrze owéj błogosławionéj szopki, w któréj syn Boży przyjął postać ludzką.

Z zamożnych domów zwyczaj wystawiania

żłobów przeszedł do uboższych, do szlachty, kupców, rzemieślników; — każdy ,ustawiając pasterzy wysławiających maleńkiego Jezusa, dodawał figurkę wyobrażającą jego stan, bo zdawało mu się, że kiedy pastuszek mógł śpiewać Bogu, rolnik, cieśla, żołnierz powinni także byli należeć do chwalących Go wraz z aniołami, kiedy w sercu równie z innemi czcił i wielbił Zbawcę;— ztąd to namnożyło się przy żłobie tyle osób o których bytności przy nim nie wspomina pismo święte.

Daléj, żłób, szopka, te przedmioty pobożnéj uciechy, przeszły w ręce dzieci;— szkolne żaki, wiejskie chłopcy, a w końcu miejskie uliczniki przywłaszczyli sobie prawo chodzenia po domach z szopką i okazywania za opłatą, żłobu, i radości jaką narodzenie pańskie napełniło wszystkich świata mieszkańców.— Przez nich to dopiero sponiewierany pobożny zwyczaj, stał się prawie gorszącém widowiskiem, bo nie baczni lub nieświadomi, że każda śpiewka, każda oznaka wesela odnosić się powinna do przyjścia na ziemię Jezusa Chrystusa, naplątali mnóstwo baśni smiesznych i nieprzyzwoitych, i z tém po mieście chodząc, niby dzieci bawią.

Szkoda-by to jednak była, gdyby zwyczaj wspominania szopki miał upadając coraz bardziéj zniknąć nakoniec zupełnie;— dorośli tylu

i tak rozlicznemi zajęci pracami nie zajmą się tém pewnie, ale dzieci, te istoty czyste i niewinne niech drobną rączkę do pięknego dzieła przyłożą,— niechaj po domach chłopczyki w chwilach wolnych od nauk i pracy wybudują ładną szopkę, niech dziewczynki zręczne poubierają laleczki, a tak w budowie jak w ubiorze zastosują się do téj myśli,— jak też to za czasów Zbawiciela być mogło? starsi napiszą chętnie stosowne wierszyki, i jak na przyszły rok uliczna szopka do was zawita, pokażcie waszą, zaśpiewajcie pobożnie choć wesoło, darujcie parę laleczek, nauczcie piosenki;— nowość tyle ma powabu, że pewnie niezadługo znikną z szopek *Małgorzatki*, *kuse węgry*, *Herody*, i tyle innych niedorzecznych figur, a wy bez pracy i ofiar, bawiąc się, dzwigniecie z poniżenia odwieczny zwyczaj, zwyczaj który w naszym kraju najdłużéj przechowany, świadczy równie o pobożności przodków, jak i o chwalebnej chęci przechowywania wszystkiego co własne, co ojcowie nasi cenili.

P. K.



KONIK.

Był wódz znakomity, szczególniéj za panowania Jana Kazimierza wsławiony, Stefan Czarniecki; niskiego urodzenia, szlachcic zagonowy, własną krwią buławę hetmańską wywalczył. On to wyrzekł o sobie samym te podziś-dzień pamiętne wyrazy: *„ani z soli, ani z roli, ale z tego co mnie boli, urosłem.“* Co znaczy, że nie kupiectwem, ani przemysłem gospodarskim, ale ranami na wojnie zyskanemi zjednał sobie wysokie w kraju znaczenie. Siwy, styrany w bojach, ranami okryty wojownik jeszcze z młodocianą sprężystością kierował oblężeniem Stawińca na Ukrainie, znosił niewygody obozu. Lecz i najsilniejsza dusza uledz musi więzom ciała, „z prochu wyrośli w proch się obrócicie“ powiedział Pan. Nagłą niemocą zdięty wódz, już o własnéj sile postąpić nie był zdolny, urządzono nosze podobne do te-

raźniéjszéj lektyki i tak go między dwoma końmi do chaty wiejskiéj zawieziono, bo już wygodniejszego schronienia znaleźć niepodobna było. Prawie oniemiały starzec z pokorą uczuł zbliżający się koniec swéj ziemskiéj pielgrzymki. Powlókł gasnącą źrenicą po otaczajacych go smutnych towarzyszach broni, a przebiegając myślą rycerskie swe życie, w ostatniéj chwili ostatniéj jeszcze zapragnął rozkoszy: „wprowadźcie konia mego! niech go raz jeszcze zobaczę.“ Wnet rumak ulubiony, towarzysz wierny i nieodstępny stanął przed panem. Obejrzał się wokoło lecz już nie zarżał radośnie, jak to czynił w otwartém polu, kiedy z wiatrami chodził w przegony, chrapał tylko żałośnie, bo ta zadymiona chata, ta ponura cichość i smutni rycerze, bardziéj do mar niż do ludzi podobni, trwogą napełniali zwierzę. I ono czuje, lecz mowy nie ma by boleść swą wyrazić. Łzy jak korale orzeźwiającéj rosy zwilżyły jagody Czarnieckiego, „Miejcie o nim dobre staranie“ wyrzekł zcicha „a teraz kiedym już ostatniego pożegnał przyjaciela, pozwólcie niech pozostałych, krótkich chwil użyję na wyznanie win moich, na błaganie Boga Najwyższego aby przebaczył nędznemu słudze swemu jego nieprawości.“— Padli na kolana przytomni, z uwielbieniem pochwycili podaną im dłoń hetmana i w milczeniu mężkiéj boleści

opuścili próg chaty a kapłan przyjął ostatnie westchnienie do Boga, konającego starca, udzielił błogosławieństwa szlachetnéj duszy, aby obmyta z grzechów ziemi, stanęła przed tronem Pana Zastępów.

L. W.

ANIOŁEK

(wierszyk ofiarowany z kolendą).

Dzieciny kochane!
Widzicie anioła?
Włoseczki rozwiane
U jasnego czoła;
Uśmiechem twarz pała,
Z skrzydełek blask bije,
Szata jak śnieg biała
Pulchne ciałko kryje.
Patrzcie! na was kiwa
Paluszkiem drobniuchnym,
I tak się odzywa
Swym głosem słodziuchnym:

„Wszakże wszystkie wiecie
Że bliska godzina

Kiedy w Nazarecie
Marja rodzi syna;
By pamięć téj chwili
Która świat zbawiła
W waszych, bracia mili,
Serduszkach utkwiła,
Czytajcie książeczki
Które wam przynoszę,
Tam wśród zabawcczki
Nauki po trosze;
A ojciec niebieski
Patrząc na was z góry,
Otrze młode łezki
Wprawi do pokory."

L. W.

RYBAK.

Był rybak ubogi, miał dziatek gromadkę,
Zabrakło mu chleba; przygotował siatkę,
Wsiadł w łódkę ubogą, pędzi po głębinie —
Już chatka z dziatkami z oczu jego ginie....

I morze i niebo tylko przed nim było....
Aż tu się chmurami niebo osłoniło.
I burza powstała, piętrzyły się wały
I łódką jak piłką do góry rzucały.
Strach przejął rybaka, zawołał: o Boże!
Dla czegoż się z troską puściłem na morze?
Troska nie osłoni, fala w łódź uderzy....
Z Bogiem płynąć było, On fale uśmierzy,
On wichry ucisza, On burze łagodzi,
I myśl ta modlitwą do nieba dochodzi.
I burza ustaje.... spokojnie już płynie
I w Bogu nadzieję pokłada jedynie,
Wiara go ratuje, niesie ryb dostatek.
Przybywa szczęśliwie do kochanych dziatek.
I odtąd jak z płatka wszystko się wywija,
Bóg mu pomoc niesie, szczęście trwale sprzyja.
Dziwią się sąsiedzi, pytają rybaka
Co się to ma znaczyć, zkądże zmiana taka?
On na to odpowie: po morzu pływałem,
Troskę tylko ziemską towarzyszem miałem;
A dzisiaj Bóg ze mną i czyż was to dziwi,
Weźcie Go na pomoc będziecie szczęśliwi.

Stanisław Jachowicz.

MYŚL JESIENNA.

Niebo jesieni smutnie wygląda,
Szaremi straszy chmurami,
Łzawemi oczy na was pogląda,
Blademi świeci gwiazdami.

I tak żałobnie, chmurno dokoła,
W duszy, na ziemi, i w niebie,
Jak tęskny smutek, co żal wywoła
Na miłych osób pogrzebie.

O, jasne słońce! nim z oczu zginiesz
Rzuć jeszcze złotym promieniem,
Jeszcze wesołém żegnaj spojrzeniem,
Nim się w te chmury owiniesz.

I wy wesołe kwiateczki lata
Co nas tak wcześnie żegnacie,
Czyż się tak bardzo chmurnego świata
I szronu zimy lękacie?

O, jeszcze chwilkę, chwilkę tu z nami,
Na naszéj ziemi pobawcie,
Chwilkę jasnemi błyszcie listkami,
Nadzieję przyjścia zostawcie!

Lecz prawda— wątłe wasze odzienie;
Wam trzeba lata promieni,
Wam miłe rajskie, wiosenne tchnienie,
Ale nie wichry jesieni.

Samuelina F........



WSPOMNIENIA

Kobiet wsławionych w Polsce

V.

ŚWIĘTA JADWIGA.

Córka Bertolda margrabi morawskiego, pod okiem pobożnéj matki swojéj Agnieszki chowana, bardzo wcześnie w cnoty i pobożność wielką rozwijać się poczęła; — w dzieciństwie jeszcze, kiedy jéj rówiennice zabawą lub strojem się bawiły, Jadwiga w modlitwie, walce z pociągiem do próżności, w jałmużnie najmilszą znajdowała rozrywkę.

W młodym bardzo wieku wydana za Henryka księcia na Wrocławiu i Lignicy, umiała pogodzić powinności pokornéj chrześcijanki z obowiązkami żony i księżnéj; — lubo dla uniknienia sprzeczek i zarzutow używała niekiedy sukien wytwornych i bogatych, najmilszą jéj jednak była szara, uboga szata, bo gardząc ciałem, uważała

przystrajanie się zewnętrzne za zbyteczne, i duchownemu doskonaleniu się przeciwne.

Przepisy kościoła wypełniała ściśle, a nawet sama tworzyła sobie dobrowolnie pobożne nawyknienia, od których przez całe życie nic ją odwieść nie mogło;— i tak: za oznakę wielkiéj pokory uważając chodzenie bosemi nogami, o ile tylko mogła, pozbywała się obuwia, osobliwie w kościele, a nawet w domu na modlitwie będąc, a kiedy mąż wyrzucał jéj tę zbytnią dla saméj siebie surowość, kiedy nawet spowiednik polecił jéj, by nigdy bez obuwia nie chodziła, Jadwiga święta pragnąc choć na czas jakiś uwolnić się od tego nakazu, użyła niewinnego wybiegu, nosząc trzewiki, lecz nie na nogach, tylko za pasem.— Nie siadła wprzódy do stołu, póki będącemi na nim potrawami nie nakarmiła trzynastu ubogich, na pamiątkę Jezusa Chrystusa i dwunastu apostołów;— służyła im sama, a oprócz tego opatrywała wszystkie ich potrzeby.

Sama tak pobożną będąc, przestrzegała również, by panie i panny jéj dworu ściśle przepisy Pańskie wypełniały, a tą bacznością wiele osób błądzących, na dobrą nawróciła drogę.— Dobroczynność jéj prawie granic nie miała;— wszystkie dostatki swoje obracała na wspieranie ubogich;— nie tylko że zbudowała klasztor w Trzebnicy i wraz z mężem tak go bogato uposażyła

że tysiąc osób codziennie kosztem jego żyć mogło, lecz gdzie tylko posłyszała o nędzarzu, chorym, więźniu, spieszyła sama z pomocą, radą i pociechą, gdy zaś własnych jéj dochodów nie wystarczało, udawała się z prośbą do księcia Henryka, a on uwielbiając szczodrotę małżonki nigdy jéj nie odmawiał.

Z pobożnością i umartwieniami swemi taiła się przed światem;— na modlitwę dłuższą od zwyczajnéj wstawała nocą, kiedy już wszyscy spali; włosiennicę którą zawsze pod szatami nosiła, sama poszyła płótnem po wierzchu, aby dworskim paniom wydawała się lnianą suknią, jeśliby ją przypadkiem na niéj spostrzegły.

Nie należy jednakże mniemać, iż zupełnie Bogu i religji oddana, zaniedbywała sprawy ziemskie;— i owszem, duch jéj unosząc się do Pana zastępów coraz nowéj mocy nabierał, uniżając się w pokorze, wzrastał w mądrości i potędze. Jadwiga święta nieraz mężowi dobrą radą w trudném dopomogła zdarzeniu, sześcioro dziatek któremi Bóg ją obdarzył, to jest trzech synów i trzy córki wychowywała troskliwie; niewtrącając się zbytecznie w sprawy męża, przypominała mu przecież w stosownym czasie, co mu jeszcze dla dobra podległego rządom jego kraju czynić należało, i najpiękniejsze dzieła Henryka

brodatego z natchnienia świętéj jego małżonki powstały.

Podległa woli Najwyższego Jadwiga święta, nietylko z uległością, lecz z radością znosiła smutki i strapienia, a miała ich niemało, bo oprócz rozlicznych drobnych trosk trapiła ją niezgoda dwóch synów, Henryka i Konrada, który niechętny z działu jaki między nimi ojciec uczynił, otwartą z bratem wojnę rozpoczął;— udręczyła ją niemało także nagła śmierć Konrada, który na łowach bez chwały i zasługi życie postradał, jednakże za wszystkie te strapienia dziękowała Bogu.

Wszelako tam, gdzie radą lub czynem nieszczęście odwrócić było można, Jadwiga święta nie opuszczała rąk bezczynnie; sprawiedliwa i miłosierna, brzydziła się wojną i żądzą większéj władzy, i dla tego wszelkiemi sposobami odradzała mężowi by nie sięgał po koronę, która się jeszcze na głowie słabego Leszka chwiała; po śmierci tego monarchy Henryk brodaty powolny głosowi żony, stanął w obronie wdowy i syna zmarłego, a tym szlachetnym postępkiem zjednał bie naród o tyle, iż jego obrano opiekunem młodego króla Bolesława, a nie stryja jego Konrada księcia mazowieckiego.

Człowiek ten burzliwy, niespokojny, nachodzi zbrojną ręką na księcia Henryka;— zbity przez

niego, syna i wielu rycerzy traci w walce, a chcąc tego powetować, wpada niespodzianie do Spytkowic wioseczki niewielkiéj, gdzie Henryk brodaty nabożeństwa przykładnie słuchał, porywa go, i do Mazowsza uwozi.— Henryk pobożny zbiera wojsko, i spieszy uwolnić ojca, lecz Jadwiga święta lękając się przelewu krwi bratniéj, wybiera się tajemnie do Konrada, i radą, namową, prośbą swoją, skłania nieugiętego księcia do zgody, męża oswobadza, a na stwierdzenie związku przyjaźni, dwie wnuczki swoje dwóm synom Konrada w małżeństwo przyrzeka.

Niedługo potém, Henryk książe na Wrocławiu Lignicy i innych, syt sławy i władzy, kochany od poddanych przeniósł się do wieczności, w r. 1238 lud cały płakał po jego stracie, ale małżonka świętobliwa mężnie cios ten zniosła, i pocieszała przyjaciół zmarłego, mówiąc: — Nie smućcie się, albowiem wszystko cokolwiek Bóg z stworzeniem swojém czyni, z wdzięcznością przyjąć nam należy.

Po śmierci męża opuściła święta Jadwiga światowe życie, i osiadła w ulubionym sobie klasztorze w Trzebnicy, gdzie najmłodsza jéj córka Gertruda zakonne życie wiodła; tu jeszcze ją dotknął bolesny wypadek, który ona z chrześcijańską zniosła pokorą.

Syn jéj Henryk, pobożnym nazwany, nastąpi-

wszy po ojcu na tron książęcy, w obronie kraju swego przeciw Tatarom zginął;— ścisnęło się pewnie macierzyńskie serce na wieść tak smutną, lecz święta niewiasta nie okazała boleści swojéj, tylko podwoiła umartwień i modlitwy, a kiedy jéj synowa Anna wyrzucała tę pozorną nieczułość, rzekła:

— Owszem, cieszyć się powinnam, iż mi Bóg dał syna, który mię w życiu swojém niczém nie zasmucił, a śmierć poniósł w obronie wiary i kraju swego 1).

Reszta życia świętej Jadwigi spłynęła w klasztorze, na najściślejszém wypełnianiu przepisów zakonnych, pobożność i wysokie jéj cnoty czcią i podziwieniem napełniały patrzących, pokora i wyrzeczenie się saméj siebie wszelkie przechodziła granice, a cudowna miłość ku Bogu i ufność w Nim, stawała się przykładem dla wszystkich mieszkanek Trzebnickiego klasztoru.

Święta Jadwiga umarła w r. 1243, dnia 7 października, a w r. 1268 papież Klemens czwarty kanonizował ją, czyli policzył uroczyście w poczet świętych pańskich.

Krótkie to wspomnienie wystarczy czytelni-

---

1) Skarga żyw. św. pańs. część II str. 899.

kom naszym tymczasowo, dopóki nie będzie im dozwolone czytać obszernego opisania życia téj ziomki naszéj, tylu cnotami, i tak prawdziwie chrześcijańską, tak kobiecą wielkością wsławionéj.

P. K.

DRUGI LIST MŁODÉJ ZIEMIANKI.

Winszuj mi, winszuj, przyjaciołko droga, postępu w dobrém, zachęcaj twoim przykładem ciągle, i pozwól czasem w nagrodę, myśli ci moje wynurzyć, rady zasięgnąć. Moja jedyna! ja nie pojmuję dotąd, co za odmiana zdziałała się we mnie od czasu pobytu naszego na wsi, zdaje mi się że pobożniejszą, lepszą, gorliwszą w pełnieniu moich obowiązków się stałam. Ach! bo też samo wsi powietrze, jéj wdzięki i cisza tyle pięknych myśli; nasuwa, rozwinąć pomaga, że z każdym dniem swobodniéjszą, weselszą się czuję.

Nie wspomnę Ci już nic o mojéj *Ochronie*, napatrzyłaś się jéj w czasie ostatniéj bytności,

byłaś świadkiem czystéj radości jaką mi ona ciągle przynosi, ani ci powiem jeszcze o nowych projektach moich— dziś jestem pod wrażeniem miłego obrazu, który przed chwilą oczom się moim przedstawił, a który wiem że tobie równą radość przyniesie.

Przed samym zachodem słońca wyszłyśmy z mamą w pole do żeńców; praca obowiązkowa już się kończyła, bo wiesz zapewne że na wsi słońce zegarem, z wschodem jego wychodzą wieśniacy *na pańskie*, z zachodem zchodzą z pola, nie było się czemu przypatrywać, poszłyśmy więc do zwykłéj mety, do figury stojącéj na *rozstajnéj-drodze*. Ja uzbierałam pęczek kwiatów na wieniec, zawsze bowiem idę w zawody z wiejskiemi dziewczętami, zdobiąc podnóże krzyża kwiatami polnemi, i pragnę bardzo aby zwyczaj ten tak oddawna znany na wsi, nigdy nie poszedł w zaniedbanie, aby dopóki kwiatów stanie na łące, krzyż Zbawiciela codzień nowemi błyszczał wiankami.— Tą razą oprócz wieńców z bławatu i jaskrawych gron jarzębiny, zobaczyłam na krzyżu obwieszoną szmatę, rozdartą dziecinną koszulkę. Dziwiłam się bardzo pomysłowi, aż mi mama wytłumaczyła: że kiedy dziecię małe na wsi konwulsje cierpi, matka jego rozdartą koszulkę zawiesza na krzyżu, prosząc Boga aby wrócił zdrowie ukochanemu dziecięciu, albo ukrócił cierpień

skonu. Jakaż-to śliczna myśl ukrywa się w tym zwyczaju! Matka chrześcijanka pod krzyżem Zbawcy świata gotuje się do zniesienia krzyża swych cierpień, patrząc na cierniową koronę Pana wszechświata, znośniejszą widzi przed sobą drogę cierniami usłaną. Pod krzyżem ukochanego syna Przenajświętszéj Marji, równym sztyletem przeszyte serce macierzyńskie, Jéj opiekuńczéj wzywa pomocy! W samém zawieszeniu koszulki jakaż prostota się maluje, jakie odbicie uczuć kochającego serca! Niedosyć było modlitwy, niedosyć błagań najszczerszych, ona jeszcze w cząstce ubioru dziecięcia chce jakby przypominkę zostawić, w samém rozdarciu jéj, głębokości żalu swojego ślad zrobić.

Wzruszył mnie bardzo ten widok, nigdy już obojętném okiem nie spójrzę na szmatę otaczającą figurę, będzie mi ona miłym obrazem prostoty i wiary poczciwych naszych kmiotków.

Ależ czas było wracać do domu. Zwróciłyśmy kroki nasze ku wiosce. Przez całą drogę mówiłam z mamą o wieśniakach. Im-dłużéj żyję pomiędzy nimi, silniéj ich kochać zaczynam, więcéj odkrywam prawdziwie pięknych cech ich charakteru. U nich przechowała się starodawna gościnność, ta pierwsza cnota ojców naszych, u nich zwyczaje przodków w równéj pozostały cenie; obrzędy zawsze jednym postępują trybem;

krój sukni przez wieki żadnéj nie uległ zmianie, język w nieskażonéj przechował się czystości. Nie jestże to wszystko dowodem głębokich uczuć; a jeśli oni błądzą częstokroć— to my uderzmy się w piersi i zapytajmy naszego sumienia: czyja w tém wina? Kto przeciążeniem pracy i danin zniechęcenie budzi, kto złym przykładem do złego wiedzie, kto zaniedbaniem środków poprawy, złego się winnym staje; kto wreszcie (ale o tém po-cichu) karczmy tak liczne stawia, i na ilości rozprzedawanéj okowity intratę z dóbr liczy!

Ta myśl ostatnia przyszła mi właśnie w miéjscu gdzie z dawnéj gorzelni ojciec mój śliczne obory urządził i w nich choduje ze szczególniejszém staraniem krajowe bydło. Często tam z mamą zaglądamy dozorując czystości i przyzwoitéj paszy dla ślicznych naszych krówek, a ja się tak cieszę że za lat parę z moich jałoszek tak piękne porosną krówki iż ojciec je na wystawę płodów krajowych do Warszawy zabierze.

Widzę zadaleko się zapędziłam;— nowe myśli tak mnie uniosły że o obrazie zapominam, a ty go szukasz napróżno w poprzednich wyrazach. Więc już do opisu przystępuję.

Kiedyśmy wchodziły w obręb zabudowań wiejskich słońce już ostatnim promieniem pożegnało okoliczne wzgórza, wielki ruch i życie panowało na wiejskiéj ulicy. Kilka drabiastych

wozów, ciągnionych dobranemi parami pracowitych wołów, zmierzało ze snopkami ku stodołom dworskim, wolno koło nich szli gospodarze, lekko kierując, znanemi wyrazami, przywykłe do nich zwierzęta.

Gospodynie z sierpem założonym na ramię szły śpiesznie, niosąc w fartuchach trochę na *miedzy* urzniętéj trawy dla ulubionych swoich krówek. Dziewki równianki z kwiatuszków do sierpów przyczepiły i gwarząc ochoczo pomiedzy sobą wyprzedzały gospodynie, to znów się trochę zatrzymywały po-za niemi. Parobcy równie ochoczo wracając odnosili wypróżnione *dwojaczki* w których im w południe gospodyni strawy przyniosła; młodsi z nich przez drogę strugali kijki *cygankami*. A dziatwa starsza świeciła już drobne ogniska przy których matka wieczerzę gotować miała, młodsza wybiegała ochoczo witać wracających i dla kwiatuszka, dla pieszczotki, rzucała garść uzbieranych różnokolorowych kamyków. Gdzie-nie-gdzie przed chatą siedział osiwiały staruszek, lub babka sędziwa na zgotowanéj umyślnie dla siebie ławeczce i błogosławili w duszy powracającéj drużynie i dziękowali Bogu że im ten dzień jeszcze szczęśliwie spędzić dozwolił.

Wtém od strony świątyni ozwały się poważne dzwony wzywające na *anioł-pański*, cała wracająca gromadka stanęła nagle, i czekających gro-

no jakby laską zaczarowaną wstrzymało się na miejscu, potém wszyscy jedną wiedzeni myślą padli na kolana. Gdzie kogo pierwsze uderzenie doszło, tam kornie chylił czoło i ze skruchą odmawiał *pozdrowienie - anielskie;* ci na środku drogi, tamci u wrót zagrody, owi przed drzwiami chaty; starcy i dorodna młodzież, niewiasty i dzieci, — gospodarze obok swoich spokojnie zatrzymanych wołków, parobcy z na pół skończoném zajęciem, słowem nie było wyjątku żadnego — bo i my z mamą uklękłyśmy nabożnie miłém zniewolone rozrzewnieniem. Zwyczaj ten oddawania publicznéj czci przenajświętszéj Matce Boga zapewne jest bardzo dawny, musi sięgać początku chrześcijaństwa, zaniedbała go wyższa klassa społeczeństwa, i w niższéj już po części ustawać zaczyna, nasza jednak wioska przechowuje go dotąd.

Tkliwym był widok ukorzonych chrześcijan, tkliwsza gotowość z jaką oddawali się modlitwie niebacząc na miejsce, na rozpoczętę zajęcie — służba ich Boska woła, to tylko czują, ją pełnić śpieszą ochotném sercem. Przeciągłe dzwonów głosy towarzyszyły całéj modlitwie — ustały wreszcie — ruch powstał na wiejskiéj ulicy, tylko najpoważniejszy wiekiem staruszek jeszcze klęczy z modlitwą w ustach, jeszcze oczy wznosi do nieba.

Przybliżyłam się ku niemu, był-to poczciwy nasz Jacenty, ośmdziesięcioletni starzec, ulubieniec całéj wioski, z całą wioską pokrewieństwem lub kumostwem złączony, a którego miłym powieściom i ja tak chętnie ucho podaję. Stanęłam opodal niego,— mama rozmawiała z gospodynią po drugiej stronie ulicy;— staruszek modlił się ciągle — wtém dźwięk pojedynczego dzwonu ozwał się znowu, po chwili drugie nastąpiło uderzenie, i znowu za chwilę trzecie i tak z przestankami odzywających się ciągle aż dziewięć uderzeń naliczyłam. Dopiéro po dziewiątém starzec się podniósł.

— Jak się macie? Jacenty, zapytałam, cóż was dziś tak długo na modlitwie zatrzymało.

— Nie dziś tylko, droga panienko, wszakże ja codzień po odmówieniu *pozdrowienia anielskiego*, jeszcze dziewięć *zdrowaś* dodaję. Bo też to człowiek na starość chętniéj się modli za dusze zmarłych, czując sam bliską godzinę w któréj w pobożnych modlitwie ratunku potrzebować będzie.

— A za czyjąż duszę dziś się modliłeś?

— Panienka chyba żartuje, przecież panienka *piśmienna*, musiała czytać w księgach co znaczy dziewięć uderzeń dzwonu po przedzwonieniu na *anioł-pański*.

— Nie, mój kochany Jacenty, rzekłam trochę

zakłopotana, nie wiem co znaczy te dziewięć uderzeń.

Jacenty spójrzał z niedowierzaniem na mnie, ale wyczytawszy z méj twarzy prawdziwość zaręczenia, powiedział:

— Młodeć panienki latka, wiele jeszcze, wiele rzeczy możesz nie znać. Ja chociaż nieuczony na książkach, nasłuchałem się przez życie wiele, a ce mi o dziewięcio-krotném uderzeniu dzwonu ojcowie mówili, to dziś kochanéj panience powtórzę.

Zaraz po królu Jagielle co to wiarę z całą Litwą przyjął dla dobréj i pięknéj naszéj Jadwigi, wstąpił na tron polski syn jego Władysław, młody, mężny, a wojen chciwy;— gromił on turków długo, nareszcie zgodził się z nimi i na lat dziesięć pokój poprzysiągł. Ależ niedługo trwało przymierze, zerwał je król Władysław i wojnę turkom nową wypowiedział. Nie podobało się Bogu lekceważenie przysięgi, i w nowéj wojnie odmówił swojéj opieki. Pomimo męztwa i usiłowań naszych wojowników, wojsko wielkie poniosło klęski, nareszcie ostatnie pułki, którym sam król przewodził, zdradą turków na bagna wprowadzone, smutny znalazły koniec. A wojska było jeszcze dziewięć tysięcy. — Długo polacy wierzyć nie chcieli zgonowi króla i tak wielkiéj mężnych rycerzy stra-

cie, ale kiedy po trzech latach bezkrólewia nikt nie powrócił z wyprawy, wezwano drugiego syna Jagiełły na tron polski, a do pacierzy wieczornych dodano dziewięć *zdrowaś-Marja* za dusze poległych bez pogrzebu, bez modlitwy na grobie.

— Rozumiem teraz, rozumiem, rzekłam, dziewięć uderzeń dzwonu jest przypominką téj modlitwy.

— Tak, panienko, dodał starzec, tak przynajmniéj ojcowie nasi powtarzali.

Podziękowałam Jacentemu za opowiadanie, i wróciłam do domu z sercem pełném uczucia. Obraz kornéj modlitwy kmiotków nadługo utkwił mi w pamięci. Jaka szkoda że ten zwyczaj religijny tak ginie powoli nawet pomiędzy wieśniakami! Zwyczaje takie są poezją życia ludu, kształcą jego czucie, uszlachetniają obyczaje, biada tym co je niszczyć zapragną!

Co do opowiadań Jacentego dowiedziałam się od mamy, że podanie to krąży w ustach ludu, i że ponieważ nawyknienie powtarzania dziewięciu uderzeń dzwonu po wieczorném przydzwonieniu żadnego innego nie ma usprawiedliwienia, podanie to być może zgodne jest z prawdą. Ile-to takich podań odkryćby można pomiędzy wieśniakami, gdyby młode ziemianki częściéj przysłuchiwały się powieściom sędziwych kmiotków,

w nich czasem rys obyczajów, charakteru tego ludu pracowitego schwyciłyby. Bo jeżeli pragniemy mocno szczęścia włościan naszych, nie odsuwajmy ich od siebie, ale poznajmy zbliska i dopiero starajmy się poprawić to co w nich złego odkryjemy.

W. T.

GŁÓD

Z PODAŃ LUDU KRAKOWSKIEGO.

I.

Głód jestto klęska tak straszna, tak sroga!
Najcięższa z wszystkich kar mściciela Boga.

F. R.

Na Krzemionkach gdzie szumią piękne, cieniste gaje, stoi mała, nizka, słomianną strzechą pokryta chata. W chacie mieszka Bożenna; ma czworo dzieci, trzy córki: Hannę, Marję, Dobrogniewę i jedynego synka Stasia, najmłodsze i najdroższe jej dziécię, najdroższe podobieństwem

do ojca którego imię nosi. Hanna najstarsza dziewięć lat liczy. Były to śliczne, małe stworzenia z niebieskiemi oczyma, jasnemi włoskami; rzekłbyś czworo aniołków raju, cztery młode pączki, co kraśnym wieńcem otaczają rozwiniętą różę!

Pora już bardzo spóźniona, a w chacie świeci się jeszcze. Bożenna blada i zmieniona, z wychudłą twarzą, zapadłém i przygasłém okiem siedzi przy kominie, na którym kilka drzazg migocze; głowa jéj oparta na dłoni, oczy wlepione w płomienie. „Śpią, mówi cichym głosem, nie płaczą; ale jutro znów płakać zaczną i wołać „chleba, matko, chleba!“ a tam pusto w komorze. Wczoraj ostatni oddałam kawałek i wkrótce zacznie się dzień trzeci jak nic nie jadły biedne moje aniołki. Ach to jutro, to jutro!! Matak patrzyć będzie jak głodną, powolną śmiercią zagasną jéj dzieci. Patrzyć na długą konania katuszę, cztery razy widzieć ulatujące życie któreby własném chciała okupić tchnieniem, cztery razy słyszeć ostatni jęk konania, czuć jak puls zastyga, jak serce bić przestaje! Cztery razy żegnać się z życiem, szczęściem, nadzieją— to stokroć gorzéj jak umrzeć w istocie, gorzéj niżeli w piekle być musi, bo tam nie ma głodu, głodnéj śmierci dziatek! — Stasiu, mój Stasiu! Hanno, Marysiu, Dobrogniewo droga!“ J blada blednie-

je jeszcze, zasłania lica, odwraca oczy jakby u stóp jéj drgały już ciałka jéj dzieci; drzy, choć to była ciepła, cicha, wonna noc lata. Po chwili wstaje, na palcach idzie w głąb izby, zbliża się do łóżeczek dzieci i składa pocałunek na drogich czołach z tkliwą, smutną czułością, jakby to ostatnie pożegnanie być miało. Lecz kiedy się nad małą Marją pochyla, patrzy na niegdyś tłuściutką i rumianną a teraz wynędzniałą twarzyczkę, dziewczynka jakby zgadując obecność matki wyciąga rączki i pół-senna, mówi nieotwierając oczu „daj mi co jeść, mamo.“ Bożenna, któréj te słowa w duszy się ozwały, chwieje się, chyli, ociężałą głowę opiera na posłaniu dziecięcia; szumi jéj w uszach, ściska się serce, ćmi wzrok i wreszcie zawierają się oczy.

Byłoto w strasznych dniach klęski i nieszczęścia, kiedy ciążąca Boga prawica z mieczem gniewu i kary zawisła nad piękną Polski krainą, w czasie głodu, za panowania Kazimierza III.

Kiedy Bożenna odzyskała zmysły słońce już było wysoko na niebie, osłabiona podnosi się, klęka i stłumionym modli się głosem.

I cóż to za obraz! młoda jeszcze i piękna kobieta wyniszczona głodem i cierpieniem, co za najmniéjszym szmerem obraca głowę, z bolesnym przestrachem wlepia oczy w uśpione dzieci.—

Daj nam powszedniego chleba mówi zalewając się łzami. *Daj nam powszedniego chleba.*" powtarza jakby odbite echo; zadrżała, ona coby życie oddała za każde ze swoich dzieci, ona życzy sobie prawie, nieśmiejąc pomyśléć o tém, aby się już nigdy nie ocknęły.— Byłaby to śmierć lżejsza i mniej bolesna! Hanna już się obudziła, zwlekła się z pościeli i klękając przy matce powtarza za nią *Daj nam powszedniego chleba.* Bożenna w milczeniu przyciska ją do serca, wznosi oczy i ręce do nieba mówiąc przerywanym od łez głosem: Boże ratuj moje dzieci!

Niedługo wszystkie się pobudziły, sen pokrzepił je nieco, Staś tylko najmłodszy i najsłabszy zawsze, podnieść sie już nie może, główka bez władzy prawie opada na poduszkę; ledwie tyle zostało mu siły że jeść woła i wyciąga ręce do matki.

Mamo czy dziś nie będziesz gotować śniadania pyta Marja patrząc smutnie na komin. Ja ci napalę ogień, rzecze Hanna zgadując myśl siostry. A ja nazbieram smolnych wiórków, i suchych jodliny gałązek, dodaje Dobrogniewa.

Bożenna nie ma dość siły okropne *nie* wymówić. Dobrze, dobrze, moje dzieci, napalcie ogień ja zaraz ze śniadaniem powrócę, a ty Hanusiu zabaw Stasia skoro płakać zacznie; i mó-

wiąc to wychodzi z chaty dla zebrania myśli i odwagi, którą jéj widok dzieci odbiera. Ale na próżno pogrążona w myślach drzącym krokiem las przebiega, znikąd ratunku, znikąd pomocy spodziewać się nie może. Udać się do krewnych lub przyjacioł i oni również głód cierpią; prosić możnego jakiego pana o zapomogę, i na to wiele rachować nie można, wiele czasu upłynie nim do bogatego dworcu dopuszczą ją służalce, pan może zajęty, może go w domu nie zastanie, a biedne jéj dzieci nie wytrzymają do wieczora, trzeci dzień się zaczął jak kawałka chleba nie było w łaknących ustach. Ale jakże do chaty z próżnemi powrócić rękami? jak ich zawieść tak boleśnie? nadzieja chwil kilka może jeszcze zdołała by ich utrzymać przy życiu, a przez ten czas?!! Bóg jest tak wielki i dobry.— Tu szary, okrągławy kamień potrącony nogą Bożenny potoczył się po ziemi. Spojrzała, i nowa myśl błysnęła; ona chce tylko teraz uspokoić dzieci, utulić płacz co jéj serce rani i z poddaniem oczekiwać śmierci.— Podnosi go, kładzie w zapasek, który po drodze do chaty napełnia podobnemi kamieniami. Hanna z siostrami czekała na nią w progu. Mamo, wołała zdaleka, czy masz co na śniadanie, bo ogień dawno się pali.— Mam odpowiada Bożenna, niespojrzawszy nawet na córki co ją radosnym witają okrzykiem

a który w uszach ich matki brzmiał smutniéj niż pieśń pogrzebowa, niż płacz pokutnicy.

Bożenna ma jednak dosyć siły zwodzić te biedne, małe stworzenia, sypie kamienie w garnek, nalewa wodą i przystawia do ogniska.

Czy to rzepa pyta się Dobrogniewa?

Zapewne moja siostrzyczko.

Rzepa! ja bardzo lubię rzepę; dasz mi jéj pełną miseczkę, mamo, dodaje Marja, ciągnąc za suknię Bożennę.

Będziemy jeść rzepę! wołają klaszcząc w ręce wszystkie trzy dziewczynki, a Staś powtarza słabym głosem „będziemy jeść!“ Biedna matko co się dzieje w twojéj duszy!

Zaledwie woda zwierać się zaczęła Marja pyta się matki, czy się już ugotowało śniadanie. —„Nie Marysiu jeszcze nie, patrz jak rzepki są twarde.“

— A nie można jeść surowych?

— Nie, otrułabyś się.

— Co to jest *otrułabyś się*, mamo?

— Byłabyś tak blada i zimna jak Świętochna twojéj ciotki Wojciechowéj i zagrzebano-by cię w ziemię.

— Czy wtenczas jeść-by mi się nie chciało?

— Chciało, moje dziécię, odpowiada Bożenna, nie-

wiedząc prawie co mówi, a Marysia smutnie spuszcza główkę, wybiera najsuchsze drewka i podaje Hannie która garnek obkłada.

Tak biedne dzieci ze łzami w oczach cały dzień prawie czekały prubując czy się już ugotowała rzepa i coraz to większy paląc ogień. Niestety! wiele czasu, wiele łez potrzeba, aby się twarde zmiękczyły kamienie!

Słońce chyliło się ku zachodowi a trzy siostry przytuliwszy się do siebie, siedziały na ławie przy kominie z wlepionemi w garczek oczyma w którym woda wre, pryska i kipi. Bożenna z pochyloną na piersi głową, nie przytomna sobie prawie spokojnie czeka śmierci. Tu Staś jęknął boleśnie. Bożenna nie podniosła głowy, silniéj tylko ścisnęła mały, drewniany krzyżyk który w ręku trzymała.— Mamo, mamo, zawołała przerażona Dobrogniewa!— Staś nie żyję! krzyknęła Hanna zalewając się łzami. Zerwała się Bożenna, schwyciła martwe dziecię w obięcie, przycisnęła z rozpaczą do łona. „Nie żyje!“ zawołała i upadła bez zmysłów konwulsyjnie cisnąc w obięciach ciałko najdroższego dziecięcia.

II.

Miłe, wesołe, zielone bory
Gdzie nucą szczygły, świszczą sikory,
Gdzie zwierz ucieka, a gończe gonią,
Myśliwcy pędzą i w trąbki dzwonią.

Pani Jeziora. Walter Szkot.

Na Krzemionkach gdzie szumią piękne, cieniste, gaje, trzech rycerzy jedzie wolno krętą, wązką dróżyną a wiatr zlekka porusza wiotkie pióra co im u czapek bieleją. To król Kazimierz co samotnie wyjechał na łowy; towarzyszą mu Zbigniew na Gosławicach i Bronisław jedyny syn możnego pana Zamieczynu. Gdy wyjechali na małą łączkę ocienioną drzewami, król zawołał zatrzymując konia: Tu spoczniem, mości panowie! słońce chyli się po za drzewa, rumak i jeździec znużeni, nie zawadzi chwila wytchnienia. Konie wypoczną i podjedzą trochę, dodał siadając na pieńku ściętego drzewa, a w naszych myśliwskich torbach niezły znajdzie się podwieczorek dla ich panów, tylko pić chce mi się nieznośnie, w lesie jest zapewne jakie źródło, war-

toby go poszukać. Bronisławie! naczerpiesz wody w rogową czarkę co tam widzę przytroczona u siodła zabiegłego pana Gosławic.

Bronisław wnet się oddalił pożegnawszy króla ukłonem. Hej! mój mości polowy podczaszy, wołał za nim Kazimierz, sprawcie się tam dobrze a prędko, bo was niecierpliwie oczekiwać będziemy. Bronisław raz jeszcze się skłonił dziękując za łaskawe króla wyrazy i znikł po za drzewami.

Nieszczęśliwe dziś mieliśmy łowy, rzekł monarcha obracając się do Zbigniewa. Lekko wrócim do Krakowa Najjaśniejszy Panie, nie pomęczym koni; ale co do tego rogacza to stawiłbym się jeden przeciwko czterym, że to ten sam co nas tak wywiódł w pole na owych wielkich łowach przeszłego roku, jeżeli sobie przypomnieć raczycie, Miłościwy Panie.

Oj! pamiętam, pamiętam dobrze! ślicznie nam się udało, jak o zakład co krok to zwierzyna, tylko ów przeklęty bywalec był mi nie pomyśli, dałbym tyle złota co ważą jego rogi gdyby..... Tu dał się słyszyć odgłos przyspieszonych kroków, Kazimierz się obrócił i spostrzegł szybko idącego Bronisława. „Źle jak widać na waszym sprawiliście się urzędzie, rzekł do niego z nieukontentowaniem, bo z próżnemi pono wracacie rękami.“

— Darujcie mi, darujcie Najjaśniejszy Panie, wołał Bronisław — Ach! co ja tam widziałem!

— Coś bardzo strasznego, dodał król łagodniéj, kiedy się uląkł nasz mężny rycerz, założylibyśmy się o Krakowską ziemię, że jaka modrooka rusałka co źródła pilnuje.

— Nieżywa kobiéta z martwém dziecięciem na ręku, trzy małe, spłakane dziewczynki umierające z głodu! A ta niewiasta, Miłościwy Panie, szalona, czy czarownica gotowała im kamienie.

Przez mękę S. Wojciecha, krzyknął król z przerażeniem, to cóś gorzéj jak rusałka zwodnica, na koń, mości panowie, co żywiéj dla Boga! Pokażcie nam drogę Bronisławie!

Prosto Najjaśniejszy Panie, potém nalewo dróżyną koło dębów, tuż za krzakami, co tam zielenią na dole.

Król spiął kona ostrogą a mały orszak cwałem za nim wyruszył i za chwilę Kazimierz Wielki wszedł pod niską strzechę ubogiéj lepianki.— Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony, rzekł stawając w progu izby. Nikt mu nie odpowiedział. Trzy siostry zlęknione widokiem rycerzy tuliły się do zimnego łona matki, jakby tam jeszcze obronę znaleźć mogły. Król się przybliżył, przemówił do nich; a przyjacielskie wyrazy, łagodny dźwięk głosu i dobrocią tchnące oblicze wnet w zaufanie dziecinny przestrach zmieniły

Hanna cichym, bo od łez tłumionym głosem opowiedziała śmierć brata, matki, i o owéj twardéj rzepie co się od rana ugotować nie chciała. Król spojrzał na komin i z podziwieniem zobaczył pęknięty garnek i kilkanaście rozpalonych kamieni w popiele; kazał Zbigniewowi podać sobie torbę z żywnością i sam dał każdéj dziewczynce po dużym kawale pszennego chleba i sarniéj pieczeni. Następnie zbliżył się do Bożenny i klękając przy niej na ziemi trzeźwić ją zaczął; gdy świeżą wodą blade zlał lica, życie lekkiém zwiastowało się westchnieniem. Chwała bądź Bogu, zawołał radośnie! ona żyć będzie. Bronisławie pomóż nam przenieść ją na łóżko— podłóż poduszkę pod głowę... wyżej nieco... tak to dobrze. A teraz podaj wody, damy jéj pić.

Zaledwie wlał jéj w usta parę kropel ożywczego napoju, Bożenna zupełnie odzyskała zmysły. Aniele stróżu mój! zawołała wyciągając ręce do Kazimierza. Bądź spokojna, odrzekł król zcicha, wzruszenie szkodzić ci może. Ale biédna kobiéta co przez ten czas pilnie się w twarz książęcą wpatrywała, poznała szlachetne rysy i choć osłabiona, szybko zerwała się z łoża, padła na kolana. Król mój i pan! zawoła, z płaczem ściskając nogi monarchy. I pod ciemną rzęsą Kazimierza zabłysła srebrna łza szczęścia, co na piękne stoczyła się lica; a potężny władca bo-

gatéj i rozległéj krainy, płaczący nad wdzięczną niewiastą któréj życie przywrócił, stokroć wydał się większym zwilżonemu oku Zbigniewa i Bronisława, jak kiedy otoczony całym blaskiem majestatu, z złotą koroną na głowie, purpurą odziany, na wyniosłym siedząc tronie odbierał hołdy odległéj dzierżawy.

Gdy pierwsze wzruszenie minęło, Kazimierz podniósł z dobrocią płaczącą u stóp jego Bożennę i posadził na łóżku, a trzy małe dziewczynki widzą matkę zdrową, przybiegły do niéj z radością i pnąc się na kolana, czepiając u szyi okrywały ją pocałunkami, i z wyrazem szczęścia na małych twarzyczkach, pokazywały chleb i mięso któremi je *dobry rycerz* obdarzył. Ale pieszczoty tych niewinnych istot bolesne wspomnienie obudziły w jéj sercu. Brakowało Stasia! król pocieszał jak mógł stroskaną matkę, i już drżące promienie księżyce przedzierały się przez wąskie okienka, kiedy opuścił chatę przyrzekając pamiętać o biednéj rodzinie. Nie zapomniał danego słowa; nazajutrz zaraz kazał opatrzyć chatę ubogiéj wdowy, o któréj i nadal pamiętał. W kilka lat potém, wspomniawszy o tém zdarzeniu, słyszano go jak mówił ściskając z uczuciem rękę Bronisława z Zamieczynu, winniśmy wam jedną z najpiękniejszych chwil naszego życia.

Historja nazwała go *Kazimierzem Wielkim*, w wdzięcznych sercach ludu żyje pamięć *dobrego króla chłopków.*

Marja M.

WSPOMNIENIA WYGNANKI

(Ciąg dalszy).

V.

Dziennik Maryi.

.... do lady Wilton.

Pani! przyjmij najprzód moje dzięki za to, że zajmując się mną łaskawie, kazałaś mnie czytać i pisać nauczyć;— cóż to za pociecha! mój Boże! gdybym tego nie umiała, na czémżeby mi zeszły te długie dni, te bezsenne noce, które sama jedna wśród więziennych ścian przepędzam.— Już teraz jestem spokojniejszą trochę, ale z początku, cóż się za mną działo!— Przywykła z dzieciństwa

do pieszczot dobréj matki, zepsuta twojém łaskawém pobłażaniem, pani! w więzieniu, pod strażą surowego dozorcy, i.... oskarżona.... o kradzież!....

Długo, długo nie mogłam zrozumieć czy we śnie, czy na jawie tak okropna zaszła ze mną zmiana, ale samotność i zamknięcie prędko przytomność umysłu powraca, dziś jasno, wyraźnie widzę moje położenie, i nie rozpaczam;— o nie! ja ufam w Bogu, On mię tylko doświadcza nie karze, wszakże jestem niewinną, ty wiesz o pani! że ja-bym się nigdy takiéj nie dopuściła podłości.

Prawda że próżno gubię się w domysłach, nie mogąc pojąć jakim sposobem z pokoju w którym nikt prócz mnie nie był, mogły zginąć te nieszczęsne brylanty;— ale powtarzam, ufnie i cierpliwie czekam wyjaśnienia téj sprawy, i pewną jestem że cierpienia moje niedługo potrwają.

Nie wiem jeszcze, kiedy mnie sądzić będą, podobno zbierają świadków i dowody— czego? nie rozumiem, ależ bo ja spraw sądowych nie rozumiem wcale.

Mniemałam, że myśli moje będą mogły dojść niekiedy do pani, ale niestety strażnik powiedział

mi dziś stanowczo, że lubo mu polecono dostarczać mi papieru i innych piśmiennych przedmiotów, listów moich nikomu oddawać ani przesyłać nie może.— Jestem pod sądem, wszystkie myśli, każde słowo moje sędziów jest własnością, ja z nikim żadnych nie powinnam mieć związków aż dopóki, (jak strażnik ów powiada) sąd mnie nie potępi lub nie uniewinni.— O! uniewinni pewno! nieprawdaż pani? mogłożby być inaczéj?— pojmuję ja że uwięzienie moje potrzebném było dla uniewinnienia starego Gilpina i jego rodziny; — żądanie jego słuszném uznają, nie oburza mnie ono, i owszem, uważam to za dowód szlachetnéj duszy.— Pani w dobroci swojéj dla mnie ofiarowałaś mu wynagrodzenie za to, że go niesłusznie posądzono;— on, nie przyjął nagrody, jemu nie idzie o pieniądze, on tylko chce podnieść i oczyścić imię swojego rodu;— bo téż — czyż dla tego że się cyganem urodził, każdy ma prawo zwać go oszustem i zbrodniarzem? Rozumiem teraz jak gorzko być mu musiało, kiedy go związanego przyprowadzono do Wilton-hallu, kiedy po drodze i w zamku witano go zniewagą, a on był niewinny!

Tak.... bo drzwi były zamknięte, drugiemi nikt prócz mnie nie wchodził..... jak się to jednak stało?.... czyby Betty?.... ale nie, ona by nie tknęła cudzéj własności, a gdyby nawet przez pu-

stotę chciała sobie błyszczący klejnot przywłaszczyć, nie miała gdzie go ukryć;— owego pamiętnego dnia ubraną była w szeroką, bawełnianą sukienkę, nie miała paska, ani kieszonki, ani chusteczki na szyi,— u kraty, przy ojcu poprawiałam jéj ubranie, byłabym spostrzegła.— Ha! to się pewnie wyjaśni.— Tymczasem często pisać będę, może choć kiedy pismo moje dojdzie do ciebie pani, i przekona cię, że biedna Marja nie stała się niegodną twojéj dobroci.— Nie, nigdy nie zapomnę, jak panią przeraziła myśl że podejrzenie o kradzież paść na mnie może, jak pragnęłaś zatrzeć tę sprawę, zrzekając się odzyskania straty, pragnąc milczenie Gilpina złotem okupić;— a potém kiedy mnie miano brać do więzienia, nie w więzach wśród surowych sług sprawiedliwości, lecz w twoim pani powozie, obok ciebie przebyłam drogę do Edymburga wiodącą, tyś mnie jak własne dziecię sędziom powierzyła, opieki twojéj doznaję nieustannie, czuję ją w każdéj chwili, w łagodném obchodzeniu się ostrego strażnika, w wygodach życia, w téj możności czerpania pociechy i odwagi z ksiąg pobożnych, w tém ułatwieniu i uldze jakiej doznaję wylewając na papier uczucia moje— dzięki ci raz jeszcze pani.... ale... słyszę otwierają drzwi moje— to niezwykła pora musiało się stać cóś nadzwyczajnego.

Boże mój! co za próby! moja matka, moja biedna, droga matka o tyle mil przybiegła dla widzenia się ze mną.— Wyznała że w oddaleniu, niewidząc mnie oddawna, posłyszawszy pod jakim jestem zarzutem, zachwiała się w zaufaniu we mnie, zwątpiła o władzy słów i nauk które od dzieciństwa w serce moje wszczepiła;— niespokojna, nie wytchnęła nawet z podróży, lecz korzystając z wyznaczonéj na to godziny, kurzem okryta stawiła się w rozmownicy, by mnie widzieć, by na mojém czole wyczytać hańbę lub pociechę.— O! jakimże wzrokiem patrzyła na mnie, jak jéj usta drżały, gdy tysiączne zadawszy mi pytania względem zginionego piórka, słuchała opowiadania mego! z jak tkliwém uczuciem przycisnęła usta do mego czoła przez kratę rozmownicy, kiedy się przekonała o mojéj niewinności.— O, serce matki! ona również jak ja nie rozumie całego tego wypadku, a przecież mi wierzy, płacze z radości myśląc że serca mego nie splamiła i nie splami zbrodnia, choć nietyle ile ja ufa przyszłości, nie tak śmiało końca całéj sprawy wygląda;— wraca do domu spokojnie, chociaż nieraz jeszcze imię moje z szyderstwem i pogardą wymówione uderzy jéj ucho.

Ojciec mój oddawna już nie był w domu, Betty ciągle z nim się tuła;— jednakże, lepiejby dla mnie było, gdyby wrócili oboje, możeby

się od Elżbietki dowiedzieć czego można;— choć rozważając wszystko, pewną prawie jestem, że ona zginionego klejnotu nawet nie widziała:— odeszłam ją śpiącą, gwarem cyganów zbudzona ukazała się w oknie na chwilę, ztamtąd sprowadziłam ją sama na dziedziniec, po ową straszną wróżbę, ze mną wróciła na górę i nie weszła już do mego pokoju.

Mówiła mi matka, że na prośby lorda i lady Wilton sąd chciał pominąć oskarżenie moje, lecz mściwy Gilpin domaga się ścisłego wymierzenia sprawiedliwości, jemu idzie o przywrócenie dobrego imienia cyganom!— śmieszna rzecz!... a jednak prawdziwa; bo u nich nie występek, lecz niezręczność hańbi, dać się schwytać na kradzieży w przytomności swego zwierzchnika, byłaby to wieczna plama dla całéj gromady.

Od trzech już tygodni jestem w więzieniu, i w zupełnéj o moim losie niepewności, ale teraz zdaje się, że wkrótce wszystko rozstrzygnioném będzie, dziś był u mnie obrońca którego każdemu oskarżonemu wybrać sobie wolno, ja sama nie znam tu nikogo, ale lord Wilton uprosił jednego z najznakomitszych prawników by się zajął moją sprawą.

Jest to mąż w podeszłym już wieku, poważny i surowy, ze mną jednakże mówił uprzejmie, wypytywał się o najdrobniejsze szczegóły, zapisywał odpowiedzi moje, a osobliwie zwracając uwagę na rozkład pokoi w Wilton-hallu, powtarzał:

— Nikt obcy wejść nie mógł! to będzie trudno wytłumaczyć!

I chodził szybko po ciasnéj celce, a potém stawając przede mną rzekł z dziwnym wyrazem:

— Ależ dziecię moje! przypomnij tylko sobie kiedy — uważaj! — kiedy zamknęłaś drzwi twego pokoju.

— Zamknęłam je w chwili, gdy lady Wilton wróciwszy z Glasgowa wysiadała z powozu.

— I kiedy brylantów jeszcze nie było?

— Tak jest, późniéj dopiero wniosłam je sama.

— Może późniéj drzwi otwierałaś?

— Ani na chwilę.

— Może twoja siostra, która jak mówisz była w pokoju?

— Betty spała, a klucz był u mnie w kieszeni.

— Dziwna, dziwna rzecz! rzekł adwokat, i wziąwszy mnie za rękę, z tkliwością, ze łzami prawie mówił:

— Możeś zapomniała, — bo... widzisz.... dla ocalenia ciebie, trzeba mi przynajmniej wątpli-

waści o zamknięciu owych drzwi nieszczęsnych.— Gdyby były chociaż na chwilę otwarte w czasie gdy stracony klejnot był już w pokoju, wszystkoby się skończyło.— Mógłby wejść kto obcy, cygan który naprzykład... bo że jeden z nich był na schodach i probował drzwi otworzyć, to wiem z pewnością od starego Gilpina.

I poważny adwokat patrzył na mnie z trwogą, z niespokojnością oczekując odpowiedzi mojéj.

Milczałam;— burzyło mi się w głowie, szumiało w uszach;— jedném słowem mogłam zakończyć wszystko, nieobwiniając nikogo odzyskać wolność, wrócić do domu, do matki, obrońca mój czekał na to słowo, pragnął je usłyszeć;— już otworzyłam usta, ale na szczęście czy nieszczęście nie mogłam wyrzec kłamstwa.

— I jakże? rzekł obrońca.

— Jak już mówiłam.— Niech się dzieje wola boża.

Ścisnął moją rękę.

— Tak, dziecię moje! niech się dzieje wola Boga, On jako obrońca prawdy nie dopuści twéj zguby.

VI.

Rodzina oskarżona.

Matka Marji pocieszona cokolwiek widzeniem się z córką, poleciwszy ją raz jeszcze dobrotliwéj opiece lady Wilton, wróciła do domu, do pracy, i całém sercem ufając Bogu ze smutkiem lecz bez goryczy myślała o cierpieniu ukochanego dziecięcia, i niespokojnie liczyła w myśli od jak dawna nie widziała się z mężem i młodszą córką.— Kiedy już doszła do swojéj wioseczki, zdziwiło ją niemało, że drzwi i okiennice które wychodząc pozamykała starannie, były otwarte;— przyspiesza kroku, wbiega do chatki, i spostrzega małą Betty spoczywającą na łóżku, a przy niéj Gilberta siedzącego z spuszczoną głową, i z założonemi na piersiach rękami.

Krótko trwała radość biednéj kobiety, Elżbietki twarzyczka rozpalona i nabrzękła, usta spieczone, przymknięte oczy, wskazywały wyraźnie, że bezwładność dziewczęcia nie ze snu lub utrudzenia, ale z straszliwéj pochodziła choroby.

Betty miała ospę;— nieprzytomny sobie ojciec,

nie poznał tego z początku, słabe i skarżące się dziecię uspokajał łakotkami wzmagającemi jego cierpienie, lecz widząc że ani pieszczoty, ani spoczynek, ani leki wiejskich kobiet, od których zawsze litościwego doznawał przyjęcia, nic nie pomagały, nie rozumem zapewne lecz uczuciem wiedziony, przyniósł Elżbietkę pod domową strzechę, oddał ją w opiekę matce, i sam, lubo nie lubił ciasnych ścian chaty wśród których zawsze zbyt duszno mu było, zasiadł przy łóżku choréj.

Rozrzewniający to był widok, jak biedna matka kryjąc w sercu obawę o jedno dziecię, wszelkiemi siłami ratowała drugie,— jak ów obłąkany który od lat już kilku tułacze wiódł życie, któremu zdawało się że jest panem wszystkiego co go otacza, który w niewiadomości o nieszczęściu swojém od rana do nocy wesołe wyśpiewywał pieśni, teraz smutny, poważny, niewzruszenie czuwał nad cierpiącą dzieciną, wypełniał ściśle drobne polecenia żony odnoszące się do choréj, a jeżeli czasem z nawyknienia, bez myśli wydał kilka śpiewnych dźwięków, natychmiast gniewnie podniósł do ust palec, i resztę dnia w głębokiém przepędzał milczeniu.

Mimo najtkliwszych starań wzmagało się cierpienie Elżbietki, a w miarę wzastającéj jéj choroby, pomnażał się smutek i ponurość Gilberta, żona jego ze wszystkich stron straszliwym nie-

pokojem dręczona, przewidując że ciągłe poglądanie na boleść ulubionego dziecięcia bardziéj jeszcze obłąkanemu zaszkodzić może, oddalała go od łóżeczka Betty pod różnemi pozorami, które niezawsze jéj się udawały.

Raz, kiedy dziewczynka po okropnéj gorączce zasnęła spokojnie na chwilę, a Gilbert siedząc przy niéj, tarł sobie ręką pomarszczone czoło, i kiedy-niekiedy przykładał do głowy palec jakby sobie cóś przypominał, niespokojna matka zbliżyła się doń zcicha, i rzekła półgłosem:

— Wyjdź też przed dom na chwilę, bo oto wiejskie dzieci krzykami swemi Elżbietkę przebudzą.

Gilbert powstał szybko, i ostrożnie drzwi za sobą zamknąwszy stanął przed sienią, na środku wiejskiéj ulicy, i spojrzawszy groźnie na gromadę chłopaków ze śmiechem i hałasem biegnącą, wzniósł w górę nieodstępną swą laskę, i zawołał.

— Cicho!

Podwoiła się wesołość dzieci, bo właśnie w téj chwili, papierowy latawiec którego pierwszy z grona na długim ciągnął sznurku, wzniesiony jesiennym wiatrem rozłożył długi ogon, i poważnie wzniósł się w powietrze.— Rozdrażniony Gilbert poznał przyczynę zgiełku co lube jego dziecię z posilnego snu mógł wyrwać, postąpił parę kroków, i uderzywszy laską w natężony

sznurek przeciął go od razu.— Latawiec oswobodzony wzbił się w obłoki, ale zgiełk i krzyki nie ustały.

Rozgniewane dzieci otoczyły ciasném kołem Gilberta, a lubo poglądając na kij który on zwycięzko na ramię zarzucił, rąk ku niemu podnieść nie śmiały, z drobnych ust popłynęły potoki ostrych wyrazów, a między niemi, ubóstwo, obłąkanie Gilberta, uwięzienie Marji, wszystko słowem co tylko małym wieśniakom zdawało się być poniżającym wyrzutem, uderzało ucho biednego ojca, który oparty o ścianę chaty, z początku z gniewem, potém z wyrazem podziwienia, a nakoniec w zupełném milczeniu, i z zamkniętemi oczyma czekał, dopóki ta drobna lecz dotkliwa nie przejdzie burza.— Ale i burza przeszła, i dzieci znudzone własnemi krzykami rozbiegły się po wsi, a Gilbert nie otworzył oczu; opuścił się tylko na ławkę stojącą przy drzwiach chaty, jedną ręką podparł głowę, drugą schował za suknię, i nieruchomy siedział jak posąg, niedbając na chłód wieczorny, niesłysząc prośb i nalegań żony, namawiającéj go by do izby powrócił.

Księżyc w pełni wzniósł się już na niebie, cisza głęboka w całéj wsi panowała, kiedy obłąkany opuścił nakoniec ręce, otworzył oczy, i

spojrzawszy dokoła jak gdyby sobie cóś przypominał, rzekł cicho:

— Aa!

I po chwili milczenia rzekł jeszcze:

— Aa tak!— Tak mówili!

Nagle, ale bez trzasku otworzył drzwi domku, i stanąwszy przed żoną przędącą przy kominku zapytał:

— Gdzie Marja?

Zdziwiona nagłém zapytaniem biedna matka spojrzała na męża, i przy bladém świetle dogorywającego torfu dostrzegłszy dziwnéj zmiany na jego twarzy, nie wiedziała co mówić.

— Gdzie Marja? kobieto! powtórzył Gilbert, a rysy jego przybrały wyraz surowéj powagi, którą dawniejszemi czasy umiał sobie powszechny jednać szacunek.

— Marja..... rzekła nieśmiało żona:— wszak wiesz.... że jest.... u lady Wilton....

— Bajka!.... nie łudź mię!.... oni mówili że Marja w więzieniu— Mówili.... że Marja, moja córka.... ukradła....

Zakrył twarz rękami i zamilkł pogrążony w wstydzie i boleści;— potém chwytając rękę żony rzekł przytłumionym głosem:

— Mów! czy to prawda?

Matka Marji niemogąc sobie zdać sprawy z owéj zmiany jaka w jednéj chwili zaszła w mo-

wie i postępowaniu męża, opowiedziała mu co zaszło Wilton-hallu, swoją bytność w Edymburgu, rozmowę z Marją, przekonanie o jéj niewinności, i niepewność jaki będzie wyrok sądu.

Gilbert słuchał uważnie, a gdy skończyła siadł przy niéj, i spytał łagodnie:

— Teraz powiedz mi, co się działo ze mną dziś rano, wczoraj, przedwczoraj, i dawniéj, bo próżno myślę, pamiętam tylko Betty, że ją nosiłem na ręku, prowadziłem przez pola i lasy, że ją widziałem chorą, i nic więcéj.

Biedna kobiéta, pod wpływem władzy jaką mąż niegdyś miał nad nią przewagą swego rozsądku, lekko, nieśmiało poczęła wspominać nieszczęsne spadnięcie z rusztowania, i skutki jakie pociągnęło za sobą; — przerwał jej Gilbert mowę uderzając się w czoło.

— Ach! zawołał: — już wiem; — byłem obłąkanym!

Kobieta potrząsnęła głową.

— Ale teraz, widzisz — teraz wszystko to minęło, tu, rzekł wskazując na głowę, i tu — dodał przykładając z boleścią rękę do serca, czuję że mi rozum powrócił.

W jego głosie, w wyrazie twarzy, tyle było prawdy, tyle uczucia, że zdziwiona niewiasta mimowolnie uwierzyła słowom męża, i ściskając mu ręce zawołała:

— Dzięki Bogu! teraz już i o Marję spokojniejszą jestem.— Teraz słowo twoje ważném będzie przed ludźmi, pójdziesz do jéj obrońcy.— I Betty jakoś śpi dłużéj niż zwykle, może jéj się polepszy, może od niéj dowiemy się czego.

— Od Elżbietki?

— Nieinaczéj, ona tylko i Marja była w miejscu skąd zginął klejnot, dziecię niewinnie mogło gdzie zarzucić lub unieść nieznane świecidło, a gdyby i nie to, mówił mi adwokat Marji, że mu koniecznie trzeba widzieć się z dziewczęciem.

— W sądzie? zawołał Gilbert:— Betty w sądzie! ależ ona niewinna!

— Zapewne, ale dla obrony siostry!

Gilbert założył ręce na piersiach, i równym krokiem począł chodzić po ciasnéj izdebce, nakoniec siadł przy śpiącéj ciągle dziewczynce, i wlepiwszy oczy w jéj twarz zeszpeconą niezrozumiałe począł wymawiać wyrazy.

Nazajutrz i dni następnych, nie opuszczał Elżbietki, na prośby i pytania żony odpowiadał tylko:

— Ona niewinna!— bo za kradzież— więzienie!— za kradzież— wygnanie— bo za kradzież śmierć!

Obłąkanie jego zmieniło się tylko, po chwilowém błyśnieniu rozumu nowa go ogarnęła chmura, nowa w umyśle jego powstała obawa,

obawa o Betty, którą jak mu się zdawało, sędziowie porwać, uwięzić, zabić umyślili. — Nie odstępował jéj ani na chwilę, by w nieobecności jego nie zabrano lubego dziecięcia, a kiedy pewnego ranka matka do drugiéj wsi poniosła ukończone przędziwo, wróciwszy wieczorem do domu nie zastała ani męża, ani zdrowszéj już cokolwiek Elżbietki tylko na dębowym stole pod oknem stojącym, ujrzała na znak pożegnania, jasny promień włosów dziecięcia, i pół srebrnéj obrączki, którą mąż jéj od dnia zaślubin bez przerwy na palcu nosił.

P. K.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZENIESIENIE
AKADEMJI KRAKOWSKIEJ.

Wiedzą zapewne, czytelnicy nasi, że jeszcze w roku 1347 Kazimierz Wielki założył akademję we wsi Bawoł, dziś przedmieściem Kazimierz zwanéj. Akademja ta w któréj wykładano tylko prawo a

szczególniéj rzymskie, niezbyt przypadała do wyobrażeń owczesnych panów świeckich, duchowieństwo nie miało pobudek wspierania téj szkoły, kiedy więc jeszcze grasujące okropnie w Krakowie powietrze rozpędziło akademików, zakład ten piękny pierwszym pomysłem, upadać zaczął, a polacy znów u obcych narodów oświaty szukać musieli.

Królowa Jadwiga z żalem widząc bliską zupełnéj zagłady myśl wielkiego króla a dziada swojego, wszelkich dołożyła starań aby podźwignąć i wznieść akademję. Najwprzód więc kosztem swoim wysłała na akademję pragską kilku młodych polaków, aby ci tam ukształceni należycie mogli późniéj przewodniczyć zakładowi naukowemu w kraju, potém wyrobiła u papieża Bonifaciusza IX u którego wielkie posiadała względy, iż ten na wykładanie teologji pozwolił i uczniów profesorów i doktorów teologji świętéj z paryzkimi porównał. Zbyt wczesny zgon Jadwigi nie dozwolił jéj cieszyć się owocem usiłowań swoich, jednakże ostatnie jeszcze jéj myśli były o akademji krakowskiéj. Testamentem wszystkie klejnoty swoje przeznaczyła na odnowienie tego zakładu, a przy ostatniém pożegnaniu z kochającym małżonkiem jeszcze wymogła przyrzeczenie, że zamiary jéj do skutku doprowadzone zostaną. Król Władysław wielki na polu bitwy,

pierwszy w wojowników kole, lecz zupełnie nie obeznany z dziedziną nauk, Jagiełło surowy litwin sam ani pisać, ani czytać nieumiejący, pełniąc ostatnią wolę uwielbionéj Jadwigi— staje się drugim prawie założycielem akademji. Z *Piotrem Wyszem* biskupem Krakowskim i *Janem z Tenczyna* kasztelanem wykonawcami testamentu zakupuje kamienicę przy ulicy żydowskiéj (dziś S. Anny) przywołuje doktorów i magistrów polskich bawiących w Pradze, i pierwsze chwile głębokiego żalu, grubéj żałoby poświęca uwiecznieniu pamięci wielkiej niewiasty, małżonki swojéj 1).

—„W rok po śmierci Jadwigi 1400 roku w dzień S. Marji Magdaleny, to jest 22 lipca, senatorowie i panowie zjechali się do króla. Tegoż dnia rano między osmą a dziewiątą w kollegium Kazimierza W. zeszli się dziekani wszystkich fakultetów, profesorowie i rektor *Stanisław ze Skarbimierza* w długą szkarłatną odziany togę i zaraz poprzedzony od bedelów z długim szeregiem doktorów, magistrów i młodzieży udał

---

1) Sądzimy iż miło będzie, czytelnikom naszym, odczytać wyjątek z historji literatury polskiéj M. Wiszniewskiego o przeniesieniu akademji do Krakowa Dzieło to dziś jeszcze nie dla wszystkich młodych czytelników dostępne, lubo kiedyś bardzo pożytecznem dla nich stać się może.

Przyp: *Redak*:

się na zamek krakowski gdzie go u bramy urzędnicy nadworni uprzejmie powitali i poprowadzili do kościoła zamkowego. Akademicy zastali tu już króla Jagiełłę. Po skończoném nabożeństwie udali się wszyscy na zamek, gdzie się rozpoczęło posiedzenie senatu. Stojący wpośrodku z professorami rektor w treściwych lecz donośnych słowach wychwalał króla, iż o dobro akademji troskliwość i łaskę swą okazywać raczył, i oświadczył razem: iż jest gotów ochoczém sercem spełnić jego królewskiéj mości rozkazy, dla których tu powołanym został. Zaraz więc *Mikołaj z Kurowa* biskup władysławski, kanclerz koronny, w imieniu króla w długiéj mowie rozwodził się, jak bardzo król w duszy swojéj wielką ma dla akademji przychylność, że pragnie ją w koronie królewskiéj umieścić i na czele téj stolicy postawić i dla tago wolą jest jego królewskiéj mości, aby rektor i professorowie do domu Stefana Pancerz, który do jego królewskiéj mości w słuszny sposób należy, na mieszkanie i uczenie przenieśli się, że dom ten od wszelkich ciężarów uwolniwszy, pragnie aby rektor i professorowie w nim tak wszystko dla użytku akademji urządzili, jak z natchnienia bożego za najlepsze u siebie osądzą. Rektor złożywszy królowi dzięki, że miłą niegdyś Kazimierzowi W. perłę w mieście zamknąć pragnie, przyrzekł: iż „da-li

Bóg, akademja stanie się ozdobą nietylko miasta, ale całego sarmackiego świata, a nawet chrześcijaństwa.“ Wziąwszy więc pozwolenie, rektor i professorowie w posiadanie nowego *collegium* byli wprowadzeni; przyczém dom ten w kwiaty i ogromne gałęzie drzew przyozdobiono, jako przyszły muz Apollina przybytek.

Teraz więc całe staranie na to obrócono, aby izby na lectoria, a krzesła i stoły na katedry i ławki zamienić i wprowadzając się do nowego kollegium, nowe życie akademji rozpocząć. Przeniosłszy więc z Kazimierza katedry, a z izb odnowionych urządziwszy lectoria, na wspólnéj naradzie akademję drugiego dnia po S. Jakóbie ewangeliście postanowiono otworzyć i na tę uroczystość króla wraz z senatem, panami koronnymi i litewskimi zaprosić. Dniem wiąc wprzódy ubrani w togi professorowie pokornie króla na otwarcie akademji zapraszali, co i nazajutrz powtórzyli, oznajmiwszy nadto o téj uroczystości po wszystkich kościołach. Tego więc dnia król z przepysznym i długo się ciągnącym orszakiem, udał się z zamku na ulicę Ś. Anny. Najwprzód postępował dwór królewski konno i w świetnéj zbroi, potém konne i piesze wojsko na pięknych koniach i świetnie odziane. Potém szedł rektor w todze purpurowéj axamitnéj, z takimże mucetem złotym galonem obwiedzionym, dalej pro-

fessorowie teologji w togach axamitnych fjoletowych, galonem złotym obszytych z takiemiż *dalmuciis.* Daléj dziekan filozofów w todze szkarłatnéj galonowanej, z takimże mucetem i dalmatyką; po nich szli professorowie gęstym orszakiem królewskich halebardników; za nimi szedł senat, biskupi, wojewodowie i kasztelani w złocistych deljach i w czerwonych butach z nosami wysoko w górę zagiętemi; niektórzy mieli kołnierzyk perłami wykładany i rękawy długie wiszące, za pas pozatykane, żeby po ziemi nie włokły się i wywijane koszule 1). Przed nimi szedł marszałek koronny. Potém ciągnął się długi szereg książąt, nadwornych urzędników, konsulowie krakowscy z całym urzędem miejskim i smutna kazimierowskich mieszczan garstka. We wszystkich oknach, po gankach, nawet na dachach mnóstwo zebranych ludzi z radosnemi oklaski witały wchodzącą do miasta akademję z królem. Łesiste postacie litwinów zwracały oczy mieszczanek krakowskich w złotych na głowie czułkach i rąbkiem na plecy spadającym. Nietylko nie-

1) Niech czytelnik nie bierze za złe wspomnienia, że ówcześni wojewodowie mieli koszule; bo zwyczaj noszenia koszul dopiero w czternastym wieku był nastał, a wojewodowie którzy byli przy otwarciu akademji Kazimierza W. jeszcze bez koszul chodzili.

którzy z tych dumnie przed Jagiełłą stąpających panów, ale i lud z natchnienia i przeczucia wiedział; iż tu wprowadzą do miasta wieczystą pochodnię, z któréj jak z żywego źródła dobroczynne światło po całéj Polsce rozchodzić się będzie, wraz z religją chrześcijańską, ludzi cnotliwszymi a więc szczęśliwszymi czyniąc: że ta szkoła wychowując ludzi światłych i cnotliwych, dostarczy mężów do rady i oręża zdatnych, a ztąd niemało do sławy i świetności kraju przyczyni się. Tak piękne nadzieje ożywiały serca wszystkich, i tych co rozumieli na co patrzą i tych co tylko przeczuwać mogli. Tymczasem tego orszaku nietylko *Collegium* władysławskie, ani ulica S. Anny, ale nawet ogromny rynek krakowski ogarnąć nie mógł; wszędzie widziałeś natłok różnobarwnéj ludności, a między nimi przewijali się żydzi, których łapcie z żółtego sukna na plecach, od innych odróżniały mieszkańców. Tylko więc króla i senat professorowie do nowego kollegium wprowadzili, gdzie zaraz *Piotr Wysz* biskup krakowski *Veni Creator Spiritus*, zaśpiewał. Poczém nieutulony jeszcze w żalu po śmierci Jadwigi król Jagiełło, zasiadł na tronie, a brodaci senatorowie na ławach; był-to wieniec najznakomitszych naówczas mężów: prócz biskupa krakowskiego *Piotra Wysza* który z professora akademji kazimiérowskiéj został niedawno

biskupem, byli: *Mikołaj Kurowski* władysławski i *Albert Jastrzębiec* poznański biskup, *Jan z Tenczyna* kasztelan krakowski, *Jan z Tarnowa* sandomirski, *Jakób z Koniecpola* sieradzki, *Jan Ligęza* łęczycki, *Sędziwój* kaliski, *Maciéj* gniewkowski i *Krzesław* brzeski wojewodowie; *Piotr Kmita* lubelski, *Krystyn z Koziegłowy* sandecki, *Imramus* zawichostski kasztelanowie i *Klemens z Moskorzowa* podkanclerzy koronny. Zaraz więc *Mikołaj z Kurowa* kanclerz koronny biskup władysławski. począł czytać głośno w języku łacińskim przez *Mikołaja z Sendomierza* napisany przywilej którym król prawa i swobody akademji nadawał.

Po przeczytaniu, ten przywiléj, z wiszącą pieczęcią podkanclerzy wręczył rektorowi, który go na klęczkach przyjął. Poczém wstąpiwszy na katedrę *Piotr Wysz* niedawno professor prawa w akademji Kazimiérowskiéj, od roku 1392 biskup krakowski, teraz na mocy przywileju papieskiego kanclerz akademji, otworzył nauki pierwszą lekcją prawa kanonicznego, po któréj zakończeniu winszował królowi, iż podnosząc akademję krakowską, niegdyś przez Kazimierza założoną, zgotował dla siebie niepożytą pamiątkę w całéj potomności i przepowiadał iż akademja póty stać będzie, póki (czego Boże zachowaj) berło królewskie nie złamie się. Na te słowa powstał okrzyk *fiat, fiat!* Poczém *Stanisław* ze

Skarbimierza doktór prawa, kanonik kościoła S. Jana Chrzciciela w Skarbimierzu, pierwszy rektor akademji jagiellońskiéj, wychowany w akademji pragskiéj, dokąd go kosztem swoim Jadwiga posyłała, miał mowę po łacinie.

Po skończonéj téj mowie król i przytomni senatorowie zapisali się w metrykę akademicką 1). Jagiełło jeszcze raz własnemi usty dał uroczyste przyrzeczenie rektorowi i professorom, że będzie się pilnie starał o pomnożenie akademji i za herb dał jéj *orła na tarczy, którą trzyma S. Stanisław*, a rektorowi za herb *dwa berła z koroną*. Potém jeszcze raz rektor Stanisław ze Skarbimierza, ale już po polsku, a może z czeska, za dane przywileje królowi uroczyste w imieniu akademji składał dzięki, dotrzymać i bronić przywilejów akademji za siebie i swoich następców przyrzekał i za podniesienie akademji imieniem wszystkich narodów które tu się uczyć będą, dziękował. Nakoniec król akademikom na zamku wspaniałą wyprawił biesiadę. Tak się odbyło otwarcie akademji krakowskiéj, która wraz z narodem różne koleje w ciągu trzech

1) Jagiełło musiał tylko jakiś znak położyć; bo wiadomo zkąd-inąd że pisać nie umiał.— Ta księga bardzo szacowny zabytek starożytności, spaliła się dopiero w r 1719.

wieków przebywszy, osłonięta opieką trzech potężnych monarchów, dziś jeszcze kwitnie, a dawniéj *Długosza*, *Brośćjusza*, *Hozjusza*, *Kopernika*, Śniadeckich wydała.



BADANIE.

Rzeczko przejrzysta, kto twoje wody
Z gór łona wiecznie prowadzi?
Kto rączość biegu, wyraz swobody,
Modrawym falom brać radzi?

Kwiateczku śliczny! kto barwy twoje
Cudownie w ziemi skrył łonie?
Kto z niéj wydobył urocze zwoje?
Kto ci tak lube dał wonie?

Kto uczył, ptaszku, zbierać ziarneczka,
Wstawać ze świtem jutrzenki,

Bujać w powietrzu, lepić gniazdeczka,
I dzwięczne nucić piosenki?

Gwiazdko złocista, jasna! kto ciebie
Tak cudnym blaskiem ustroił?
Kto z miljonami gwiazdek na niebie
Jedném ogniwem cię spoił?

Istota moja! kto cię rozumem
Pamięcią, wolą obdarzył?
Postacią wyniósł nad istot tłumem,
Serce uczuciem rozżarzył?

Takiem pytaniem dziecię świat trudzi;
Bo nętny wdzięk przyrodzenia,
W niewinnéj duszy pierwszą myśl budzi
Podziwu i uwielbienia.

Lecz nurty rzeczki zwykłe mruczenie
W niezrozumiałéj ślą mowie,
Ptaszki rozgłośne wydają pienie,
Kwiatki szeleszczą w dobrowie.

I gwiazdki ciągle migoczą w dali,
Lecz któż je zrozumieć zdoła?
Długo się dziecię pyta i żali,
A wszystko milczy dokoła.

Wolą w tajniki zagłębia oko,
Rozumu siłą świat bada,

Lecz choć na chwilę wzleci wysoko...
Znowu bezwładnie upada.

A więc uczucie zebrało w serce,
Boga czci wdzięczną ofiarą,
Pychę rozumu tłumi w iskierce,
I czoło chyli przed Wiarą.

W. T.

DO KWIATKA

OD Z. L......

Mam w pamiętniku kwiatek maleńki,
Co zwiądł bez blasku, bez woni,
Zpłowiały, zżółkły. Wzięłam go do ręki,
On listki suchemi szeleścił w méj dłoni;
Wspomnienia tak szeptał! a dźwięki téj mowy
Szły prosto do serca, boleść je ścisnęła;
Tysiące się myśli cisnęło do głowy,
I łezka na kwiatek spłynęła.

O! powiedz mi kwiatku, ta co cię nosiła,
Co w białéj pieściła cię dłoni,
Czy tęskne za tobą westchnienia posyła,
Lub za innym kwiatkiem goni?
Czy kiedy dumając w samotnéj komnacie
Gdy myślą daleko uleci,
Westchnie sobie zcicha skoro wspomni na cię?
Lub łezka jéj w oku zaświeci?

Marja M.

DLA DZIECI Z OCHRONY NOWEGO-MIASTA.

Gdy ranne słoneczko
Złoty promień rzuci,
Oświeci gniazdeczko,
Ptaszynę ocuci,
Wnet ptaszyna szaropióry
Z gniazdeczka się zrywa,

Wznosi się do góry
Bogu piosnkę śpiewa.
Równie jak skowronek,
I wy dziatki małe!
Zaczynajcie dzionek
Przez niebieską chwałę.
Niechaj pierwsze słowo
Będzie: „o mój Boże!“
Wyrośniecie zdrowo,
Bóg wam dopomoże.

Marja M.



WSPOMNIENIA

Kobiet wsławionych w Polsce

VI.

HELENA.

Wśród tylu cnotliwych i szlachetnych niewiast których przymioty na naszej rozwinęły się ziemi, zajmujący nam przedstawia obraz Helena; córka Wszewołoda księcia Bełzkiego, a Kazimierza Sprawiedliwego małżonka. — Około 1180 roku do Polski przybyła, dzieląc ciche, domowe życie sandomierskiego książęcia, patrząc na prawość; szlachetność, sprawiedliwość jego; wzbogacała serce swoje prawdziwie cichemi niewieściemi cnotami.

Cała oddana domowi i wychowaniu drobnych dziatek, spokojnie poglądała na zmiany zachodzące w losie swojéj rodziny, niecieszącsię nad miarę z osiągnienia przez męża najwyższéj w kraju władzy, nie smuciła się również gdy jéj star-

szemu chciał ustąpić bratu;— bogobojnie używając książęcych dostatków, zamiast żałować ich ubytku, cieszyła się i uwielbiała szlachetność Kazimierza, gdy on braciom i synowcom, których za pokrzywdzonych uważał, własnych odstępował posiadłości.

Nie odstąpiła ją ta skromność i wtedy, gdy po śmierci Kazimierza polacy synowi jéj złożyli koronę, a nad młodziuchnym księciem tkliwéj matce poruczyli opiekę.— Objąwszy kierunek wychowania Leszka i Konrada, sprawy państwa zdała zupełnie mężom, w których naród słusznie zaufanie pokładał, a sama w ustroniu żyjąc, starała się ozdobić umysł i serce starszego syna tak, by kiedyś z chlubą dźwignął berło kwitnącego kraju.

Wszyscy prawie dziejopisowie zarzucają jéj zbytnią łatwość, niebaczne może zaufanie położone w niezasługującym na nie Mieczysławie starym, ale żona Kazimierza sprawiedliwego, który tylekroć własnéj odstępował straty, mogłaż mniemać, by człowiek wiekiem schylony chciał siwe włosy swoje splamić niegodnym postępkiem, by brat i stryj rodzony nikczemnie ukrzywdził wdowę i sierotę po bracie?— Niewiasta co przybraną ojczyznę całym ukochała sercem, mogłaż się upierać przy odzierżeniu berła które w słabéj ręce jéj dziecięcia chwiało się bezsilnie, bez pożytku dla kraju, kiedy mąż doświadczony w radzie i wojnie, wzywał ją w imieniu ludu którego

szczęścia pragnęła, by na silne jego barki złożyła ciężar panowania?

Dla tego to tak łatwo zyskał Mieczysław stary przyzwolenie jéj na objęcie rządów Polski aż do pełnoletności Leszka, lecz powolność Heleny z szlachetności a nie z niedbalstwa o dobro dzieci pochodziła, bo kiedy późniéj Mieczysław niedotrzymując przyrzeczeń, nietylko że synom Kazimierza umówionych posiadłości oddać nie chciał, lecz i dziedziczne ich ziemie zagarnął, trwożliwa dotąd Helena mężnie podnosi głowę, wraca pamięcią do czasu w którym na książęcym zasiadała tronie, zwołuje, niby można władczyni, wojewodów i senatorów do cichego Sandomierza i przedstawiając im pokrzywdzone sieroty, wzywa ich wsparcia i obrony.

Dwa razy podstępny Mieczysław zyskał i zawiódł zaufanie Heleny, dwa razy korona spadła z głowy jéj syna, a jednak, gdy po śmierci stryja polacy po trzeci raz ofiarowali ją Leszkowi, i za jedyny warunek zakładali oddalenie Gaworka od tronu, jakąż odebrali odpowiedź?

Leszek dorosły już młodzieniec, który w bitwach doświadczywszy męztwa swego, przypatrzywszy się samowładnym rządom stryja, mógł był zapragnąć chwały i potęgi, rzucił się w objęcia starego mistrza i opiekuna swego mówiąc:

Nad blask, co berło udziela
Wyżéj cenię przyjaciela!

I któż nie pozna czyj przykład i rady tak ukształciły młodego księcia? któż zaprzeczy że tylko tkliwéj i szlachetnéj matki nauka młodzieńcze serce tak urobić zdołała?

Nie wińmy zatém Helenę że silną dłonią nie dzierżyła berła należnego synowi, ważniejszą mu ona wyświadczyła przysługę, ucząc go jak je sam godnie piastować powinien; nie dziwmy się dla czego po wstąpieniu na tron Leszka białego, znika w dziejach ślad Heleny, lubo o jéj śmierci nie ma wzmianki, bo ona pewnie, jak owa z pisma świętego niewiasta, pracowała jawnie, dopóki sieroty potrzebowały jéj pracy, a potém jak tamta zamknęła się w domowém zaciszu, i z wrzecionem w ręku, z modlitwą na ustach, w sercu z wdzięcznaścią ku Bogu resztę dni swoich spędzała.

P. K.



WIOSKA ZBYTKI.

Po prawym brzegu Wisły, niedaleko Warszawy a jeszcze bliżéj Pragi, leży wioska Las. — Tam przejeżdżając pękła mi ławina u sanek, co mnie zmusiło do zatrzymania się, aż kowal miejscowy jak będzie można najprędziej i najlepiej sporządzi — Wysiadłszy do obszernej wielkim kominem opatrzonéj karczmy, widziałam niepodobieństwo dotłoczenia się do tegoż komina; obtuliwszy się więc dobrze futrem usiadłam przy oknie, od którego o sto kroków, latem tak wrzawna i huczna Wisła, dzisiaj mrozem ściśnięta i śniegiem pokryta, spokojnie w swém korycie spoczywała.

Patrząc w tę i ową stronę, ujrzałam nalewo starannie wybudowaną wieś, z drewniannym lecz bardzo porządnym kościołem; zapytałam

więc najbliżej stojącego starca, jak się ta wieś nazywa? uchylił czapki, odgarnął włos już biały, i wejrzawszy w stronę w którą wskazywałam, odpowiedział: to nasza parafja, nazywa się Żyrznie. — Prosiłam aby głowę nakrył i pytałam o bliżej jeszcze nad samą Wisłą leżącą wieś dodając: że nie musi do tego samego pana należeć co Żyrznie, gdyż właściciel nie mogłby o drugiéj swojéj wiosce tak zapomnieć, bo uważałam że dym z wielu chałup zewsząd wychodził, co dowodziło iż kominy poobalane.— Ta wioska należy do jednego pana z za Wisły sami chłopi tam mieszkają, nazywa się Zbytki, odpowiedział. A więc zbytki pewnie wioskę zniszczyły? zapytałam żartem.— O wiele-by o tém mówić, gdybym chciał wszystko opowiedzić, ale jéjmość widzę w podróży, to popasłszy konie musisz dalej jechać. — Nie, mój ojcze odpowiedziałam, muszę czekać aż mi kowal sanki sporządzi, a uważałam że powolny człowiek, ale musi być poczciwy i bogobojny, bo się dzisiaj roboty ani tknąć chciał; — ledwie go przekonałam słowami z Pisma Sgo które mówi: "Ażali ci wół albo osieł w święto do studni wpadnie nie maszże li go ratować?„ tu dopiero mi się skłonił i rzekł: prawda,— słyszałem o tém w Czerniakowie na kazaniu, widzę że i jéjmość z Bogiem trzyma, a interes pewnie pili, toć muszę

sporządzić, bo inaczej tobym miecha dzisiaj nieporuszył.—

Więcéj jak ciekawość, bo chęć prawdziwą miałam, usłyszeć z ust starego coś z dawnych czasów, gdyż ja lubię tę prostą niewymuszoną powieść wieśniaka, ten przechowany w ich czystych sercach zabytek przeszłości, te rozwiane już u wyższych pamiątki, a u ludu tak święcie od pokolenia pokoleniu jakoby w puściźnie przekazywane — i tak: jak zbieracz odwiecznych pomników, patrzy się pełném żądzy okiem na wygrzebane starożytności w Pompei, lub Herkulanum, tak ja chciwie słucham wszystkiego, czego rodzinna ziemia moja, kiedyś świadkiem była.—

Prosiłam więc starca aby mi wydarzenie z tą wioską opowiedział, i kazałam karczmarce postawić grzanego piwa, aby się posilał opowiadając — Wolę wódeczki, jeżeli łaska, bo my tu nadwiślaki musimy się wódką i fajką pokrzepiać, to nas i lody i burze nie zaziebią. — Do waszej woli odpowiedziałam, i słuchałam następującéj historji. —

W téj tu czwartéj chałupie za karczmą, co się już dwa razy paliła, boć się tu człowiek urodził i tu pewnie głowę położy, jeszcze żył dziad mojego rodzica, Panie świeć nad ich duszami,

kiedy ja byłem średniakiem i raz w wieczór z pastwiska z końmi wróciłem, matka mi dali wieczerzą ja jadłem, niejedząc, a na drogę strawą smagałem;— Pradziadek to widząc rzekł: ej! nie smagaj, bo zbytki do niczego dobrego nie prowadzą, a to dar Boży chłopaku.— Wam zawsze na myśli zbytki, odrzekłem bo je przed oczyma macie.— Ale żebyś ty wiedział zkąd je zbytkami przeżwano to byś się tak bardzo nie dziwił.— To mi powiedźcie pradziadku. — a on odłożywszy kij, bez którego już chodzić nie mógł, usiadł na ławie przed domem, nogi na pieńku postawił i tak zaczął: Będzie temu już łat nie wiem wiele, ale pamiętam tak jak dziś, że mnie starsi wowczas na parobka frycowali, i niżelim im wódki i piwa aż po uszy nastawiał, wyśmiewali mnie że pług nie prosto grzędą ale zębiato prowadzę. — Wtenczas tu przybył jakiś wielki pan z naszej ziemi, ale tam gdzieś bardzo zdaleka, co miał Bóg wie ile wsi i miasteczek; a że ta wioska którą w owym czasie nazywano Kłoda, dostała mu się po jakiejś krewnej w puściźnie, kilka więc miesięcy przed swojém przybyciem, przysłał tu dworskiego, ale nie w barwie tylko szlacheckiego syna, bo to u wielkich panów po kilkunastu takich dla parady bawiło. Ten wróciwszy zachwalił, iż to jest bardzo piękne miejsce nad Wisłą. A że blisko Warszawy, więc nowy

dziedzic przybył sam zobaczyć i tak mu się podobało iż zaraz zwiózł takiego co buduje i podobno tego samego, którego król Władysław z Francji sprowadził, jak się z tą pobożną francuzką ożenił. — Wzięto się więc zaraz do fundamentów bardzo wielkiego zamku, pozakładano ogrody i kwiatarnie w domach, do których opału, drzewo tysiące rocznie kosztowało; budowano oficyny, stajnie kieby pałace, a czołna do przejechania się po Wiśle, lub czasem do Warszawy, to były z kotarami, ze stołkami, jak pokoje;— a dworscy między sobą cicho gadali, że tamte dobra coraz bardziéj się zadłużają i że to dobrego końca nie weźmie.

Stanął więc zamek o siedmiu wieżach, a wszystkie u góry żelazne i z cudzych krajów sprowadzone; w pokojach okna i ściany aż się szkliły od złota, a żydki zjeżdzali się z makatami i materjami, któremi sypialne pokoje, sienie i schody wybijano, a na kolasę którą państwo do Warszawy jeździli, to człowiek długo patrzeć nie mógł, bo by był oślepł.

Zjechało się raz, nie pomnę po co, bardzo wielu panów do Warszawy, i tych wszystkich zaproszono, miały to być oblewiny nowego zamku;— pamiątam że się spieszyli z uporządkowaniem, i najęto z naszéj wsi kilkoro ludzi, mnie też gospodarz posłał na zarobek, bo grosz był

bardzo trudny.— Gracowaliśmy różne kręte drogi na dziedzińcu, które prowadziły do ogrodu, wtém słyszymy jakąś kłótnię,— był to ubogi, którego odźwierny nie chciał wpuścić przez zamkową bramę, a ten powiedział: Chociaż przy wielkiego pana dworze, sam przecież jesteś chudy pachołek, nie odpychaj biednego, ja idę chleba prosić.— Ale tu niewolno chodzić, powiadam— Któż to zakazał? biedny zapytał.— Sam pan przykazuje aby obdartych nie puszczać, bo zawsze są goście i z okien patrzą.— Kiedy tak toć się wrócę, ale powiedz swemu panu: „że ziemia tylko wtenczas plenna kiedy się z niéj i żebrak pożywi.“

Gdy się goście zjechali i już u stołu siedzieli, gospodarz prosił, aby nowo wybudowanéj wiosce, inną nazwę dali, bo Kłoda nie byłoby stosownie tak piękne miejsce nazywać.— Orłów, niech się nazywa zawołał jeden,— drugi Sokołów— a trzeci się odezwał: ej! co tam po tych drapieżnych ptakach, niech się nazywa od wskrzesiciela, któremu imię Jan,— Janów krzyknęli wszyscy i złociste puchary maliniakiem, wiśniakiem, a w końcu winem nalewali, pijąc ciągle za zdrowie doradzcy, a nadworna kapela na wiwat zagrała.— Kiedy się zciemniło, zaczęto strzelać, a za każdym wystrzałem, jakiś ogień czerwony, zielony i modry w górę leciał; a gdy się rozjeżdzać mieli, oświecono kagańcami drogę aż do Pragi, niektó-

rych zaś odwożono czółnami, które tak gorzały światłem, że człowiek aż drżał od strachu, żeby się nie zapaliło—, I tak ciągle, goście, zabawy, polowania i kiedy kto pana chociaż w święto zaprosił na polowanie, to kazał psy sforować, trąbić i niesłyszał jak w Żyrżnie na wielką mszę dzwoniono.

Przed zabawami, nie mieli czasu do chwały Bożéj, i o kaplicy, która miała być w zamku zapomniano, zapomniał też i Pan Bóg o nich.

Kiedy 15 sierpnia w dzień N: M: P: mieli obchodzić z wielką okazałością imieniny pani i wszyscy krzątali się na przyjęcie bardzo wielu gości, usłyszano nadzwyczajny łoskot. — Kilku dworskich przyklękło mówiąc: A słowo stało się ciałem — bo sądzili iż piorun uderzył, — lecz kiedy ognia nie było widać, wyszli i zobaczyli, że to z zamkowego narożnika dwie wieże spadły i mury zupełnie zrysowały. Młodzi dworscy między sobą gadali: otóż to obcego do budowli i do wszystkiego sprowadzać, co on dba, w cudze kraje z pieniędzmi powróci, a tu, stań się co chcesz, jeszcze się może naśmieje, że swoich do tego nie mają.— Starsi zaś szeptali sobie: Bóg karze, bo tylko myślą o zbytkach, ubogiego ani widzieć i chwała Boska za nic.

Najechał też wkrótce potém kraj, jakiś Chmielnicki, niszczył i pustoszył grody, włości też tego

pana co tam gdzieś daleko były, wraz z innemi zostały spalone i zrabowane, a że w Janowie rodzić się nie chciało, i ztamtąd już nic nie dowożono, więc bieda zaczęła się dawać w znaki.— Zamek się coraz bardziéj rujnował, a pan żyjąc nad dochód, nie miał uzbieranego grosza, nie było też za co kosztownéj budowli ratować— Tymczasem najezdnicy między sobą się pokłócili, o jakieś porabowane bogactwa, jak tam panowie między sobą gadali; nasi ich też podobno późniéj trochę strzepali, więc pouciekali w swoje knieje, a pan niemając tu z czego żyć, powrócił w dawne strony, aby powoli wioski odbudować; boć nasza ziemia, kiedy ją człek poczciwie uprawi, to i wszystkich wyżywi i niedługo biedę na niej znać. W kilka lat późniéj, przysłał pan krewnego swego, aby tu zagospodarował— on też sam za cegłę sprzedaną z zrujnowanych budowli, nakupował sprzężajów konnych i bydelnych, i zaczął jakby na nowo się dorabiać, lecz kiedy przez trzy lata żadnym sposobem rodzić się nie chciało, kazał pan wioskę przedać, lecz kupca nie było, bo już baby po świecie roztrzęsły, „że kara boska— że ziemia zaklęta“— W końcu chłopom na morgi rozprzedano, a krewny pański wyjeżdzając, kiedy się raz ostatni patrzył na ten spustoszały zamek, w którym się już sowy gnieździły, przypomniał sobie owe bankiety, kapele i zjazdy, a westchnąwszy,

obrócił się do gromady która go przyszła pożegnać i rzekł: zbytki to wszystko zrobiły — Oj prawda zbytki panie, zbytki — odpowiedzieli — a on daléj mówił: jesteście tu wszyscy zgromadzeni, proszę was więc abyście memu żądaniu zadosyć uczynili, i od dziś, nie Kłoda, nie Janów, ale dla przykładu innym i potomności tę wioskę nazywali Zbytki.

Na tém pradziadek skończył opowiadanie; ja prawie oniemiałem, a on widząc mnie tak smutnym pogłaskał i rzekł: Chwal Boga i zachowaj Jego święte przykazania, tak jak od księdza w Żyrznie słyszałeś, to się niczego nie będziesz bał; a taraz mój chłopcze, połóż krzyż święty na czole zmówmy pacierz i spać.

Ale powiadam jéjmości, że baby pewnie prawdę gadały, bo i teraz tam wielka bieda, i źle się rodzi i woda rok w rok topi.

To co słyszałam, skreślam wam wiernie;
Chciejcie w pamięci zachować, dziatki,
Że nigdy w zbytkach, zawsze żyć miernie,
Bo nie dla zbytków, ma człek dostatki.
Jeśli Bóg daje dostatek, mienie,
Pamiętaj młodzi, wspierać bliźniego,
Kto da sierocie, pokarm schronienie
Ten kocha Boga— śpiewa cześć Jego.

Tekla z Kr. B..........

SZYMON CZECHOWICZ

MALARZ POLSKI.

Szymon Czechowicz urodził się w małém, lecz sławném kopalniami soli, miasteczku Wieliczce około r. 1695 gdzie czas jakiś mięszkał; początkowe nauki pobierał w Krakowie, później chcąc wykształcić wrodzony talent pojechał do Rzymu, gdzie siedm lat z wielką dla siebie i sztuki przepędził korzyścią, tam zaczął rozwijać się jego talent, tam się do wielkiéj podniosł świetności.— Pierwszym we Włoszech mistrzem Czechowicza był Karol Maratti, który zawsze uczniowi swemu najczulszą okazywał przyjaźń, pod jego kierunkiem szybko ukształcał się pilny i jenialny Szymon, w akademji S. Łukasza kilkanaście nagrod otrzymał, a oprócz innych prac swoich, zostawił w Rzymie, w szpitalu, dla polskich piel-

grzymów przez kardynała Hozjusza polaka założonym, obraz Chrystusa na krzyżu, i tym utworem uwiecznił imię swoje w stolicy chrześcijaństwa.

W trzydziestym trzecim roku życia, wróciwszy do kraju, zastał siostrę swoją zaślubioną Szmuglewiczowi malarzowi optycznemu (ojcu wsławionego Frańciszka) przy pomocy którego założył innstytut dla młodzieży oddającéj się malarstwu; oprócz kształcenia uczniów swoich Czechowicz pracował wiele, lecz pendzel swój wyłącznie religijnym poświęcił natchnieniom, próżno namawiano go by malował portrety, w całym przeciągu pięćdziesięcioletniego zawodu swego, trzy ich tylko zrobił.— Głowę Szymona Troczanina pielgrzyma, portret pani Ogińskiej, która gdy w nią słabe siły wmówić chciano, srebrny talerz w trąbkę zwinęła; i wreszcie na prośby przyjacioł, drżącą już ręką, bo na kilka dni przed śmiercią własny swój wizerunek.— Portret ten tak szacowny przez różne przechodząc ręce, dostał się w posiadanie hr. Tyzenhauza i umieszczony w pięknéj galerji w *Postawach.*

Obrazy Czechowicza liczne bardzo, rozrzucone są po rozmaitych miejscach Polski, Litwy, Szlązka i Ukrainy; w Warszawie mamy ich niemało, między innemi: Sty Wojciech u OO Karmelitów na Lesznie, tamże Sty Józef i Sty Eljasz; w Ko-

ściele Towarzystwa Dobroczynności, Pan Jezus na krzyżu, N. M. Panna i Sty Jan, Narodzenie Zbawiciela.— U PP. Wizytek Nawiedzenie N. M. Panny.—

Oprócz obrazów olejnych został po Czechowiczu zbiór szkiców, czyli pomysłów do większych malowideł, po śmierci malarza przeszły one w ręce synowca jego, a po tym, rozproszyły się po kraju;— jednakże wielka ich liczba znajduje się teraz *w Dobrowlanach* u hr. Adama Günthera. i *w Postawach* u hr. Tyzenhauza.—

Do najpiękniejszych z pomiędzy nich należą:

Saul u nóg Dawida.

Swięty Franciszek Ksawewy opowiadający indjanom słowo boże.

Ucieczka do Egiptu, gdzie głowy ołówkiem lekko rysowane, zachwycają przecież wyrazem i czystością rysunku.

Swięty Stanisław.

Młody Tobjasz.

Chwała SS. pańskich, największy ze wszystkich utworów Czechowicza, bo składający się z 44 figur, w pomyśle tym widać wielkie bogactwo wyobraźni, które z umiejętném uporządkowaniem wszystkiego połączone, wielką mu nadają wartość.—

Czechowicz pierwszy między malarzami polskimi, talentem zjednał sobie wiekopomną sławę, a

słodyczą charakteru, szczerością, otwartością, stałością w pryjaźni, na uwielbienie współczesnych zasłużył.—

Umarł w r. 1778 przeżywszy lat 83 pochowany w Kościele OO Kapucynów w Warszawie.

Juljan Heppen.



WSPOMNIENIA WYGNANKI.

(Ciąg dalszy).

VII.

Rozwowa

Sprawa Marji zaniedbana przez czas niejaki, skoro raz wprowadzoną została do sądu, szybkim postępowała krokiem; lord i lady Wilton szczerze za-

jęci losem biednéj dziewczyny, starali się przez przyjaciół i znajomych swoich pozyskać dla niéj względy i współczucie sędziów, w wyższém zatém towarzystwie Edymburga Marja i jéj przyszłość stała się głównym celem rozmów i oczekiwania, uwielbiano jéj prawość, łagodność, tkliwe przywiązanie do rodziny, i z pewnością prawie oczekiwano jéj uniewinnienia.

Z drugiej strony, Gilpin z Snowdonu, ów dziki i nieugięty naczelnik cyganów, wiedząc dobrze ile zasłużonych zarzutów ciężyło na jego pokoleniu, uchwycił skwapliwie tę rzadką, jedyną może przez długie lata sposobność obmycia go z niesłusznego podejrzenia; lud prosty był za nim, bo chytry starzec umiał sobie zjednać przychylność ludzi biednych, w przesądach i ciemnocie swojéj — bogatszych i oświeceńszych od siebie za ciemiężców uważających.

— Patrzcie! mawiał nieraz Gilpin, kiedy się koło niego zebrało pospólstwa grono, patrzcie! kareta lady Wilton znów przysięgłych odwiedza! — Dla tego że ta dziewczyna zyskała pańską łaskę, chcą ją wydrzeć sprawiedliwości; — a kiedy kto z nas biednych zawini, nie ma zwłoki, nie ma opiekuna.

— Prawda! odpowiadali słuchacze, którzy już na sobie lub na swoich w jaki-bądź sposób doświadczyli sprawiedliwości sądowéj.

— I gotowi ją uniewinnić! dodawał Gilpin.

A cały tłum oburzony na samą wzmiankę jakiejś względności, dla istoty co z łaski możniéjszych wystąpiła z jego koła, szemrał głośno, lub też spostrzegłszy którego z przysięgłych zastępował mu drogę wołając:

— Sprawiedliwości!

Tak stały rzeczy w mieście, kiedy pewnego wieczora, w domu na odludnéj ulicy stojącym, w ciepłym pokoju, przy stole herbatą zastawionym, dwaj ludzie niemłodzi siedzieli naprzeciw siebie, i rozmawiali z zajęciem.

Jeden z nich, alderman Smith gospodarz domu, był z dawnych lat przyjacielem od serca prezydenta sądu przysięgłych, drugi gość chwilowy, obrońca Marji.

— Panie Smith! mówił on do aldermana, nie przypuszczam aby przed należytém wysłuchaniem sprawy, sędziowie nasi układali wyrok, ale znasz tyle osób, i sprawa téj dziewczyny tak jest głośną w mieście, że niepodając nikogo w podejrzenie, mógłbyś mi udzielić spostrzeżeń, nieskończenie dla nas ważnych.

— Więc cię tyle obchodzi to dziewczę?

— Od tylu lat już bronię obwinionych, stawałem w sprawach matek, ojców licznéj rodziny, bogaczów i nędzarzy, rodzin i sierot, nigdy jednak tak niespokojnie nie oczekiwałem wyroku,

nigdy go się tyle nie lękałem.— Bo téż nigdy jeszcze nie widziałem takiéj niewinności serca, takiéj pokory i poddania się przeznaczeniu!

— Nietak jednakże mówi o niéj pospólstwo.

— Ten burzliwy cygan niém wichrzy!

— Być może! ale przysięgli trzymać się będą ściśle przepisów prawa.

— Tém-lepiéj! więc ją uniewinnią, bo nie ma dowodów.

— Ale są podejrzenia.

— Zbijemy je;— najmocniejsze mam przekonanie że Marja nie wzięła klejnotu;— szukano wreszcie w całym zamku, ukryćby go nie mogła.

— Mogła wydać komu.

— Nie wychodziła z zamku.

— Była u kraty i rozmawiała z ojcem i siostrą.

— Siostra jéj dziecię małe, i teraz chora niebezpiecznie, ale spodziewam się że wkrótce będzie mogła poświadczyć niewinność Marji.

— Wątpię!— jéj siostra i ojciec obłąkany zniknęli z domu, i mimo wszelkich starań lorda Wilton wynaleźć ich nie można, mówią nawet że ich widziano wsiadających na holenderski okręt w .....

Adwokat zmarszczył brwi siwe, i długo przenikliwym wzrokiem patrząc w aldermana, rzekł nakoniec.

— Hm! tém-lepiéj, powiadam, to prawie dowód że które z nich kradzież popełnić musiało.

— I to być może! odparł Smith, ale w takim razie Marja jest ich wspólnicą, bo słyszano jak tegoż samego ranka przyrzekała ojcu brylanty.

— Któż to słyszał?... wykrzyknął zrywając się z miejsca adwokat;— może cyganka jaka?

— Nieinaczéj, cyganka która wyprawiona na zwiady przez swoją gromadę, ukryła się była w krzewinie, lokaj stojący za karetą lorda Wilton gdy tenże wjeżdzał w bramę, i odźwierny który ją otwierał.

— Ach co za nieszczęście! zawołał obrońca Marji, i założywszy ręce na piersiach zaczął w milczeniu chodzić po pokoju.— Po długiej przechadzce, blady, zmieniony, stanął przed aldermanem, i drżącym prawie głosem zapytał;

— I.... jakże myślisz, panie Smith? jeżeli to prawda, co powiedzą przysięgli?....

— Jeżeli to prawda?— odrzekł Smith zażywając tabakę, ha! będą ją musieli potępić!

— Ależ to niepodobna, wiesz że w naszym kraju za kradzież zbyt surowa jest kara!

— Wiem— śmierć— jednak tak się mimo tę karę zagęściły kradzieże.

— Ależ ona tak młoda! niepełnoletnia jeszcze:

— To téż w to ufne dzieci od najmłodszych lat dopuszczają się występków, trzeba będzie i dla nich przykładu.

— Nie! Marja nie umrze! wykrzyknął adwokat;— choćby— dodał z boleścią, choćby winną była.— Od śmierci ją obronię— a jednak— wierzyłem że ona niewinna!

— Tak to, tak przyjacielu! rzekł Smith przecierając zielone okulary, na niewinności oskarżonych łatwo się obrońcy zawieść można! Tylkoż nie troszcz się bardzo, mówił daléj, widząc niespokojność słuchającego.— To tylko moje domysły; ja o całéj téj sprawie nic od nikogo nie słyszałem.

Adwokat potrząsnął głową, i pożegnawszy gospodarza wybiegł z pokoju.

Wiedział bowiem, że przez usta jego przechodziło zdanie przysięgłych i ich prezydenta.

Znów dziennik Marji.

Już teraz pisać mogę, już minęły dla mnie chwile nadziei, obawy, niespokojności i rozpaczy, smutek mój wyrobił się o tyle że przepełniwszy serce, w łzach i słowach się wylewa; łzy padają na ka-

mienną mojéj celki podłogę, ale wyrazy niech zostaną na papierze, może się kiedy komu z moich dostaną, może lady Wilton..... ona co tak dla mnie dobra, tyle z mojéj cierpi przyczyny.— Mówiono mi że jest słaba, ach! może i ona uwierzyła żem ja występną, kiedy mi w końcu sprawy już i mój obrońca nie ufał!

W dniu w którym ostatecznie przed sądem stanąć miałam, prosiłam o spowiednika, był to dla mnie dzień stanowiący o życiu i śmierci, chciałam się przygotować na wszystko co wypaść miało, chciałam się zawczasu oderwać od świata z którego wyrok przysięgłych mógł mię zebrać za chwilę.— Przejęta skruchą, pokorą, w miłości Boga przyjęciem S. kommunji wzmocniona, stanęłam bez trwogi przed sądziami, gotowa ponieść śmierć, któraby teraz tylko końcem cierpień moich się stała, przewidując długie uwięzienie na które może skazaną bym była, ale zawsze pewna niewinności swojéj, spodziewając się mimowolnie, zupełnego uwolnienia.

Jednakże straszne przeciw mnie powstały zarzuty;— próżno szlachetny mój obrońca zniknienie siostry i ojca mego wymawiał jego obłąkaniem; próżno dowodził że jeżeli mówiłam z ojcem o klejnotach to dla tego tylko by mu się nie przeciwiać, że wówczas nie wiedziałam jeszcze czy lady Wilton kupi i powierzy mi owe brylanto-

we pióro; — każdą myśl na dwie strony wyłożyć można, a że w tym czasie zagęściły się bardzo domowe kradzieże, że Gilpin z Snowdonu mściwie wspominał niewinne swoje uwięzienie w téj sprawie, że nakoniec lud podburzony przez niego napełniając salę sądową i ulicę przed jéj oknami, wołał groźnie o ścisłą sprawiedliwość, sędziowie zamknęli serca swoje przystępowi litości, i po długich naradach uznali mię winną!

Za wymówieniem tego wyrazu, uniosłam się myślą nad ziemię na któréj wszystko tak błędne tak znikome, gdzie nawet sprawiedliwość mająca, być odbiciem sądów boskich, z zamkniętemi działa oczyma, i rada byłam że ją opuszczę niezadługo, bo po surowości sędziów spodziewałam się śmierci.

Niezwykły szmer w sali, gdzie tłumy ludu w milczeniu ostatniego wyrzeczenia przysięgłych oczekiwały, wywiódł mię z zamyślenia.— Przy kratce, ze łzami w oczach, z boleścią na bladych twarzach wyrytą, stali, woźnica i służący lorda Wilton, którzy wjeżdzając z nim w chwili gdym z ojcem rozmawiając stała u kraty, słyszeli potępiające mię wyrazy, i wezwani przez podsłuchującą cygankę, musieli je zeznać przed sądem, gdy im pod przysięgą prawdę mówić nakazano.

W dniu mego sądu przyszli do sali, spodziewając się uniewinnienia, lecz kiedy usłyszeli potępienie moje, kiedy sędziowie w przyległym

zamknięci pokoju mogli za chwilę wymazać imię moje z liczby żyjących, dobrzy ci ludzie litością przejęci porozumieli się w mgnieniu oka, i oskarżając siebie postanowili choć na czas jakiś oddalić mój wyrok.

— Panie adwokacie! zawołał woźnica, chcemy jeszcze jedno złożyć zeznanie!

Obrońca mój w ponurém milczeniu o filar oparty przybliżył się do niego.

— Zeznaliśmy fałszywie! rzekł daléj woźnica.

— Myśmy nie słyszeli, co mówiła Marja do swego ojca! dodał służący.

Rozpogodziła się twarz adwokata, głuchy szmer przebiegł po sali, gdzieniegdzie na znak radości poczęto klaskać w dłonie;— ucieszyły mię na chwilę te dowody współczucia, lecz wnet ścisnęło mi się serce na myśl, że poczciwi owi dwaj ludzie na tak wielkie niebezpieczeństwo narażają się w mylnéj nadziei ocalenia mię tym sposobem.— Każdy z nich jest mężem, ojcem, smutek i cierpienie kilkunastu osób okupiłoby krótką zwłokę ostatecznego na mnie wyroku.— Podniosłam się więc szybko z ławki oskarżonych, i ze łzami podziękowawszy im za okazanie mi życzliwości, zaklęłam ich w imieniu nieobecnych rodzin, w imieniu Boga prawdy, aby nie brali na siebie zarzutu fałszywie wykonanéj przysięgi.

Zamilkli, smutnie odeszli od kratek, a w tym-

że czasie otworzyły się drzwi radnéj sali, i przysięgli weszli z nakrytemi głowami.

— Dzięki Bogu! pomyśliłam widząc tę oznakę surowego wyroku, niedługo cierpieć przestanę!

Poczęto czytać wyrzeczenie przysięgłych;

Opierając się na podejrzeniach; które jednakże niezupełnie sprawdzonemi zostały, ważąc z jednéj strony liczne występki osób które rozmaitemi wpływami spodziewają się uniknąć surowego sądu, z drugiej młodość moją, skazali mię.... na wywiezienie do nowéj Brytanji.

Nie zrozumiałam tego wyroku, lecz kiedy na żądanie moje, wytłumaczono mi, że chcąc uniknąć przepełnienia więzień, rząd założył karne osady po drugiej stronie oceanu, i że przestępców ciężkiéj kary godnych tam od niejakiego czasu wysyłają, zaćmiło mi się w oczach i nie wiem jakim sposobem przeniesiono mię napowrót do więzienia.

Gdym przyszła do siebie, jedna tylko myśl krążyła mi po głowie, jedno uczucie ściskało serce:— wygnanka!...— ja jestem wygnanką!.... wyrzekają się mnie ziomkowie, odpycha mię moja ziemia!...

Przez resztę tego strasznege dnia byłam w rozpaczy, w obłąkaniu prawie.— Noc dopiero uspokoiła cokolwiek cierpienie moje, i myśli w inną zwróciła stronę.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

RYCINY

GAWĘDKA WIECZORNA.

OJCIEC
MATKA
JÒZIO lat 12.
TESIA lat 10. } dzieci.
GUCIO lat 7.

Przy stoliku oświetlonym blaskiem lampy siedzi ojciec z książką, matka z robótką, dzieci wchodzą z drugiego pokoju, każde trzyma w ręku zwitkę papierów.

GUCIO. *(wysuwając się naprzód)* Kochany tatko...

OJCIEC. No i cóż mi powiedzieć macie, co znaczą te papiery?

GUCIO. Chcemy ci pokazać dzisiejsze kupno nasze, użytek z zebranych pieniedzy.

JÓZIO. Mama nam poradziła aby kupić sobie rycin, o których nam kochany ojciec podczas zimowych wieczorów wiele, wiele opowiadać będzie.

GUCIO. I pozwoliła mama każdemu, wybrać co mu się najlepiéj upodoba z całego zbioru.

TESIA. O, nąm się bardzo wiele rzeczy podobało— ale na wszystko nie było pieniędzy.

OJCIEC. Ciekawy jestem wyboru.

GUCIO. Kto najwprzód pokaże?

MATKA. Niech będzie zachowana kolej starszeństwa. Józiu, przybliż się.

Dzieci obsiadają stolik, składają ryciny na nim i przygotowują się do słuchania.

MATKA. Tesia niech weźmie pończoszkę, i z robótką słuchać można.

TESIA. Żeby mama kochana pozwoliła jeszcze przypatrzyć się lepiéj tym rycinom.

MATKA. No, dzisiaj pozwalam, ale pamiętaj, że dziewczynka nigdy z próżnemi rękami siedzić nie powinna.

GUCIO. Zawsze lepiéj nam chłopcom na świecie.

TESIA. Ja się przecie nigdy na moją robótkę nie skarżę.

MATKA. Wam chłopcom umysłowy w świe-

cie zawód przeznaczony,— dla tego od dzieciństwa nie naglą was do mechanicznych zatrudnień, a kształcą rozum tylko, dziewczęta zaś do cichego, domowego stworzone życia, koniecznie zamiłować winny ręczną pracę, jako jedyny środek utrzymania dobrego bytu, porządku, zajęcie zaś umysłowe dla nich jest tylko wytchnieniem, przyjemnością.

GUCIO. Ej, mama tak na prawdę wszystko bierze, ja tylko żartowałem.

OJCIEC. Ależ widzę, że dzisiaj do obejrzenia rycin nie przyjdziemy. I cóż Józiu? twoja koléj.

JÓZIO. *(nieśmiało)* Ja chciałem wybrać jakiego matematyka, myśliłem że to ojcu najmilszém będzie, ale...

OJCIEC. Ale... cóż?

GUCIO. *(zcicha)* Ale on nie ma ochoty być matematykiem.

JÓZIO. Ale... mama mówiła aby wybrać to, co nas najbardziéj zajmuje. Ja sobie nieraz myślę: rachować, mierzyć i znów rachować, i całe życie zawsze sprawdzać i rachować, to... to... bardzo nudne życie. Mój ojcze, ja nie chcę być jeometrą, ani.... ani żadnym miernikiem.

GUCIO. A gdybyś chciał być astronomem, ty przecie tak zawsze lubisz, kiedy nam tatko o gwiazdach co powiada; a tatko mówi że kto nie jest

dobrym matematykiem, dobrym astronomem być nie może.

JÒZIO. Ja lubię słuchać o tych napowietrznych światach, ich ruchach, obrotach, ich stosunku ze słońcem, z ziemią naszą, lubię patrzeć się w niebo gwieździste, ale rachować odległość, wielkość ciał niebieskich, to nie moja rzecz; nie, nie będę astronomem.

GUCIO. Mój Józiu, ciekawy jestem co ty lubisz?

JÒZIO. Ja lubię słuchać opowiadania różnych zdarzeń, lubię czytać powieści prawdziwe i lubiłbym opisywać wszystko co widzę, co słyszałem, co myślę o tém wszystkiém.

MATKA. *(z uśmiechem)* A to widzę nasz Józio obiera sobie zawód poety.

OJCIEC. Tak, tak, a pierwszym tego dowodem potępienie matematyki.

JÒZIO. Nie, ojcze, ja chciałbym być historykiem i dla tego wybrałem sobie tę rycinę. Tu wśrodku jest Długosz, Krommer i Wincenty Kadłubek, wokoło nich tworzą wieniec Bielski, Górnicki, Naruszewicz, Albeltrandy, a na tych próżnych tarczach, ja dodam kilku jeszcze równie zasłużonych mężów.

GUCIO. A ja na samym końcu jeszcze jednego sławnego człowieka, pana Józefa.

OJCIEC. Cicho, mały figlarzu, nie żartuj

przedczasem, gorliwe chęci i zamiłowanie w obranym zawodzie daleko zaprowadzić mogą; pochwalam twój wybór Józiu, a pochwalam témbardziéj jeszcze że nie szukałeś w dziejach obcéj literatury, tylko najmilsze sercom naszym wybrałeś imiona. Historja dobrze pojęta i zrozumiana bardzo piękną jest nauką; ależ synu kochany, pamiętaj, że każdemu zawodowi powinna przewodniczyć dążność konieczna, aby przyczynić się do pomyślności współbraci swoich i pożytecznym się stać na świecie.

MATKA. Teraz Tesia swoje ryciny odsłoni.

TESIA. Ja aż kilka wybrałam. Ale najwprzód co najciekawsze. Oto taka mała dziewczynka, śliczna blondyna, w różowéj sukience, z wstęgą orderową i w koronie.

OJCIEC. Izabella II królowa Hiszpanji.

TESIA (*z zadziwieniem*). Jakto? krolowa! taka mała dziewczynka królową! Ileż ona lat mieć może?

OJCIEC. Dopiero trzynaście lat skończyła, już ogłoszona pełnoletnią i rządy jéj oddane, ale królową to jeszcze w trzecim roku życia uznaną była.

TESIA. Jakto? i koronę już nosiła i była już królową od trzeciego roku życia, a ja mam lat dziesięć i ani wyobrażam sobie jak to można rządzić krajem.

MATKA. Bo kobieta każda tylko nad sercami właściwie panować może.

TESIA. A jednakże to musi być bardzo mi-

ło takiéj małéj dziewczynce być królową wielkiego państwa.

OJCIEC. Tak, zapewno ale gdyby-to korona zasłonić mogła od wszelkich cierpień życia.

TESIA. Jakież Izabella mogłaby mieć cierpienia? Ojcze drogi, opowiedz nam co o niéj, prosimy bardzo.

OJCIEC. Po śmierci Ferdynanda VII króla Hiszpanji ogłoszono królową córkę jego, wspomnianą Izabellę, bo syna nie miał, a rejentką państwa uznano matkę młodéj królowéj, Krystynę. Jednakże w kilka lat późniéj rejentka znalazła nieprzychylnych sobie którzy nastawali na to, aby ją z kraju oddalić, z obawy wpływu jaki na rządy państwa i umysł córki swojéj mieć może. Krystyna spostrzegłszy to, sama się usunęła z Hiszpanji, w sąsiedzkich krajach znalazła schronienie.

TESIA. Izabella więc z matką rozłączyć się musiała?

OJCIEC. Nietylko rozłączyć, ale zaniechać wszelkich stosunków, długo bardzo pisywać nawet do matki niewolno jéj było.

TESIA. O, biedna królowa!

OJCIEC. Niedosyć na tém że pozostała sama, ale pozostała w kraju od lat kilkunastu dręczonym domowemi wojnami. Pokilkakroć zaburzenia obijały się aż o mury jéj mieszkania, w przyległym jéj sypialni pokoju ginęli jéj mężni obroń-

cy, — nad jéj głowami przebiegały kule morder-cze. a przerażona dziecina w łóżko się kryła z bojaźni.

JÓZIO. Ale teraz kiedy panuje, to wszystko już ustało.

OJCIEC. I chwilę osiągnienia władzy opłaciła długą o kraj niespokojnością. Jednakże ucichły zaburzenia i młoda królowa matkę przywołała do kraju.

TESIA. O, jakże się cieszę! Ależ biedna Izabella ileż ona smutków już doznała. Patrz, tatko, zdaje się, że widać w tych łagodnych, niebieskich oczkach ślady łez wielu.

MATKA. Musi być dobrą i słodką w obejściu widać to z pogodnego jéj czoła.

OJCIEC. Tak ma być w samćj istocie jest dobrą, słodką i bardzo pobożną; kiedy raz przejeżdzając spotkała księdza udającego się do chorego z przenajświętszym Sakramentem, zatrzymać się kazała, wybiegła z powozu i klękła pokornie na ulicy.

TESIA. To pięknie, że królowa taki przykład daje poddanym swoim.

GUCIO. Ale czy ona już taka rozumna że może panować.

OJCIEC. Ma wiele na swój wiek rozsądku, ale wielu rzeczy uczy się jeszcze i w każdym tru-

dniejszym razie chętnie rady starszych i doświadczeńszych zasięga.

GUCIO. Kiedy ona sama uczy się dopiero, to niezupełnie dobre muszą być rządy.

OJCIEC. W Hiszpanji prawa rządzą, a panująca głowa, z pomocą wybranych mężów, czuwa nad praw wypełnianiem, nietrndno więc i kobiecie i dziecku nawet królować.

GUCIO. Ale ja gdybym był hiszpanem to-bym nie przyznał kobiecie korony.

MATKA. Ach! w saméj rzeczy panowanie kobiecie szczęścia nigdy nie przynosi, jéj zawsze miléj kryć się pod skrzydło opiekuńcze, szukać podpory, miłością uszczęśliwiać, ale nie rządzić.

OJCIEC. A tamte ryciny?

TESIA. To Madona z Rafaela, taka jak tatko opowiadał że jest w drezdeńskiéj galerji, z tym ślicznym aniołkiem na rączce opartym, i z temi anielskiemi obłoczkami. Ona sama jaka cudna, a jakie śliczne dzieciątko Jezus!

Ten obrazek zawieszę nad mojém łóżeczkiem, a Matka Boska mi dopomoże, abym pociechą rodziców była.— A to, tylko niech tatko się nie śmieje, to wazonek fijołków— prawda że jakby prawdziwe. Ja tak fijołki lubię— a długo czekać do wiosny.

OJCIEC. Dobrze, droga dziecino, i ja się spodziewam że Bóg naszych prośb wysłucha i ty

się staniesz dla rodziców swoich ślicznym, najwonniejszym fijołkiem.

GUCIO. Teraz ja przecie, już ledwo się doczekałem kolei.

TESIA. Jeszcze jedna moja rycina.

GUCIO. A to co za muzyk? już zaraz myśliłem że go wybierzesz, jakem go w sklepie zobaczył.

TESIA. To Lipiński, mnie się tak bardzo jego muzyka podobała, że choć się zawsze przy niéj na płacz jakoś zbiera, zawsze-bym ją słyszeć chciała.

OJCIEC. Bo też jest co słyszeć, to pierwszy z naszych skrzypków, co mówię nietylko nasz, on między pierwszymi w Europie śmiało policzonym być może.

TESIA. Ja chciałabym kiedy grać choć troszeczkę podobnie do Lipińskiego.

OJCIEC. Fortepian nie jest tak wdzięcznym instrumentem jak skrzypce, ale i fortepianowa muzyka daleko posunąć się może.

GUCIO. Ależ mój ojcze, zawsze każesz pożytku szukać w nauce, a z muzyki powiedz mi jaki pożytek dla świata?

MATKA. Muzyka tak szczytna uczucie rozwija, kształci, zdolnymi nas czyni do pięknych myśli, do piękniejszych czynów.

TESIA. Prawda, mamo, kiedyśmy ostatnią ra-

zą wyszli z koncertu Lipińskiego, to mi tak błogo, tak miłobyło, tak wszystkich kochałam ludzi.... o, nie— tego opisać nie można, co muzyka dobrego w nas robi, to się tylko czuje!

GUCIO. Wszystko to ślicznie, ależ ja wolę głos bębna i trąby niż te wszystkie wasze skrzypce, fortepiany i harfy.

Ale to już wszystkie twoje ryciny. Teraz odkrywa się mój ukochany Rafael w swojéj pracowni malarskiéj; przed nim rozpięte płótno, — w prawéj ręce trzyma pendzel, lewą oparł na czole, i myśli, pewno jaki nowy obraz ma stwarzać. Może on Madonę zaczyna. Ach, ojcze! jakie to szczęście być takim Rafaelem, o! ja bardzo będę się do rusunku przykładał, wszak ojcze, każesz mnie uczyć malować? tak, już ułożyłem sobie, będę malarzem!

OJCIEC. Sprobujemy, jeżeli okażą się zdolności to będziesz doskonalił się w malarstwie. Ale cóż inne przedstawiają ryciny? To pewno Czechowicz, Szmuglewicz, Orłowski lub Stachowicz bo i my mieliśmy naszych słynnych malarzy, a może który z dzisiejszych naszych artystów, może Suchodolski lub Głowacki?

GUCIO. Nie, nie, to co innego— to także wielki człowiek, to rodak nasz, zaszczyt ojczystego kraju, to Kopernik.

OJCIEC. Z tego wyboru bardzo się cieszę

A jak widzę rycina podobna być musi, poznaję po wzniosłém czole, siedlisku wielkich myśli, i w całéj twarzy takie zastanawianie się odbite, tyle rozwagi!

GUCIO. Ach, prawda ojcze, że to śliczna nauka ta astronomia? taka ciekawa, taka potrzebna, taka miła, o! ja chciałbym być astronomem koniecznie!

OJCIEC. A malarstwo?

GUCIO. To swoją drogą.

TESIA. On zaraz będzie nowo odkryte gwiazdy malował.

GUCIO. Nie żartuj tak bardzo, ja będę i malarzem i astronomem. Ale, ale, jeszcze jedna rycina, a na niéj to dopiero śliczne rzeczy! wśrodku Napoleon— wokoło na tych małych obrazkach wspomnienia z wojen jego. Tu egipska wyprawa,— tu szturm pod Samo-Sierra, ach! jakie dziarskie ułany wjeżdzają na wzgórek! A tu, patrz ojcze, to Napoleon wraca z pod Waterloo— on trochę smutny, ale koń dzielny; gdybym miał takiego konia, sam-bym go dozorował, sam do stajni wodził. Mieć konia to wielkie szczęście!

TESIA. A jeszcze z takim czaprakiem jak tutaj na tym obrazku, gdzie ułanów tyle.

GUCIO. O! ja muszę być ułanem! Będę waleczny, dosłużę się stopnia, szlify zabłyszczą na ramieniu, szabelka brzęknie przy boku; przytém

mina gęsta, wąs zawiesisty i śliczny czaprak co panna siostra wyhaftuje! ach jakto myśléć miło.

TESIA. Ty i huzarów lubisz?

GUCIO. Tak i jeszcze nie wiem na co się zdecydować, ale to wszystko jedno, ułanem, albo huzarem, ale zawsze wojakiem zostanę. Powoli, powoli, człowiek się rangi wyższéj doczeka bo ciągle w polu i czynny— zostanę półkownikiem, potém jenerałem — a potém.....

OJCIEC. Ale któż przez ten czas obrazy wykończać i gwiazdy rachować będzie?

GUCIO (*zakłopotany*) Prawda... ale... bo to.... bo to wszystko takie ponętne, doprawdy niewiem sam co wybrać.

OJCIEC. Dzieciom trudno zawód wybierać, dla tego do wszystkiego chętnie i gorliwie przykładać się winny. Kiedy wyrosną, ukształcą się, dopiero osadzą swoje usposobienie i z poradą starszych jednemu wyłącznie poświęcić się mogą zajęciu.—

MATKA (*patrząc na zegarek*) Tak prędko na gawędce zszedł nam wieczór, już po dziewiątéj, czas aby dzieci spać poszły.

TESIA. O, moja mamo! tatko nam jeszcze nic nie opowiedział — myśleliśmy...

OJCIEC. Te same ryciny jeszcze nam niejednego dostarczą przedmiotu do rozmów na inne wieczory. Pomyślcie nad niemi jutro w wol-

nych chwilach, a w wieczór znowu pogawędzimy z sobą.

DZIECI. O. dziękujemy, dziękujemy kochanemu ojcu, i mamie co taką myśl podała, jakie to szczęście mieć takich dobrych rodziców!

W. T.

ZEGARY SZCZEGÓLNE.

Jednym z ciekawych pomników mechanizmu jest bezwątpienia zegar, na wieży ratuszowéj w Pradze czeskiéj znajdujący się. Sławny ten zegar astronomiczny jeszcze w roku 1490 przez kusztmistrza Hanusza urządzony, oprócz pokazywania godzin, (podług dawnego włoskiego zwyczaju od pierwszéj do dwudziestéj czwartéj) oznacza jeszcze wschód i zachód słońca, księżyca, jego kwadry, znaki zodjaku, liczbę złotą, okrąg słoneczny i księżycowy, główniejsze święta w roku i t. p. Słowem jest-to żyjący kalendarz, który wielu dawnych pisarzy cudem mechanizmu nazywa,

utrzymując iż na całym świecie nie można znaleźć drugiego jemu podobnego dziwu. Łatwo pojąć iż tak zawiły mechanizm wymagać musiał częstéj naprawy, i że ta niezawsze celowi swemu odpowiadała; nawet w r. 1787 całkowity mechanizm tak dalece uszkodzonym został, iż postanowiono cały zegar rozebrać, koła, walce i pręty nanowo poprzerabiać. Szczęściem iż wytrwała obrona kilku roztropnych obywateli, mistrzowskie to dzieło przed zagładą uchroniła, a w kilka lat późniéj, potrafiono zegar ten do nierównie lepszego stanu przyprowadzić, chociaż nigdy nie wrócono go do pierwiastkowéj doskonałości. Z zegarem tym zostają w związku rozmate figury, pomiędzy któremi odznaczała się postać skąpca i kościotrup ludzki; ten ostatni przy każdém uderzeniu godziny kiwa głową i porusza szczękami, sknera zaś trzymając w ręku worek, odpowiada mu potrząsaniem głowy.

W Strasburgu na wieży katedralnego kościoła jest także zegar szczególny, lubo dużo późniejszy od pragskiego, wykonany przez Hebrechta podług rysunku sławnego Dysypodiusa w r. 1580. Zegar ten cudowny przedstawia wszystkie zmiany kalendarza, wyrachowanie świąt podług biegu słońca i księżyca i wiele innych szczegółów. Za każdém uderzeniem godziny, poruszają się i schy-

lają głowy przed Zbawcą, a kogut znamię czujności trzepocze skrzydłami i pieje.

Kroniki tamtejsze mówią że miasto w obawie aby Habrecht wynalazca tego dowcipnego mechanizmu, nie zapragnął gdzieindziej go powtórzyć, kazało go pozbawić wzroku, a nieszczęśliwy artysta uniesiony popędem żalu, zerwał główną sprężynę któréj długo nikt naprawić nie umiał.— W saméj istocie zegar ten długo bardzo był popsuty i dopiero w roku 1842 dnia 31 grudnia mechanizm jego na nowo do ruchu wrócony staraniem miejscowego artysty nazwiskiem Swilge. Dzień ten bardzo uroczystym obchodem uświęcony, dowodzi ile mieszkańcy wartości do zegaru tego przywiązują, i jak umieli cenić starania artysty wracającego do świetności przedmiot ich uwielbień.

W Ołomuńcu był także sławny zegar na wzór pragskiego urządzony— ale dzisiaj popsuty zupełnie.

Niedawno donosiły nam pisma o zegarze szczególnym, wykonanym przez jednego z francuzkich zegarmistrzów, który także ma być arcydziełem sztuki, nie wiemy jeszcze jakie przeznaczenie weźmie.

W. T.

TOPOLKA W MIEŚCIE.

Jest ogród zielony w cień lubą bogaty,
W nim piękne są krzewy i woniące kwiaty
Co w śliczne się suknie w każdej stroją wiośnie,
A w owym ogrodzie młoda topol rośnie,
Pośród drzew i krzewów, wśród kwiatów i woni;
Co-rano skowronek dzień dobry jéj dzwoni,
Co-wieczór słowika piosenki pieszczone,
Kołyszą, stulają listeczki zielone.
A wietrzyk co z kwiatka na kwiatek ochoczy
Przelata, swawoli, aż kielich roztoczy,
Z wiotkiemi gałązki dzień cały się pieści!
A u stop strumyczek srebrzysty szeleści.
Topolka się wdzięcznie pochyla ku wodzie
I chętnie wysmukłéj przygląda urodzie;
A drzewa się śmieją i gwarzą wesoło;
Tak miło, tak błogo, tak lubo wokoło!

Raz w wiosny początkach w nadwieczornéj dobie
Gdy młoda topolka pięknie marzy sobie,
O wonnych kwiateczkach co w krótce zaświecą,
Barwistych motylkach co wkrótce przylecą,
Pracowitych pszczółkach co znowu zabrzęczą,
Wesołych ptaszynach co znowu zadzwięczą,
I będą ją witać piosenki znanemi;
Wtém ręka okrutna wyrwała ją z ziemi
I w miasto uwozi daleko, daleko.....
Nareszcie w podwórko wsadza brukowane,
Gdzie ją otoczyły ściany murowane.
Wśród miasta topolka smuci się i nudzi
Tutaj ją skowronka piosenka nie zbudzi,
Tu jéj zakurzonych listków nie zamyka
Cichy szmer strumienia, luby głos słowika.
Tu jéj promień słońca wysoki mur słoni.
Nie ma świeżości krzewów, nie ma kwiatów woni,
Tutaj z nią nierosną jéj drzewa kochane,
Bo tutaj wszystko nowe obce i nieznane.
I wietrzyk nietak wonny, jak kiedy wśród łanów,
Wracał z pomiędzy lilji, róż lub tulipanów.
I motylek tu rzadki, rzadsza jeszcze pszczółka,
Wzrok nadaremnie szuka, choćby trawki, ziółka,
Chociaż mchu poziomego, Tu przez szklanne szyby.
Coś się zazieleniło, jakiś kwiatek niby,
Kwiatek co tak jak ona próżno tęskni, wzdycha,
W więzieniu się urodził, kwitnie i usycha.
A z resztą nic już więcéj. Wkoło puste ściany,

Wokoło kamień twardy, zimny, malowany!
A więc spuszczoną głowę podnosi do góry
I wysoko ją wznosi, wysoko pod chmury;
I ku wiosce zielone wyciąga ramiona,
I tak duma samotna, tęskna, zamyślona.

Marja M.



KSIĘGA NIEBA.

Oprócz książek które macie,
Z których wiele korzystacie,
Jedna jeszcze jest wysoko,
Gdzie zaledwie sięga oko,
Gdzie w przestrzeni nieskończonéj
Błyszczą świateł miljony.....
Jestto wielka księga Pana,
Złotem gwiazdek wypisana,
Jestto wieczna księga nieba
W niej wam dzieci, czytać trzeba

Z ukorzeniem dusz głębokiém,
Więcéj sercem niźli okiem.
Wtedy promień święty błyśnie,
Do serc waszych się przeciśnie,
I nazawsze, lube dzieci,
Umysł wiarą wam oświeci!

Stanisław Jachowicz.



WALERKA
w dzień imienin
UKOCHANÉJ MAMY.

Wdzięczne matce są ptaszyny,
Choć za małe odrobiny.
Ptaszek w gniazdku, choć maleńki,
Matce nuci swe piosenki.
Ptaszek nuci jak najczuléj
Wdzięczny dobréj swéj matuli.

I ja mamo ukochana,
W imieniny twoje zrana
Wielką radość czując w sobie,
Za twe łaski wdzięczna tobie,
Składam mamie skromne wiersze
I życzenia me najszczersze:
Żeby Pan Bóg nieodbicie
Przedłużał nam mamy życie,
I śród szczęścia, śród uciechy,
Dał doczekać ci pociechy.....

Stanisław Jachowicz.



DONIESIENIA.

Obiecałyśmy młodym czytelnikom naszym donieść o dziełach przeznaczonych dla ich wieku, a które z początkiem tego roku opuściły prasę. Niezbyt wprawdzie wielka ich liczba, jednakże i te które się ukazały dowodzą czułej baczności na wiek mło-

dociany i równie wdzięczném sercem przyjęte być winny, bo je prawdziwi przyjaciele młodzieży złożyli w podarku nowo-rocznym młodym swoim ulubieńcom.

Historję polską napisał Michał Baliński autor tyle zasłużony w literaturze krajowéj. Dobrzeby było gdyby do takiéj historji ułożył kto tabliczki chronologiczne na sposób Jaźwińskiego. Tabliczki takie ułatwiłyby spamiętanie dat, i wielką przyniosłyby pomoc pamięci uczącéj się młodzieży.

Deklamator polski czyli wybór celniéjszych utworów literatury krajowéj, zebrany przez *Fr: Henryka Lewestama* zawiera wiele pięknych ustępów z prac znanych i powszechnie cenionych autorów. Uwagi zmian głosu i odmiennym drukiem oznaczane wyrazy większego przycisku w mowie, posłużyć mogą do lepszéj deklamacji i tém-użyteczniejszym czynią ten wybór.

Wyszła i pożądana druga edycja *Pamiętników młodéj sieroty*,— napisanych przez *Paulinę Kraków*. Przyjęcie jakiego doznało to dziełko najlepszym dowodem jego wartości wewnętrznéj.

Taż sama autorka zawsze gorliwie pracująca dla wzrastającéj młodzieży i dziatkom mniejszym przysłużyła się w tym roku prawdziwą *Niespodzianką*, bo żadne pewno nie myśliło, aby przy tylu pracach ważniéjszych znalazł się czas na ze-

branie tak wielu ślicznych powiastek, któremi cała obszerna książeczka się zapełniła.

Obrazki z pożycia dobréj rodziny przez Fr: H: Lewestawa powiększyły liczbę książek służących do użytku czytających już dziatek.

Starsze czytelniczki nasze mogą też czytać z wielkim pożytkiem, wybrane przez matkę lub nauczycielkę ustępy z *Życia świętych niewiast* zebranych przez autorkę Rozrywek. Obrazy w nich budujące, wzory piękne do naśladowania, styl ujmujący czystą polszczyzną i wdziękiem. Ale dzieło to sama autorka pisała dla dorosłych, a młodzi czytelnicy czytać mogą tylko wskazane miejsca, wybrane żywota.

W. T.



ANNA LUDWIKA

KARSZ.

Jedno z rzadszych zjawisk w niewieściém piśmiennictwie niemieckiém, a zarazem i oczywistym dowodem, że prawdziwy talent nigdy się nie ukryje, przedstawia nam Anna Ludwika z Dürbachów Karsz (nazywana zwykle Karschin). Urodziła się 1 grudnia roku 1722, nad granicą szląską, w okolicy Szwibusu, gdzie jéj ojciec prostym był karczmarzem. Po śmierci tegoż wziął małą Ludwikę brat nieboszczyka — ekonom — w dom swój i tam-to cokolwiek nauki odebrała. Ale gdy jéj matka spostrzegła, że pełna zdolności dziewczynka, zbyt wiele czasu czytaniu, pisaniu i uczeniu się na pamięć utworów ówczesnych poetów niemieckich poświęca, odebrała ją stryjowi z obawy, ażeby kiedyś ważnych zatrudnień niezamożnéj

gospodyni wiejskiéj nie zaniedbywała. I w skutek tego, mała literatka zniewoloną została przez trzy lata pasać krowy swéj matki. Jednakże okoliczności, jakkolwiek smutnémi je nazwać można, sprzyjały Ludwice, bo przy swojém pasterskiém życiu poznała wieśniaka, który miał sposobność użyczania jéj niekiedy książek. Dzieła te czytywała skrycie, i chociaż to po większéj części tylko mierne były utwory, wszakże rozetliły w niéj iskrę twórczą, nieoceniony dar przyrodzenia. W owym czasie napisała swoje pierwsze poezje, które, jako zupełne dzieci natury, proste, nieuczone, twory niewykształconego umysłu, przecież pomimo wad swoich podobały się powszechnie.

W młodym wieku jeszcze będącą, wydała matka za Hirschorna sukiennika w Szwibusie. Posłuszna córka, lubo prawie nie znała swojego narzeczonego, bez szemrania wypełniła wolę matki. Ale, jakkolwiek posłuszeństwo względem rodziców, błogosławieństwo dzieciom przynosi, wszelako Ludwika szczęśliwą nie była.— Pan Bog zechciał, ażeby doświadczone cierpienia były szkołą dla niéj, w któréj się wykształcił jéj umysł. Mąż jéj był nietylko sknerą, tak iż wszelkich, i najdrobniejszych wygód wyrzec się musiała, ale nadto kłótliwym nieznośnym w pożyciu— i Ludwika po 11 latach udręczeń rozwiodła się z nim.

Po tém rozłączeniu zostawała w najwyższym niedostatku, niemal w nędzy. Matka, pomimo prośb jéj i błagań, wydała ją powtórnie za mąż, za krawca Karsza ze Wschowy, mniemając że jéj pomyślniéjszy los zapewni— niestety! zawiodła się i teraz. W tém drugiém zamęściu biedna poetka o wiele większych jeszcze doznała nieszczęść. Karsz strwonił całe swoje mienie, i Ludwika tworzeniem wierszy przygodowych: na śluby, pogrzeby i t. p., na liche zarabiała wyżywienie. Późniéj jeździła po całym niemal kraju, występowała publicznie, deklamując swoje improwizacye, przez co wielkie uwielbienie i znaczne pieniądze zyskiwała. Lecz niestety! mąż wszystko, co żona zarobiła, natychmiast występnie roztrwonił. Sądząc iż byt swój polepszy przeniosła się wraz z mężem do Głogowy, ale, gdy złe w nim nałogi, zamiast zmniejszenia się, jeszcze więcéj wzrastały, rozłączyła się z niegodnym. Ogołoconą ze wszystkiego przyjął znany opiekun uczonych baron Kottwitz w swój dom, r. 1761, w Berlinie, i wszelkie jéj potrzeby opatrzył. Tutaj zajaśniały jéj pierwsze chwile swobody i szczęścia. Wielbiona powszechnie, poszukiwana przez najpierwszych uczonych; jako to: Ramlera, Mendelsohna, Gleima, Sulcera i innych; nazywana niemiecką Sapho, Ludwika— córka ludu— w najpierwszych błyszczała towarzystwach.

Roku 1764 wydała tomik swoich poezji za co 12,000 zł. pol. otrzymała. Prócz tego, hrabia Stolberg Wernigerode, wielbiciel jéj rzadkich zdolności, wypłacał pani Karsz dość znaczny roczny dochód. Jednakże to wszystko nie starczyło na utrzymanie jéj saméj, dwojga dzieci i brata, na którego wychowanie dobra siostra łożyła. Przywiedziona znowu do niedostatku, zaniosła prośbę o roczne wsparcie do króla pruskiego, Fryderyka II. Monarcha znać nie lubiący kobiet, które zamiast kądzieli, piórem władają, przesłał jéj dwa talary,— Ludwika Karsz to zdarzenie, znanym powszechnie epigrammatem unieśmiertelniła (1).

Następnie Fryderyk Wilhelm II oddał jéj na własność nowy, obszerny dom, gdzie 12 października r. 1791 umarła.

---

(1) Zwei Thaler ist zu wenig,
Zwei Thaler giebt kein Koenig,
Zwei Thaler sind kein Glöck,
Drum schich, ich sie zurück.

Paulina z L. W.

MĄDROŚĆ I PRZEMYSLNOŚĆ.

Mądrość jest przymiot umysłu, za pomocą którego ocenia się co jest dobrém a co złém; czego unikać a czego poszukiwać trzeba, przemyślność zaś jest przymiot umysłu wskazujący nam środki prowadzące do zamierzonego celu. Mądrości przedmiotem jest prawda; przemyślności nasze rachuby. Mądrość zajmuje się przedmiotami rozmaitemi; przemyślność tylko widokami korzyści materyalnych. Mądrość jest rozumem udoskonalonym przez naukę; przemyślność zaś jest prostym rozsądkiem zastosowanym do postępowania w życiu praktyczném, gdzie idzie o korzyści rachunkowe. Mądrość nabywa się przez instrukcyę dobrze prowadzoną; przemyślność zaś przez zajmowanie się sprawami handlowe-

mi i przez obcowanie z ludźmi tego rodzaju. Mądrość jest właściwie w teorji, przemyślność rzeczywiście w praktyce.

Skoro np: dwa tylko przypuścimy działy w społeczności towarzyskiéj, majętnych i ubogich, to przemyślność pokaże się potrzebniejszą dla drugich, a mądrość dla pierwszych. Ubogi bowiem, czyli ubiegający się za zarobkiem pieniężnym, silić musi swój rozum na wynajdywanie i używanie środków praktycznych, aby swój cel osiągnął; bogaty zaś, przepędziwszy młodość na naukach teoretycznych, nawykł do szukania we wszystkiém prawdy, do zgłębiania początku, związku, i stosunku wszech rzeczy. Dla niego więc mądrość jest potrzebniejsza, bo do jéj nabycia całe jego wychowanie zmierzało, a o utrzymanie życia swojego, troszczyć się nie miał potrzeby, przemyślność zatém w życiu społeczném potrzebna jest *dla wszystkich* ludzi; ale prawdziwy mędrzec bez niéj się obejść może, jak to widzimy na licznych europejskiéj sławy mężach, co pracowali nad matematyką, fizyką, historją, prawodawstwem, polityką, chemią, historją naturalną i t. d. którzy mimo braku przemyślności, przez swe odkrycia i usługi dla rodu ludzkiego poczynione, nieśmiertelnemi uczynili imiona swoje. Któż się pyta o ród lub majątek Platona,

Kopernika, Tacyta, Linneusza, Lavoisiera, Franklina, Watta, Waszyngtona, Volty i tylu innych?

Dobrze, a nawet chwalebnie jest starać się o pieniądze wszelkim uczciwym sposobem; a przedewszystkiém zaś człowiek, nie posiadający odziedziczonego majątku pamiętać o tém powinien; bo zaspokojenie potrzeb fizycznych, pierwszém jest i powinno byó staraniem człowieka. Ale co innego jest uważać pieniądze za *środek*, a co innego za *cel* życia naszego. Dla kogo zaś pieniądz jest *celem* życia jego, ten zapewne o mądrości nie wiele myśleć będzie; sama przemyślność czyli praktyczna roztropność i przebiegłość jest dlań dostateczną. Przemysł jest bez zaprzeczenia, jedném z głównych zrzódeł szczęśliwości osobistéj, bogactwa i szczęścia społecznego, jedną z najpierwszych potrzeb każdego kraju; jednakże, przemysł sam nie wystarcza do rozwinięcia wszystkich władz naszych, i samo bez trosków utrzymywanie życia fizycznego, nie stanowi przeznaczenia człowieka. Mądrość uważana w człowieku, zależy nietylko na okazaniu rozumu w znajomości rzeczy, ale razem i w postępkach życia, bo to są dwa istotne i nierozdzielne warunki do osiągnienia szczęścia osobistego i do utrzymania towarzyskiego porządku, a do których rozsądny człowiek dąży; gdyż na téj harmonji

myśli i czynu zawisł pokój duszy, najpierwsze dobro człowieka, i cała godność natury ludzkiéj.

X. J.

WYJĄTEK

Z PODRÓŻY ODBYTEJ ROKU 1842 PRZEZ PANA ALEXIS DE VALON NA WYSPĘ TENOS W ARCHIPELAGU.

Przybyliśmy mówi pan Alexis de Valon do wioski opuszczonéj i walącéj się w gruzy— mieszkańcy wymarli na zarazę i jeden tylko żył tam pustelnik. Ciekawy byłem widziéć człowieka nieustraszonego tak odludném ustroniem. Przebyliśmy długi budynek podobny do klasztoru i tak zniszczony jak wszystkie domy téj wioski. Dach zapadał, próg trawą porosły; nic nie oznajmiało żyjącéj istoty. Straszliwa okiennica wisiała na pół odczepiona przy jednym z otworów, szarpana wiatrem skrzypiała na zawiasach.

Zasztukaliśmy;— nikt się nie odezwał. Przewodnik otworzył drzwi przyległe i wprowadził nas do ubogiéj lecz schludnéj kaplicy, w jéj samém ubóstwie widać było troskliwe staranie. Zasztukawszy do drzwi bocznych, usłyszeliśmy zbliżające się kroki, i dał się słyszeć głos zapytujący w języku greckim, kto tam?— Przewodnik wymienił swoje nazwisko, i drzwi się otwarły. Ujrzeliśmy starca czerstwego jeszcze, który po kilku słowach przewodnika cicho wymówionych skłonił się uprzejmie, prosząc w języku włoskim abyśmy weszli. Przez długi kurytarz pustelnik poprowadził nas do swéj ubogiéj celi. Całym tam sprzętem był stół stary i dwie drewniane chwiejące się ławki. Usiedliśmy tłumacząc się pustelnikowi z niewinnych powodów naszych odwiedzin i wpatrując się w niego ciekawie. Był to człowiek około lat sześćdziesięciu, twarzy pięknéj i znaczącéj. Jego czoło szerokie, gładkie, i zżółkłe zaledwie kilka białych uwieńczało włosów. Suknia z czarnéj sarży, podobna do tych jakie i nasi księża noszą, nadzwyczajnéj była czystości. Powoli, powoli, wszczęła się rozmowa. Pustelnik oświadczył że jest polakiem osiadłym od lat piętnastu w tym starym klasztorze, gdzie żyje samotny. Mały chłopiec przychodzi co r - no służyć mu do mszy świętéj i przynosi codzienną żywność, to jest, chleb gruby, a czasami

trochę ryżu, to skromne pożywienie, mówił uderzając się w szerokie piersi, wcale nie przeszkadzą do czerstwego zdrowia.“ Pytał zkąd przybywamy i co się dzieje w téj Europie o któréj już tyle lat niezasłyszał. We Francji Ludwik Filip czy jeszcze panuje? Czy panowie katolicy? zapytał, a jako z katolikami mówił z zaufaniem. Odbył on wiele podróży w młodości; lecz gdzie?— służył wojskowo, lecz kiedy?— kto on był?— dlaczego zerwał z ojczyzną, z rodziną i uczuciami wiążącemi z życiem? — jaką koleją przybył do tego smutnego ustronia?— o tém milczał. O! ileż wypadki i wspomnienia tego starca muszą być zajmujące. Ileż pytań chciałbym mu był zadać!— Zaczynałem kilka razy, lecz zawsze odpowiadał niewyraźnie i odwracał rozmowę z tym wybornym taktem który odznacza człowieka wyższego ukształcenia. Ta cecha przebijała się w każdém jego słowie, ruchu i dźwięku głosu. Po kilku bezskutecznych usiłowaniach, uszanowanie kazało zaprzestać zapytań o przeszłości, i ograniczyłem się rozmową o rzeczach obecnych. Mówił dobrze, chętnie, dowcipnie i z wdziękiem. Był on z tych starców na jakich miło patrzeć! Jego błękitne oko wyrażało tak czyste wypogodzenie że łatwo było uwierzyć gdy do najszczęśliwszych liczył przepędzone w téj samotni lata. „Na dobre wyjść mogą wasze po-

dróże, dodał, lecz w przebieganych krajach, w ludziach których spotykacie, wpatrujcie się tylko w to co dobre; bo złe wszędzie jednakowe. Starajcie się o to, ażebyście za powrotem na łono rodziny, mogli obejrzeć się bez obawy, na przebyte drogi." Nie było nic oschłego w mowie starca, a dźwięk jego głosu miał cóś niewymownie tkliwego. Nie mogliśmy słuchać bez wzruszenia tych rad ojcowskich w górach tak odległych od naszego kraju, w tym spruchniałym gmachu, przy jękach wiatru który gruzami zawalone ganki świszcząc przelatywał. Godzina uleciała szybko na słuchaniu napomnień starca. A gdyśmy go żegnali, odprowadzając nas rzekł: „kochane dzieci, prócz was nikogo obcego nie widziałem od lat piętnastu; dzięki wam, błogie mi wasze odwiedziny. Podobało się Bogu abyśmy się zeszli na téj skale, ni mojéj ni waszéj; miejmy nadzieję że się kiedyś ujrzemy, tam w naszéj spólnéj ojczyznie." Ręką wskazał na błyszczące się niebo: nam ją podał, pobłogosławił i w modlitwach wspomnieć o nas obiecał. Pobłąkawszy się nieco pomiędzy zwaliska, zwróciłem jeszcze oko na klasztor gdy już znikał w oddaleniu. Sędziwy kapłan stał ciągle na progu i także ścigał nas wzrokiem.— Uchyliłem głowę. Przesłał mi ostatni ukłon z daleka ręką którą po przeżegnaniu poniósł do oczów

jak gdyby łzę ocierał; odwrócił się i drzwi się szybko zawarły.— Wrócił do samotni, któréj już może nikt więcéj nie zwiedzi.— Nadejdzie poranek, w którym greckie dziecię zastanie go leżącego na drewnianéj ławie, dusza jego już będzie w niebie, a z nią tajemnica jego życia.

Czyż na téj ziemi nie ma ogniska gdzie po nim miejsce zostało próżne?— Głosu tęschnie wspominającego, cóż się z nim stało?— Serca w którym żyje jego pamięć?— Te smutne zapytania nasuwały mi się, gdy po kamienistéj drodze, wracałem do towarzyszów podróży.

WSPOMNIENIA WYGNANKI

(Ciąg dalszy).

IX.

Odjazd.

Jednakim krokiem postępuje odwieczny czas, nie wstrzyma go łza ani westchnienie, nie pogoni śmiech lub wesołość; — Marja skazana na opuszczenie rodzinnéj ziemi, pogrążona w rozpaczy załamywała ręce, zalewała się łzami, wzywała śmierci któraby odrazu koniec jéj boleści położyć mogła, potém modlitwą wznosząc się ku niebu wracała zwolna do ufności w Bogu, godziła się pokornie z przeznaczeniem swojém, a czas płynął pomału, i już go od wydania na Marję wyroku kilka upłynęło miesięcy nim, nadszedł straszliwy dzień odjazdu do Australji.

Zaledwie pierwszy brzask jutrzenki zrumienił wały morskie mrukliwie stopy portu oblewające,

ruch i zgiełk niezwyczajny napełnił ulice miasta, bo po pierwszy raz, mury i mieszkańcy jego mieli być świadkami zabrania na przygotowany okręt kilkudziesięciu złoczyńców.— Kara wygnania nowa jeszcze na ówczas w Brytanji wymierzona względem tylu razem osób, przerażała umysły.— Więzienie usuwając skazanego z przed oczu społeczeństwa, przytłumia współczucie, i zaciera go w pamięci ludzkiéj;— Kara śmierci zgrozą przejmując patrzących, kończy się przed ich oczyma, i już tylko wieczne skaranego życie porucza sprawiedliwości i miłosierdziu Boga, Wygnańcy zaś, w całéj sile zdrowia i życia, wolni od więzów i cierpień fizycznych inne zupełnie wzniecają zajęcie.— Swawolą i występkami swemi obrazili społeczeństwo, ukrzywdzili lub zgorszenie dali ziomkom, niesławą kraj swój okryli,— społeczeństwo zatém wyłącza ich z swego koła, ziomkowie oddalają winnych współbraci, ojczysta ziemia wysyła marnotrawnych synów w nowy świat, opatruje ich na drogę, poleca dozorowi prawa, i smutna z rozstania z dziećmi, pociesza się nadzieją, że pod innym pasem nieba, na ziemi nieznanéj, otrząsną się z występków, i powstaną do cnoty.— Każdy z nich po wymierzonéj karze żyć jeszcze będzie długo, doznawać najrozmaitszych przygód, widzieć przedmioty nieznane dotąd, walczyć ze zwierzęty i żywiołami,

i właśnie ta sama niepewność ich przyszłości, to podobieństwo i wątpliwość poprawy, owe straszne a przecież urocze obrazy małoznanego kraju który się drugą ich ojczyzną stanie, nietylko litością, lecz mimowolném poszanowaniem przejmują dla ludzi na tyle nowych uczuć, trudów i wrażeń skazanych.

Od świtu już drobne statki jeden za drugim wybiegając z portu płyną ku okrętowi w pobliżu na kotwicy stojącemu, i ładują nań żywność, napój, narzędzia potrzebne do budowania domów i uprawiania ziemi, ziarno do jéj zasiania, odzienie, zwierzęta domowe, słowem wszystko co tylko nowéj osadzie ułatwić, a nawet uprzyjemnić zdoła, od świtu téż mieszczanie wysypali się z domów, i osiadłszy nadmorskie wzgórza poglądają na ten ruch nieustanny, udzielając sobie gwarnie spostrzeżeń i domysłów.

W główném więzieniu również niezwykły ruch panuje; skazani żegnają się z rodzinami, przyjaciołmi i znajomemi;— dla uniknienia nieporządku, każdego wyprowadzając z osóbnéj celki żołnierz wpuszcza do sali, gdzie już od dawna oczekuje go żona, dzieci lub rodzice; pięć minut wyznaczono każdemu na pożegnanie wszystkiego co na tym starym zostawia świecie;— pięć minut— tak krótko! a przecięż byli tacy którzy i téj chwilki nie chcieli lub nie mieli z kim przepędzić.—

Ostatnią wyszła Marja;— kilka miesięcy cierpienia i samotności zmieniły jéj duszę równie jak zewnętrzną postać, nie była to już wesoła dziewczynka na któréj ustach figlarny uśmiech osiadał, twarz jéj blada, smętna, a przecięż pogodna ujmującą się stała, pokorna, prawdziwie chrześcijańska odwaga na rysach jéj wypiętnowana mimowolny wzbudzała szacunek.— Rzuciła się w objęcia matki płaczącéj w rogu sali, i przez długi czas, głośne tylko łkania odbijały się o wilgotne mury, bo w tym ostatnim macierzyńskim uścisku rozpłynęła się we łzy stałość dziewicy, upadło na chwilę mężne jéj serce, lecz wkrótce ocierając oczy przyklękła, i całując rękę matki rzekła:

— Matko ukochana! pobłogosław mię raz jeszcze, jak przed chwilą błogosławił mię Bóg ręką kapłana swojego, przed którym wyznałam wszystkie winy moje, pragnąc z czystém sercem i sumieniem opuścić ziemię moją!— tę ziemię na któréj ty teraz sama zostaniesz!— Ale nie! mój biedny ojciec, Betty, wrócą zapewne, o! powiedz im matko droga! że ja nie wierzę temu, co wkoło mnie szeptali złośliwi ludzie, ja wiem że oni równie jak ja są niewinni, błogosławię ich imiona, i gdziekolwiek Bóg mi żyć pozwoli modlić się za nich nie przestanę.

Strapiona matka złożyła ręce na głowie Marji.

lecz zbytni żal zatamował jéj mowę, w nieméj boleści poglądając na nieszczęśliwą córkę, zatopiła się duszą w jéj rysach, zapominając że czas tak skąpo na pożegnanie odmierzony mijał bez powrotu; żołnierz stojący na straży przypomniał jéj że nadeszła chwila ostatecznego rozłączenia, a ona jeszcze nic nie powiedziała, nic nie dała swojéj Marji, chociaż płócienne zawiniątko u nóg jéj leżące świadczyło, że ją na drogę zaopatrzyć chciała.

— Weź to, rzekła nakoniec; na tym strasznym końcu świata wszystko ci się przydać może— i to jeszcze; dodała zakładając dziewicy szkaplerz na szyję,— i ten pas szeroki skórzany, to lady Wilton oddać ci kazała kiedy ją lord do Niemiec uwoził, i ta książka nabożna także od niéj......

— Wszyscy gotowi do odjazdu! zawołał otwierając drzwi dozorca więzienia, żołnierz zbliżył się do Marji, matka jéj zemdlona wsparła się o ścianę, a dziewica ostatnie pocałowanie złożywszy na jéj bladém czole, wolnym krokiem wyszła za surowym przewodnikiem.

Południe wybił ratuszowy zegar, a po dwunastém jego uderzeniu odgłos bębna rozległ się po mieście, wojsko uszykowane w dwa szeregi utworzyło szpaler od drzwi więzienia aż do przystani portowéj, i w pośród tych ścian żywych, za kapelanem więzienia niosącym krzyż w ręku,

stu blisko wygnańców, między któremi było kilkanaście kobiét, w ponurém milczeniu przeszło do szalup czekających na nich u brzegu;— niedługo, statki przybiły do okrętu, wciągniono kotwicę, rozwinięto resztę żagli, i wspaniały statek zawróciwszy się dumnie rozparł morskie fale bokami, i szybko posuwać się począł ku dalekiemu celowi podróży. W mieście zajękły dzwony wzywające na modlitwę za szczęśliwe powodzenie żeglarzy, w porcie zagrzmiały działa żegnające okręt, a po wybrzeżu wiatr powiał białémi chustkami któremi widzowie żegnali smutną wyprawę;— chwilka jeszcze, a ostatnie zarysy statku znikły na widnokręgu, umilkło miasto, wrócili do zwykłych zatrudnień mieszczanie, i tylko w niewielu strapionych sercach została pamięć wygnańców.

X.

Przeprawa.

Wstrzymany przeciwnych wiatrów siłą, przez całe trzy miesiące kołysał się po falach statek wiozący wygnańców, ciężki to był czas dla nich, i nie wszyscy przetrwali trudy przykréj przeprawy.

Okręt na którym płynęli należał do większych naówczas, trzjmostowych statków; mosty te, dzieląc go na trzy części, stanowiły niby trzy piętra, z których każde inne miało przeznaczenie.— Na samém dnie, zabezpieczone od wilgoci i upału spoczywały przedmioty mające służyć nowéj osadzie, żywność, odzież, broń, proch, beczki z słodką wodą; całe te piętro na kilka podzielone części, było pod zarządem starego majtka, któremu codzień kilku okrętowych ludzi do pomocy dodawano,— pod wierzchnim pokładem na drobniéjsze podzielonym przegrody były mieszkania kapitana, oficerów, lekarza, i starszych okrętowéj osady, izdebki te maleńkie, w ktorych prócz krzesła i stolika do podłogi przybitego, prócz kufra lub skrzynki z rzeczami, prócz wiszącego łóżka innych wygód nie było, lecz w każdéj szczelnie zamknięte okienko, które w czasie pogody otworzyć było można i na gładką powierzchnię wody poglądać nie wystawiając się na palące promienie .słońca, lecz spokojność, zupełna samotność i swoboda jakiéj każdy za zamkniętemi drzwiami swojéj kajuty doznawał, milszemi je czyniły żeglarzom, niż nam na przestronéj ziemi wydałyby się najwspanialsze salony. Na tém górném piętrze była także izba jadalna, infirmerja czyli szpital, i dla kobiét wygnanek, ciasny i ciemny kącik, mocną zagrodzony ścianą,

i straży żołnierza zmieniającego się co dwie godziny oddany.

Pomiędzy dwoma pokładami dopiero, gdzie już nie dochodziło światło dzienne, były koszary.— Na jednym końcu statku mieszkanie majtków, na drugim, żołnierzy; w samym środku okrętowéj przestrzeni zbudowano rodzaj przestronéj izby, dokoła przybito szerokie ławy, u belek od powały zawieszono płócienne łóżka, i tam to zamknięci z dwóch stron na żelazne rygle wygnańcy mieli przebyć cały czas żeglugi. Z obawy by przez swawolę, złość lub nieostrożność nie zapruszyli ognia, nie dawano więźniom światła, tylko w dębowych ścianach jedno blisko drugiego powycinane i żelazną założone kratą okienka, przepuszczały wewnątrz blady odbłysk latarni zawieszonych tu i owdzie na ścianach okrętu; co dziesięć kroków stał żołnierz na straży, pilnując by w przestrzeni jego dozorowi powierzonej nie zaszła kłótnia, bitwa, lub co najwięcéj, żeby uwięzieni nie starali się uwolnić z zamknięcia, ścienne okienka ułatwiały mu baczność, bo w każdéj chwili mógł zaglądać wewnątrz, dla przekonania się co się za ścianami dzieje.

Fórtka wyrobiona we drzwiach i niezłomnemi opatrzona ryglami otwierała się dwa razy dniem; wtedy więźniowie wołani po imieniu, zbliżali się do niéj pojedynczo, i z rąk dozorcy odbierali przeznaczoną żywność i napój; trzy razy dniem

otwierały się także drzwi całkowicie, i wezwanych z kolei, ośmiu wygnańców pod strażą przechodziło na zwierzchni pokład okrętu, gdzie przez kilka godzin pod okiem żołnierzy zajmowali się myciem pomostu, czyszczeniem dział, naprawianiem żagli, obrabianiem drzewa, i rozmaitemi pracami, przy których używając sił swoich, oddychając swieżém morskiém powietrzem, łatwiéj przez dni parę w koszarach pozostać mogli nie cierpiąc na zdrowiu, wprawiali się w zatrudnienia mające im się przydać w nowéj siedzibie, i wyręczali majtków i żołnierzy, których ciągła straż nad nimi utrudzała niemało.

Odznaczający się pilnością, zręcznością, posłuszeństwem, otrzymywali w nagrodę większą miarę żywności, czasem szklankę groku czyli wody z rumem, czasem miarkę wódki, niekiedy dobrą wzmiankę w okrętowym dzienniku;— leniwych zaś, krnąbrnych nieobyczajnych, za karę rzadziéj od innych, i to tylko na czas krótki wypuszczano na pokład, jedynie dla odetchnienia czyściejszém powietrzem, i każde ich przestępstwo zapisywano pilnie, a lubo oni sobie taką karę lekce ważyli, ważny ona wpływ na ich przyszłość wywrzeć miała.

Kobiéty również w miarę sił i chęci pracowały w pralni, kuchni, lub doglądały szpitalu w którym ciągle kilku lub kilkunastu było cho-

rych.— Wszystkie one przenosiły najcięższą pracę, nad okropne ściany ciasnego wzięzienia, tylko Marja, biedna niewinna Marja sprobowawszy raz jeden wyjść z innémi na pokład, nie chciała więcéj opuszczać więzienia, bo grube żarty, śmiałe i szydercze spojrzenia majtków i żołnierzy zwracające się ku niéj, wywołały na blade lica dziewicy rumieniec zawstydzenia, i tak boleśnie ścisnęły serce jéj do tkliwego obejścia przywykłe, że wolała zrzec się widoku słońca, powietrza czystego, niż raz jeszcze narazić się na litość lub dowcip na wpół-dzikich żeglarzy.

W zagrodzie dla kobiét przeznaczonéj w najciemniejszym kąciku Marja obrała sobie schronienie, w myślach i modlitwie zatopiona najczęściéj dni całe przepędzała w milczeniu, nie śmiejąc prawie patrzéć na swoje towarzyszki, a tém mniéj mieszać się do ich rozmowy. Z początku kobiety te, biorąc jéj odosobnienie za pogardę dla siebie, mściły się za mniemaną zniewagę wyrzutami i dotkliwémi docinkami, lecz widząc jak pokornie i łagodnie znosiła krzywdę swoją, zaczęły się wzruszać anielską jéj słodyczą; młodość Marji, jéj cierpienie, nieśmiałość, powoli zmiękczyły te zdziczałe serca, litość zajęła miejsce oburzenia, i wygnanki które w pierwszych dniach przeprawy, zatruwały jéj życie tysiącznemi przykrościami, po kilku tygodniach wspólnego pobytu, pokochały

ją mimowolnie, same nie wiedząc o tém przybrały ją za swe dziécię, i nad tą słabą wątłą istotą roztoczyły baczną i silną opiekę.— Codzień, co chwila prawie dawały jéj dowody przywiązania.— Jeżeli która za gorliwość w pracy otrzymała smaczniejszy jaki kąsek lub chleba świeżego kawałek, niosła go Marji, kieliszek wina ze stołu przydał się dla sieroty zwątlonéj grubym pokarmem i brakiem powietrza, szklanka groku, tak pożądana dla prostych i zdrowych kobiet nie dostała się nigdy w ich ręce, by połowę jéj przynajmniéj nie poświęciły na zwilżenie długich włosów Marji, piorąc odświeżały tajemnie jéj bieliznę, wietrzyły suknie, czyściły z pyłu obuwie, i to najwięcéj wtedy gdy ona spała, by jéj miłe sprawić zdziwienie, i uniknąć podziękowania. — Takto nawet w duszach przytępionych występkiem cicha cnota, cierpliwość, pokora w niezasłużoném nieszczęściu potrafi wzniecić szacunek i współczucie.

Pomimo starań towarzyszek swoich Marja nikła widocznie, moralne cierpienia podkopały jéj zdrowie, i w połowie drugiego miesiąca po opuszczeniu Szkocji, przeniesiono ją do szpitala.

Wiek i rysy wygnanki ujęły dla niej serce lekarza, który sam będąc ojcem licznéj rodziny, nie mógł bez wzruszenia patrzeć na to biedne dziecię, tak surowo rzucone na fale morza, na

burzliwsze jeszcze fale życia wygnańców.— Z ojcowską troskliwością pielęgnował gorączkującą Marję, i po kilkunastu dniach udało mu się przywrócić jéj zdrowie, a z wyrazów które w bezprzytomności umysłu wymawiała, domyśliwszy się jéj niewinności, uzyskał dla niéj od kapitana okrętu pozwolenie, pozostania w szpitalu dla kobiet przeznaczonym, pod pozorem że jéj zdrowie nie zniosłoby powrotu do więzienia.

Tak więc chwilowe cierpienie, polepszyło znacznie los Marji, w widném i dość obszerném miejscu przebywając, lżejsze i staranniéj przyrządzone pożywając pokarmy, a nadewszystko ciesząc się prawie zupełną samotnością, w krótkim czasie odzyskała czerstwość i siłę, i mogła przybywającym do szpitala towarzyszkom swoim, troskliwością i czułym dozorem odpłacić się za doznaną od nich życzliwość.

Pewnego dnia, przyniesiono Sarę, jednę z najmłodszych po Marji wygnanek, która zchodząc z drabiny z brzemieniem drzewa, spadła, i pokaleczyła się mocno.— Po opatrzeniu ran jéj przez lekarza, chora usnęła, a Marja wierna przyjętemu dobrowolnie obowiązkowi, siadła przy niéj czekając, czy przebudziwszy się nie zażąda czego, lub czy podług obawy lekarza, nie nastąpi gorączka;— po kilku godzinach ocknęła się chora,

spójrzała dokoła jakby zbierając myśli, wyciągnęła ręce, lecz dopiéro uczucie bólu przy nagłém poruszeniu, wróciło jéj pamięć zupełną.

— Więc ja jeszcze żyję?... rzekła ponuro: i jestem w szpitalu.....

Marja zbliżyła się do płóciennego łoża, i poglądając życzliwie na Sarę, rzekła:

— Bądź spokojną Saro, a lekar zapewnia że niedługo wyzdrowiejesz.

— Skąd on to wiedzieć może? spytała chora opryskliwie.

Marja obeznana z gwałtownością jéj charakteru podała w milczeniu chłodzący napój.

— Precz z tém! krzyknęła Sara,

— Przyjmij Saro! to cię uspokoi.

Sara spójrzała zimno na stojącą przed nią dziewicę, i pomału, szyderczo wyrzekła.

— Widzisz że i tak spokojną jestem; gorączki nie mam, więc mi daj pokój z waszemi lekarstwami, bo ja i tak nic już jeść ani pić nie będę.

— Cóż to ma znaczyć?

— Czy wiesz że w szpitalu nie wolno chorym snu przerywać? spać mi się chce, odejdź!

I to mówiąc zamknęła oczy, i odwróciła głowę do ściany.— Marja smutna i zdziwiona takiém dziwactwem usunęła się na stronę, lecz siadłszy na podłodze patrzyła ciągle na łóżko Sary, widziała jéj poruszenia, a przecięż ile razy

zbliżyła się do chorėj, zastawała ją z zamkniętėmi oczyma, udającą uśpienie.— Tak zeszła noc cała, nazajutrz rano lekarz odwiedzając szpital, polecił wyraźnie dawanie Sarze chłodzącego lekarstwa, grożąc niebezpieczeństwem jeżeliby trwała w uporze, lecz ona potrząsnęła głową, i nieubłagana ciągłemi prośbami Marji, nietylko nic przyjąć, lecz słowa nawet przemówić do niéj nie chciała. Tak zeszła większa dnia połowa, już słońce chyląc się ku zachodowi długiemi promieńmi złociło szpitalne ściany, kiedy Marja po krótkiéj modlitwie powstała z wyrazem mocnego postanowienia, i raz jeszcze zbliżyła się do Sary, którėj czarne włosy rozrzucone w nieładzie na grubėj płóciennėj poduszce, twarz blada czerwonemi z gorączki pochodzącemi plamami oznaczona, i czarne oczy dzikim pałające ogniem, okropny tworzyły obraz.

— Saro! wymówiła z cicha Marja.

— Jeszcze! odpowiedziała niecierpliwie.

— Posłuchaj mnie!

Milczenie.

— Pamiętasz Saro, kiedym razem z wami wszystkiémi była, jak ty troskliwą byłaś o moje zdrowie i wygody?— kto mię w nocy płaszczem swoim okrywał? kto sobie odmawiał napoju bylem ja czystą wodą twarz odświeżyć mogła?

kto, kiedym gwoździem skaleczyła nogę pozbawił się jedynéj chustki by moją ranę opatrzyć?

— Cóż z tego? cóż z tego?

— Tyś mię kochała Saro!

— Czyliż dla tego masz prawo dokuczania mi?

— Tyle przysług świadczyłaś mi z własnéj woli, teraz Saro! ja cię proszę, na kolanach cię proszę, przyjmij ten napój z rąk moich!

Sara odwróciła głowę.

— Saro! odmówiszże pierwszéj, jedynéj prośbie mojéj?

— Strzeż się dziewczę! zawołała gwałtownie chora, nie znasz Sary! mówiłam ci że nic pić ani jeść nie będę!

— Ja nie wstanę Saro! nie odejdę od ciebie; rzekła z tkliwym uporem Marja, i mimo mocniéjszych rumieńców choréj, mimo strasznego blasku jéj oczu zbliżyła do ust spieczonych kubek z zbawiennym napojem,— lecz rozdrażniona, nieprzytomna sobie Sara wyrywa go, rzuca silną jeszcze choć niepewną ręką i trafia w białe czoło Marji.— Krew popłynęła strumieniem, zachwiała się dziewica, lecz widząc w twarzy choréj żal i przerażenie, korzysta z tego, i napełniając drugi kubek, podaje go jéj mówiąc:

— To nic, pij tylko!

Taka łagodność, takie poświęcenie się wstrząsnęło twardą duszę Sary; w milczeniu przyjęła

podane naczynię, a spełniwszy je, ujęła rękę Marji, i mimowolnie do ust ją poniosła.

Chłodzący napój zbawienny wpływ wywarł na chorą, uspokoiła się znacznie, lecz z gorączką opuściły ją i siły, utrudzona, osłabiona, nie rzucała się już jak poprzednio, jednak od przyjęcia lekarstwa, od opatrywania ran wzbraniała się ciągle; lecz wtedy Marja wskazywała jéj swoje blade zranione czoło, a Sara w milczeniu i z spuszczonémi oczyma wykonywała jéj wolę.

Tydzień już blisko upłynął od owego wypadku; skaleczenie Sary i jéj choroba ustępowały zwolna przed staraniem lekarza i troskliwością młodéj dozorczyni, lecz w miarę powrotu do zdrowia, stawała się coraz smutniejszą, spojrzenia jéj ponure ku ziemi się ciągle zwracały, i nieraz gdy Marja przemawiała do niéj, odwracała się z niechęcią.

— Co tobie Saro! pytała tkliwa jéj towarzyszka,— dlaczego tak żywa, tak wesoła prawie na początku przeprawy, teraz tak ponurą się stajesz?

— Bo.... bo ja nie chcę dopłynąć do Australji.

— Niechcesz! któż z nas chciałby?— a przecięż dopłyniemy.

— Ah Marjo! gdyby nie ty! jużbym była wolną.

— Tobie gorączka powraca!

— O nie! posłuchaj tylko:— z początku prze-

prawy, prawda, myślałam nad tém tylko, by jak najmniéj cierpieć, jak najmniéj niewygody doznawać, o wygnaniu myślałam jak o rzeczy jeszcze dalekiéj;—, ale kiedy ze wszystkich stron nasłuchałam się o ciężkich pracach, o surowéj karności, o tém jak tam wygnańcy pilnie są strzeżeni, codzień bardziéj zaczęłam lękać się téj strasznéj ziemi, gdzie z jednéj strony morze i bagnety żołnierzy, z drugiéj, góry i włócznie dzikich Australczyków jak murem nieprzebytym otoczą nas dokoła.

Na to opowiadanie Marja spuściła głowę na piersi;— Sara mówiła daléj:

— Codzień, mówię, smutniéj i cięższéj było mi na sercu; nieraz, ja co w Szkocji nie wzdychałam nigdy, nieraz patrząc oknem na te niezmierzone wody, westchnęłam patrząc w tę stronę gdzie mi z oczu znikła moja ziemia, zadrżałam pomyślawszy o téj do któréj dążę;— nieraz wyszedłszy na pokład chciałam się rzucić w morze i zginąć, ale wiedziałam że zręczni żeglarze wydobyliby mnie pewnie.

— Co mówisz! zawołała przerażona Marja, chciałaś się utopić?

— Tak;— potém kiedym spadła z drabiny, myślałam że umrę, a przyszedłszy do siebie w szpitalu, postanowiłam nic nie jedząc ani pijąc zakończyć smutne życie.— Tyś mi nie dała!...

I z gorzkim wyrzutem spojrzała na swoją zbawczynię.

Marja w zadumieniu patrzyła na mówiącą;

— Powiedz mi, rzekła po chwili biorąc ją za rękę, czy znasz ty Saro przykazania boskie?

— Znam wszystkie dziesięć.

— I chciałaś się stać zabójczynią?

— Saméj siebie! cóżby to komu szkodziło?

— Powiedz mi Saro, rzekła raz jeszcze Marja, wiesz ty co to religja?

— Słyszałam nieraz jak wiejskie dzieci pacierze mawiały.

— A ciebie nie uczyła matka modlić się do Boga?

— Nie mam matki, i nieznałam jéj wcale.

— A ojciec?

— Ojciec był przemytnikiem, i pewnie sam nie modlił się nigdy.

— A w kościele nie słyszałaś nigdy nauki lub kazania?

— Przemytnicy nie chodzą do kościoła.

— Biedna, biedna Saro! więc ty nie znasz Boga, nie wiesz jak On jest dobrym, jak potężnym, jak kocha nas ludzi!

— Kocha?.... i mnie kocha?...

— Jakżeby miało być inaczéj? czyliż nie jesteś jak wszyscy dziecięciem jego, biedném, nieświadoméм dziecięciem, które może tylko z niezna-

jomości praw Jego zbłądziło, a przecięż Bóg własnego syna zesłał na ziemię by zbłąkane dzieci zwrócił do Niego!

—Nie odpowiadasz Saro! czyliżbyś i o tém nie wiedziała?

—Ja nie wiem, o niczém nie wiem; — o! mów, proszę cię, mów mi o Bogu!

Dla pobożnéj, cnotliwéj Marji słodkie to było zatrudnienie; od dzieciństwa nauczana religji słowy i przykładem, czytaniem ksiąg pobożnych u lady Wilton, a bardziéj może rozważaniem ich w więzieniu, pojęła głęboko boską naukę Zbawiciela, nauczyła się badać własne myśli, roztrząsać czynności, dosłyszeć najlżejszy głos sumienia, i za podstawę każdego czynu kłaść świętą miłość Boga i bliźniego.

Sara, córka kontrabandzisty, od dzieciństwa przyuczona przekradać zręcznie towary, przez całe życie patrząc i dzieląc burzliwe przemytników przygody, nie zastanowiła się nigdy nad tém że codzień, co godzina nowy popełniała występek;— silna, odważna, zuchwała nawet, wielką ojcu swemu i jego towarzyszom była pomocą, jéj zręczność, przebiegłość, za wzór innym dziewczętom stawiano, obsypywano ją pochwałami, imię jéj nawet z poważaniem wymawiano.— Sara upojona fałszywemi hołdy, uważała się za wyższą od innych istotę, i za nic w świecie nie

pomieniałaby się na swój los, z prostą wiejską dziewczyną cichą, lękliwą, spokojnie przy boku matki żyjącą;— a jednak biło jéj serce gdy czasem zakapturzona szła z jarmarku, i na drodze pod figurą ujrzała klęczącą ubogą rodzinę, lub żebraka śpiewającego pobożne pieśni;— nieraz podsłuchiwała jak wiejskie dzieci pilnując trzody po górach ranne lub wieczorne odmawiały modlitwy, z ciekawości nauczyła się pacierza, powtarzała go przebiegając głębokie parowy, lub kołysząc się po morzu w lekkiém czółenku, ale światło wiary, ale pojęcie tych cudnych wyrazów nie przedarło się do umysłu, zatopionego w występnych zabiegach.

Każde słowo Marji padało więc w jéj serce jak ziarno w nieuprawną, lecz pełną sił żywotnych ziemię.— Z podziwieniem słuchała o wielkości i miłosierdziu Boga, poznanie świętych praw Jego zbudziło tak długo uśpione sumienie przemytniczki, groźny głos tego wewnętrznego sędziego wyrzucać jéj począł każdy czyn, każdą myśl i całe życie;— trwogą przejęta, Sara pochyliła się w rozpaczy, nie śmiejąc spojrzeć na przeszłość; lecz kiedy Marja widząc tak zbawienny wpływ swoich usiłowań, wspomniała ile to jeszcze czasu zostało do odpokutowania, do zatarcia jéj błędów, ile jeszcze sposobności mieć będzie do dobrego, jeżeli Bóg pozwoli jéj czas jakiś prze-

żyć na smutnéj ziemi wygnania, Sara podniosła czoło, w czarnych jéj oczach zajaśniał czysty zapał do cnoty, a klękając przed Marją i ściskając z uczuciem jéj ręce rzekła:

— Wierzę, wierzę wszystkiemu co słyszałam, bo to czego nikt z ludzi nie widział, ja widzę, widzę mego anioła stróża, widzę ciebie!.... Ach Marjo! ja teraz dopiero żyć zaczynam, i to życie podwójnie tobie winna jestem;— tyś nie pozwoliła umrzeć mojemu ciału, i tyś zbudziła duszę co tak długo nie wiedziała o sobie,— Wszystko cokolwiek dobrego pomyślę, uczynię; to twoje;— a cóż ja ci dam za to?

— Kochaj mnie Saro! rzekła podnosząc ją rozczulona Marja, bo tam dokąd płyniemy, do niczyjego serca prawa mieć nie będę.

— Do mego, na wieki! Nie wiem jeszcze jaki los czeka nas tam obiedwie, ale tego jestem pewna, że dopóki żyć będę, moja Marja nie dozna niedostatku, nie schyli się w ciężkiéj pracy, nie narazi się na niebezpieczeństwo.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KLASZTOR

OO. BERNARDYNÓW

W STRZEGOCINIE.

Wieś Strzegocin leżąca o dwie mile od miasta Pułtuska, była najprzód w posiadaniu Narębskich, w połowie XVII wieku przeszła do Bielińskich, na początku XVIII wieku dostała się Weslom, a w końcu tegoż nabyli ją Wołłowiczowie, w których posiadaniu do dziś dnia zostaje.

Od niepamiętnych czasów był w niéj mały kościołek drewniany, z klasztorem XX. Jezuitów po którym dziś bardzo mały ślad pozostał— a o którego założeniu, jak również i upadku żadnéj nie można powziąść wiadomości.— Z historji obrazu Najświętszéj Panny będącego w wielkim ółtarzu dzisiejszego kościoła pokazuje się, iż XX. Jezuici byli w Strzegocinie tylko do r. 1689.— Odtąd

ich miejsce zajęli Dominikanie — którzy, krótko bo tylko do roku 1693 zabawiwszy, ustąpili Bernardynom, wprowadzonym przez Franciszka Kazimierza Bielińskiego, Podkomorzego koronnego, syna Wojewody malborgskiego, który własnoręcznym aktem nadał im grunta i łąki we wsi rzeczonéj, jak to świadczy tenże akt który znalazłszy w papierach klasztornych przytaczam.

LEGACYA I ZAPIS NA PREZYDENCYĄ STRZEGOCIN:

„Ja niżéj na podpisie wyrażony daję tę moją assekuracyą którą takowéj wagi i mocy mieć chcę, jakoby *coram actis quibus vis Authenticus* zeznana była; iż umyśliwszy fundować reguły Franciszka świętego Ojców Bernardynów a patrona mego na chwałę Bożą, na honor Matki Jego i większe wysławienie łaski Jéj, któréj doznałem i doznaję — oddałem im klasztor i kościół w dyspozycją, i dla wygody ich na ogród miejsce Niedźwiedzicę na zawsze, polecając podstarościemu temu i inszym będącym, aby tam żadnéj prepedycji ojcowie nie mieli. — Chłopom zaś którzyby się do tego miejsca interessować mieli, aby

gdzieindziéj takież miejsce z folwarkowych wydzielono gruntów. Polecam nadto, deklaruiąc OO. Bernardynom ku ich utrzymaniu na obligi co rok złotych z mieszka mego 200, obligując ich, aby jedną mszę świętą za ś. p. rodzica mego JWielmożnego Jana Franciszka Wojewodę malborgskiego, tudzież za rodzicielkę moją Annę, teraz zaś na intencyą moją, a po śmierci za duszę moją żeby odprawiali.— A że do doskonałego stanu tę fundacyą moją chcę przywieść, tedy deklaruję ojcom WW. Bernardynom na klasztor 6000 wyliczyć złotych; na obligi, to jest: na msze, lampę i habity, także takową summę wyliczyć, ażeby w zupełności tam chwała Boża gorliwie i cześć matki jego słynęła.— Kościół zaś i Ephitaphium ś. p. rodzicowi mojemu wystawić, którego serce tam jest złożone, przy sobie zostawuję— 2 Kiedy już wszystko *in statu* będzie, tedy jako się z ojcem prowincjałem namówię, tam mieszkać będę i z rezydencji konwent się stanie.—Datum w Strzegocinie *anno* 1694 *die* 16. *Augusti Fr. Kazimierz Bieliński Podkomorzy Kor.*“

Z tego aktu atoli nie możemy mieć pewności, czyli tenże Bieliński był fundatorem dzisiejszego kościoła; a nawet rok 1730 wyryty na murze pod facjatą nad wielkiemi drzwiami zupełnie inaczéj wnioskować każe.— Nadto jest w Strzegocinie włościanin dziewięćdziesiąt-letni, który świad-

czy iż dobrze pamięta stary drewniany kościołek ze smentarzem, i wskazuje miejsce gdzie stał.— Twierdzenie jego nie jest bez zasady, bowiem wykopują tam kości i czaszki w znacznéj liczbie, a chociaż miejsce to już na pole obrócone i zasiane zbożem, przecież ziemia, pełna jest jeszcze gruzów.— Obok tego: wszystkie rejestra dawnych przełożonych, mianują wszędzie Weslów fundatorami i dobrodziejami swemi— o czém mszał w karmazynowy axamit oprawny na którym napisano iż: *„Sprawiony jest kosztem JWW. Państwa Jana i Brygitty z Zienowiczów Weslów Starostów Ostrowskich fundatorów i dobrodziejów Strzegocińskiego konwentu.“* najlepiéj świadczy.

Ztąd wnosić wypada że Bieliński sprowadził Bernardynów do starego jeszcze kościoła, że może zaczął budować nowy, ale nie dokończył. A że jakeśmy wyżéj powiedzieli na początku XVIII wieku Strzegocin był własnością Weslów, zatém nie ma wątpliwości że nie kto inny, jak tylko oni są istotnymi fundatorami dzisiejszego kościoła i konwentu (1).

Brak zupełny dokumentów z powodu iż archiwum klasztorne podług oświadczenia X. Gwar-

(1) Jest stary lichy portret w zakrystji, wyobrażający panią Weslową, który nazywają portretem fundatorki— ma on być malowany po jéj śmierci która nastąpiła w r. 1734.

dyana aż do Prasznysza wywiezione zostało, nie pozwala nam udzielić czytelnikom, dziejów klasztoru, ani przemian trzech różnéj reguły zakonów, ani wykazać istotnych funduszów i zapisów na jakich mu podobno nie zbywało.

Dzisiejsze fundusze klasztoru są dosyć szczupłe, składają się bowiem z małéj ilości gruntu, kawałka łąki i kilkuset złotych gotowizny.

Z historji obrazu Najświętszéj Panny będącego w wielkim ołtarzu, powziąłem następującą wiadomość. — „Był on najprzód (mówi stary rękopism) w kaplicy we wsi Sokołowie, nad rzeką Narwią o mil dwie od Pułtuska leżącéj, jako prosty i nic nie znaczący obraz od r. 1598 aż do 1607 w którym to roku z woli i zrządzenia wszechmocnego Boga, zaczęły się przy nim dziać rozliczne cuda.“

1650 roku Jan Karol Bieliński, (ojciec zapewne Franciszka) będąc wzięty przez Węgrów do niewoli, za udaniem się pod opiekę Matki Boskiéj sokołowskiéj, prawie z placu śmierci uwolniony, i do siedziby odesłany został. — Co sam własną ręką zapisał w rzeczonym rękopiśmie i co zapewne spowodowało jego syna, do przeniesienia obrazu z kaplicy sokołowskiéj do kościoła strzegocińskiego XX. Jezuitów, a wnuka skłoniło do licznych zapisów, i wzbudziło chęć wystawienia

wspanialszego królowéj ziemi i nieba przybytku— oraz ozdobienia Jéj obrazu koroną srebrną pozłacaną, djamentami, rubinami i szmaragdami nasadzaną.

Obok tych kosztowności które dziś jeszcze widzieć można, było mnóstwo (jak przekonywają spisy) bardzo drogich ornatów, kap, monstrancji, kielichów, patyn i t. p. dawanych ciągle przez rozmaite osoby doznające szczególniejszych łask N. Panny strzegocińskiéj; lecz dziś z tego wszystkiego i piątéj części nie pozostało!...

Co do budowy klasztoru— ta jest w guście nowym, łącząca skromność z okazałością, prostotę z wykształconym smakiem— nie jest ona gotycka, może nie poetyczna, ale zato jasna, widna i miła.

Dwie wieże kształtnie i lekko wzniesione, ozdabiają jéj fronton, i nadają mu piętno niejakiéj wytworności; a piękne położenie, czyste i zdrowe powietrze, samotność rozlana do koła, czynią to miejsce prawdziwie boskiém!...

Wewnątrz kościoła także napróżno szukałby kto przepychu i bogactw, nie ma tam nic drogiego, nic wielkiego, nic wspaniałego prócz Boga!— wszystko oddycha prostotą i ubóstwem.— Trzynaście ołtarzy licząc z wielkim, i kaplicą Pana Jezusa będącą po lewéj stronie, nie błyszczą ani obrazami sławnych mistrzów, ani obrusami z ko-

ronek, ani firankami ubranemi w złote kutasy— Wszystko to dał szlachcic ubogi, sprawił kmiotek pobożny, pielgrzym przyniósł z Częstochowy— wszystko téż jest ubogie— wszystko skromne. ale zato jakież urocze! jakież święte!...

Mimo ogromną tablicę zawieszoną za wielkim ołtarzem, obejmującą imiona i nazwiska osób, leżących w grobach tego klasztoru, a pomiędzy któremi znajduje się wiele familji historycznych— trzy tylko znalazłem nagrobki.— Z tych jeden wlepiony w kolumnę podpierającą sklepienie, po prawéj stronie od głównego wchodu, zrobiony jest z czarnego krajowego marmuru i bez żadnych ozdób; poprostu jest to tablica z napisem:

D. O. M.

„Tu leży Kunegunda z Zabickich Rudzicka, Sędzina ziemska zakroczymska żyjąc— lat 90, umarła d. 15 Lipca 1786 r. pełna cnót i pobożności w życiu, prosi o westchnienie do Boga.“

Na drugim takimże samym, tejże saméj wielkości i kształtu, wlepionym w drugą kolumnę na przeciwnéj stronie kościoła czytamy:

D. O. M.

„Tu leży JW. Józef Rudzicki podkomorzy zakroczymski, kawaler orderu Ś. Stanisława; żył

lat 57. umarł d. 23 Lipca 1793. prosi o „Zdrowaś Marja.“

Trzeci i ostatni nagrobek w kaplicy Pana Jezusa, wzniósł dzisiejszy dziedzic i kollator córce swéj Zofji urodzonéj d. 27 stycznia 1827 r. zmarłéj d. 12 lutego 1829.

Ale napróżno wszędzie szukałem owego Ephithaphium dla Franciszka Bielińskiego Wojewody malborskiego o którym jest wzmianka w wyż cytowanym zapisie; serce tylko widziałem w grobach w małéj drewnianéj trumience— ciała także odkryć nigdzie nie mogłem.

Jak mi opowiadano, miała w tym klasztorze być liczna bibljoteka, z dzieł wyborowych złożona, po Jezuitach pozostała; dzisiaj wszakże nie ma w niéj nad 300 książek i to same stare żywota i kazania.

T. Herburt.

SŁÓWKO O CHIŃSKIEJ LITERATURZE.

Chociaż tak długo ukryta przed ciekawym cudzoziemców wzrokiem, literatura chińska jest przecięż najpierwszą, najwyżéj stojącą, i liczniéjszemi dziełami wspartą, niż literatura któregokolwiek azyatyckiego kraju; podzielićby ją najwłaściwiéj można na trzy części;— pierwsza, i najdawniéjsza zwana *Chou-King* zawiera powieści bohaterskie i dzieje początkowe państwa chińskiego;— druga *Chi-King* obejmuje śpiewy ludu, opisy natury, opisy cnót i uczuć tkliwych, obrazy uczt i zabaw, miłość rodzinną;— trzecia *Li-Ki* religijnym przedmiotom wyłącznie jest poświęconą.— Wyjątki a nawet całe dzieła chińskie, tłumaczą dziś na europejskie języki, a głównie na francuzki i angielski, aby więc dać i

czytelnikom Zorzy wyobrażenie jak mieszkańcy niebieskiego państwa myśli i uczucia swoje wyrażają, zamieszczamy tu kilka ich myśli, i maleńki obrazek.

MYSLI.

Kto rady mędrszych zasięga wiele wykonać potrafi; ale nic dobrego nie zrobi kto sobie tylko ufa.

Mędrzec pomału mówi, ale szybko działa.

Słuchać rad, a nie pełnić ich, jest to przestawać na zapachu potraw, które nam pożywać wolno.

Kto od rana pełnił cnotę, może bez żalu umrzeć wieczorem.

Dom bogacza który nie wspiera ubogich podobnym jest górze, w któréj łonie spoczywają bogate kruszce nikomu nieprzynosząc pożytku.

Kobiéta powinna mieć cnotę w sercu, skromność na czole, łagodność na ustach, a robotę w ręku.

TYGRYS.

Bracia! porzućcie książki i igraszki wasze, siostro złóż robotę swoją, i przyidzcie tu do mnie;—

zaśpiewąm o najtkliwszéj i najodważniéjszéj z matek; uwielbia ją kraj cały, a potomność zapisze jéj imię w księdze chwały złotemi głoskami.

Już żyzna równina *Chun* przybrała na się szatę wiosennych wdzięków, zboże zwierające się w kłosy cieszyło oko rolnika w lekką przybranego odzież, młode dziewice zrywając morwowe liście łączyły swe głosy z tkliwemi śpiewami ptaszząt..... Jak piorun wypadający gwałtownie z obłoków, i dzikim przedłużonym odgłosem napełniający doliny, tak w dali ukazuje się ogromny tygrys spłoszony od myśliwców.— Oczy jego zaiskrzone, zakrwawiona paszcza, bieg śmiały i prędki zapowiada klęskę i śmierć.— Tysiące głosów łączą się w jeden krzyk trwogi i przerażenia, rozjątrzone nim zwierzę wściekléj się jeszcze posuwa, a wszystko co żyje kryje się, lub uchodzi.— Zaledwie okiem doścignąć można szybki bieg tygrysa, płoty, rowy, nic go nie wstrzymuje, przebywa wszystko zuchwale, i wpada do wioski *Lou*.

Psy szczekają zajadle, i zbierając się w gromadę zastępują drogę napastnikowi; słaba to zapora! rykiem tygrys odstrasza ich, a śmielszych szarpie jak sęp spadający na gołębi w przestworzu powietrzném.

Sześcioletnie dziecię igrało z młodym wróblem na domowym progu, tygrys rzuca się na nie, lecz w téjże saméj chwili matka spostrzegająca

niebezpieczeństwo schyla się by je usunąć.— Sama jedna, bezbronna, przerażona trwogą jakże ocali swe dziecię?— O cudzie miłości macierzyńskiéj! nieustraszona matka rzuca się na tygrysa jak lew na jagnię, okręca mu głowę szeroką szatą swoją i przyciska ją do ziemi, chociaż szpony tygrysa szarpią jéj ciało, i krew jéj broczy ziemię obficie.— tymczasem ze wszech stron przybiegają ludzie z bronią i ubijają zwierza.— Biedna matka zaledwie wierzy oczom zapomina ran swoich, chwyta dziecię swe w objęcia, przyciska do serca;— dziecię równie szczęśliwe tuli się do niéj.— Łzy zwilżają oczy patrzących, usta ich wydają okrzyk podziwienia i radości.... o *Lienou-Song! Lienou-Song!* chwało płci swojéj! chlubo naszego wieku! w piękności miałaś równe, w cnocie podobne sobie, ale w odwadze i miłości macierzyńskiéj na pierwszém stoisz miejscu.

Niema w całém państwie doliny gdzieby nie znano imienia *Lienou-Song*, na wieńce dla niéj za mało kwiatów na polu, ubodzy znaleźli dostatki by jéj złożyć jakikolwiek podarek, cała prowincja wydała dla niéj ucztę, a napis który syn nieba, cesarz chiński sam ułożył, przekaże potomności jéj chwałę.

Dziś do miast naszych nie wpadają tygrysy, matki nie mogą miłości swojéj w ten co *Lienou-*

Song sposób okazać, alež niestety! błędy występki straszniejsze od zwierząt krwiożerczych grożą im nieustannie;— od tych-to nieprzyjaciół bronią matki dzieci swoje, a jeżeli trudniéj je niželi tygrysa zwyciężyć, większa téż z tąd dla nich chwała, a radość wieczna.

P. K.

DREWNIANA FIGURA

(Podanie gminne).

Było to z rana, cicho dokoła,
Na jutrznię ledwo zagrały kury,
Ptaszków piosenka brzmiała wesoła;
Blisko gościńca, u stóp figury
Klęczały dzieci i smutna matka,
Składając kornie nadeszłe troski
U stóp posągu Rodzicy Boskiéj.—
O! bo od dawna malutka chatka
Wali się w nędzy— ojciec im chory
A niema grosza by go uleczyć,

Tyle już godzin przeszło od pory
W której tak zasłabł, a jeszcze życia,
Jeszcze wygody mu zapezpieczyć
Nie było można.— Powstały dzieci,
Choć jeszcze ranna zorza nie świeci,
Wstała i matka,— wzięła z powicia
Niemowlę, oczy wzniosła do góry,
I rannym mrokiem wybiegła skoro,
A za nią dziatek starsszych kilkoro
Przyszło z modlitwą do stóp figury.—
— O matko nasza! mówią ze łzami
Ty się zlitujesz! nie wzgardzisz nami
Lekarko chorych! zlecz ojca bóle,
O Pani świata! odwróć niedolę.—
Zlituj się! zlituj Najświętsza Panno!
Królowa niebios! gwiazdo zaranno!
Przytłumił głos ich wicher straszliwy,
Wstrząsnął drzewami, zajękły bory
Lecz matka jeszcze w modłach została
Żebrząc w milczeniu o los szczęśliwy
W postawie tkliwéj, świętéj pokory.—
Wtém się figura z lekka zachwiała,
Wstrząśniona wiatrem chyli się, pada·—
Strwożone dzieci i matka blada
Spójrzą... o cudzie! w owéj figurze
Wór pełen złota tworzy podnóże.—
— Bóg nas wysłuchał! matka powiada,
Bo kto do Niego modli się szczerze,

Kto u nóg jego troski swe składa,
Zawsze pociechę z nieba odbierze.—
I odtąd w chatce mieszka swoboda,
Ojciec wyzdrowiał — dziatek uroda
Tak się rozwija jak kwiatki wiosną,
A serca w cnoty, w pobożność rosną.—
W miejscu figury dziś kościół stoi,
A na kościele krzyż błyszczy złoty,
Na drzwiach zaś napis:— *Bóg troski koi*
Spełnia nadzieje, nagradza cnoty.—
A w rannéj porze, gdy kury grają,
I wyśpiewują śpiewacy leśni
I mgła poranna obszary rosi
Tu się w modlitwie wierni zbierają
Z ufnością nucą pobożne pieśni,
Z których się każda do nieba wznosi.

Juljan Heppen.

WSPOMNIENIA

Niewiast wsławionych w Polsce

VII.

ŚWIĘTA KUNEGUNDA.

O szczególnéj świątobliwości, czystości i łasce którą Najwyższy świętą Kunegundę udarował, obszerniejszych wiadomości w żywotach ŚŚ. pańskich szukać należy, tu bowiem podajemy tylko wspomnienie o niéj jako o niewieście wsławionéj cnotami i dobrodziejstwy na ziemi naszéj, w przekonaniu że ono i tak obojętném nie będzie czytelnikom naszym.

Kinga czyli Kunegunda córka Beli króla węgierskiego, od najpierwszéj młodości odznaczała się niezwykłą pobożnością; przynoszona do kościoła gdzie śpiewy, obrazy, kosztowne ozdoby zajmowałyby każde inne dziecię, nie zwracała nawet na to wszystko uwagi, lecz wzniósłszy

oczy i rączki w górę, modliła się czystym, niewinnym duchem wprzód, nim usta jéj wyszły z niemowlęctwa, pierwszy zaś wyraz który jéj dziecinne wygłosiły piersi, poświęcony był czci Boga-rodzicy.

Bardzo młodo wydana za Bolesława księcia polskiego, cnotami i pobożnością swoją zadziwiła nietylko dwór małżonka swego, lecz cały kraj jego;— dobroczynność i modlitwa były dla niéj najmilszém zajęciem, nie mogąc zaś tyle przebywać w kościele ile jéj dusza pragnęła, wykradała się tajemnie z zamku, i w czasie kiedy mąż, swiekra i dwór cały mniemał że w swoich komnatach przebywa, młoda księżna biegła pieszo do świątyni Pańskiéj i tam ukryta w tłumie pobożnych korzyła się przed Stwórcą świata.— Miłosierna nadzwyczajnie, nie dość że hojne sypała jałmużny; sama służyła ubogim, sama opatrywała chorych, kaleków i trędowatych spotkawszy w drodze, zabierała do książęcéj kolebki i z radością odwoziła do miejsca do którego dążyli.— Młoda, piękna, od dzieciństwa nawykła do przepychu, spostrzegła jednak że pochwały obudzały w jéj sercu próżność, aby więc zwyciężyć tę wadę, starała się ubierać tak, aby ubranie zamiast przydawać, ujmowało jéj wdzięków, ile zaś razy zdarzyło się jéj świetną szatą lub klejnotem zwrócić czyją uwagę, natychmiast przed-

miot który ją w oczach ludzi wywyższał składała Bogu w ofierze, już to posyłając go do którego kościoła, już przeznaczając na wsparcie ubogich. Kiedy tatarzy rozpuściwszy szerokie po Polsce zagony saméj stolicy książęcéj zagrozili, Bolesław schronił się z żoną do jéj ojca do Węgier; Kunegunda w rodzinnéj stronie, równie jak w przybranéj ojczyźnie pełniąc chrześcijańskie cnoty, cicha, pobożna jak kobiéta, w niejednéj okoliczności umiała i mężką rozwinąć odwagę, i tak:— dowiedziawszy się że pewna liczba wichrzycieli zagroziła życiu Beli, i że kilkunastu ludzi zbrojnych czekało w oznaczoném miejscu by go zabić w przejeździe, jedzie sama w miejscu ojca, przybywa niespodziewanie pomiędzy zabójców, i prośbą, rozsądném upomnieniem wytrąca im z rąk oręże, wzbudza w nich żal i zawstydzenie, i zaciętych nieprzyjaciół w wierne przemieniając sługi, ocala życie rodzica.

Król Bela wdzięczny córce za jéj poświęcenie, rzecze zatém w uniesieniu radości:

— Żądaj czego chcesz, a otrzymasz odemnie.

— Ojcze i panie! odpowie Kunegunda, tyle złota dać mi nie możesz bym wzbogaciła ubogich z całéj Polski, ale daj mi górę soli, by im lepiéj smakował chleb zapracowany w krwawym pocie.— Uśmiechnął się król i wszyscy przytomni słysząc takie żądanie, a jednak nie płonném ono było;—

za powrotem do domu Kunegunda chodząc po górach w Bochni upuściła pierścień, i pod pozorem szukania go rozkazała kopać ziemię, aleć zaledwie parę stóp jéj wybrano, uderzyła wszystkich bryła soli, tego skarbu ktory dotąd z ogromnym kosztem z Węgier sprowadzano.— Historycy utrzymują że przypadek jedynie zrządził ówczesne odkrycie, niech i tak będzie,— jednakże cudowną jest ta ogromna massa soli, którą od sześciuset lat tysiące rąk wykopując codziennie i we wszystkie strony świata rozsyłając, nie wyczerpały jeszcze, i nie wyczerpią pewnie tak prędko,— cudowne owe bogactwa jakie na kraj ztąd spłynęły, i cudowne zrządzenie, że to drobna ręka kobiéty oczom przybranych ziomków takie skarby odkryła.

Po śmierci męża swojego, Kunegunda przybrała zakonną suknię, całe mienie swoje poświęciła na wystawienie klasztoru w Sączu, i osiadła w nim w towarzystwie bogobojnych niewiast, wszystkie chwile poświęcając modlitwie, i dobroczynności;— ale i w tym zakątku nie miała zupełnéj spokojności; ludzie niepojmujący tak wyłącznego oddania się Bogu, potwarzali ją iż pod pozorem pobożności i odosobnienia oddawała się występkom;— święta niewiasta zniosła potwarz tę cichém i pokorném sercem przyjmując ją jako doświadczenie od Boga zesłane.

Nowy najazd Tatarów niepokojąc okolice Sącza skłonił świętą Kunegundę, iż z zakonnemi siostrami swémi udała się do pobliskiego zameczku zwanego Pieniany, jednakże dzikie owe hordy nie uszkodziły ani jednego ani drugiego mieszkania świętéj; wypadek ten dał początek następującéj legendzie, żyjącéj do dziś w ustach ludu.

„Święta Kunegunda uciekając z Sącza przed tatarami szła z zakonnicami przez pole, na którém właśnie chłopek siał pszenicę, choć nie był pewnym czy ją zbierać będzie.— Powitał świętą z uszanowaniem, lecz widząc zdala tatarow pędzących błoniem, rzekł w trwodze:— Pani! cóż im powiem skoro mię o was spytają?

— Mów prawdę bracie! odparła łagodnie Kunegunda, mów prawdę, Bóg kłamstwa nie lubi! Zadumał się chłopek; — nadbiegają tatarzy, patrzą do koła, patrzy i siewacz z niespokojnością, aleć między pogonią a uciekającémi, chwieją się cudem wzrosłe bujne kłosy pszenicy, i kryją święte niewiasty przed okiem niewiernych.

— Widziałeś idące tędy zakonnice? pytają go.

— Widziałem.

— Kiedy?

— Gdym siał tę pszenicę co mi tak pięknie wyrosła.

— Wtenczas jeszcze! Więc nie tędy poszły dzisiaj zawołali tatarzy i pognali w przeciwną stronę.“

Kunegunda umarła w r. 1292 po całorocznéj ciężkiéj chorobie, którą z anielską cierpliwością znosiła, i wkrótce potém w poczet świętych policzoną została.

P. K.

WSPOMNIENIA WYGNANKI

(Ciąg dalszy).

XI.

Osada.

Z pomięszaném uczuciem trwogi i radości, usłyszeli pewnego ranka wygnańcy rozlegający się ze szczytu wielkiego masztu odgłos: „ziemia!“ odgłos ten zabrzmiał w jednej chwili na całym okręcie, majtkowie i żołnierze cieszyli się nadzieją spoczynku, przełożeni ich wzdychali do rodzin swoich osiadłych już od lat kilku na żyzném

Australji wybrzeżu, wygnańcy tylko z niepewnością oczekiwali zmiany jaka w ich położeniu zajść miała.— Wkrótce z łona mgły błękitnawéj wynurzyły się wyraźnie góry lasami pokryte, późniéj wieże budynków, a nakoniec warownia i port *Jackson*, owa przystań w któréj stanęły pierwsze angielskie okręta po Cooku zwiedzające Australję.— Działa portowe powitały wystrzałem banderę W. Brytanji powiewającą na statku, i w kilka godzin wygnańcy wysadzeni na ląd, kołysząc się na nogach długą osłabionych żeglugą pod dobrą strażą stanęli w *Sydnéj* miejscu które nazwać można stolicą Australji gdyż tam przebywają władze kierujące karnemi osadami.

Umieszczono ich tymczasowo w więzieniach, lecz w kilka dni późniéj, wielkorządca p. Paterson ułatwiwszy ważniejsze sprawy, kazał sobie podać dziennik okrętowy, i porównawszy zamieszczane w nim uwagi z odpisami wyroków wydanych w Anglji, poroździelał wygnańców w miejsca ich przeznaczenia.

Tych, którzy się ciężkich dopuścili występków, lecz w czasie przeprawy okazali powolność i chęć poprawy, przeznaczono do wykonywania prac około budowy dróg, mostów, portów, i wszelkich gmachów rządowych;— zuchwałych i nie poprawionych odsyłano na wyspę Norfolk, oddaloną od zamieszkałego wybrzeża, gdzie w pracy

i okowach, bez związków z zewnętrznym światem, bez najlżejszej zmiany, czekali końca swej kary, lub złagodzenia wyroku w skutku dobrych świadectw nadzorców nastąpić mogącego. Najmłodszych i najmniej winnych rozdzielano pomiędzy osadników dla wyręczania i pomagania im w pracy.

Sarę i Marję jednemu przeznaczono panu, był to stary wojskowy, który jeden z pierwszych zwiedziwszy tę nową ziemię, poznawszy jéj bogactwa, zamienił oręż na lemiesz, sprowadził żonę i dzieci, a stawszy się z żołnierza osadnikiem nad tém tylko przemyślał by jak najlepiéj gospodarstwo swe prowadzić, i coraz większe zbierać korzyści.

Żona jego i córki zajmowały się utrzymaniem domu, pomagały ojcu w prowadzeniu rachunków, lecz większą część czasu trawiły nad zdobieniem postaci swojej, a stroje ich podług własnych układane pomysłów nieraz na powszechne pośmiewisko je wystawiały.— Dowiedziawszy się że Marja była pokojową bogatéj i znakomitéj angielki, wymogły na ojcu że im zupełną odstąpił władzę nad młodą wygnanką, któréj wątłe siły nie wielkąby mu przy cięższéj pracy korzyść przyniosły. Sarę zdrową i silną przeznaczył nowy pan do doglądania trzody i ogrodu. Przez cały dzień zatém nie widziały się z sobą; lecz wieczorem, kiedy młode osadniczki przystrojone wstę-

gami i kwiatami siedziały w gościnnej izbie, i brząkaniem na gitarze bawiły gości przybyłych z sąsiedztwa, lub usypiały znudzoną matkę, kiedy zamknięto obórkę, spuszczono psy do ogrodu, wtedy obie wygnanki ująwszy się pod ręce, biegły na wzgórza wznoszące się za domem, a siadłszy pod cieniem palmy lub platanu, opowiadały sobie całodzienne zatrudnienia, doznane przykrości, ledwie że nie myśl każdą, i poglądając na ocean błyszczący wdali w promieniach zachodzącego słońca, wspominały smutną przez fale jego przeprawę, ówczesne swoje rozmowy, lub wzdychały za ziemią, którą dopiero po upływie lat pięciu powitać się spodziewały, a któréj niebo mgliste, plony skąpe, przecież tak mile do siebie nęciły ich dusze, że Australja z podwójném do roku żniwem tak szczodrze ozdobiona najpiękniejszemi kwiatami, najrzadszym owocem, tak troskliwie ogrzana złotym słońca blaskiem nie mogła rozjaśnić ich lica, nie mogła zrzucić smutnéj nazwy, „ziemi wygnania.“

Dla pobożnéj i zastanawiać się lubiącéj Marji każdy przedmiot nieznany otwierał nowe pole rozwagi i uniesienia, dziwna urodzajność roli nie wymagającéj ciężkiéj uprawy, deszcze obfite zalewające ogromne kawały kraju i użyźniające ziemię, susze i upały przypadające zwykle w czasie żniwa, nieznane ptaszki, kwiaty wyrastające w dniu

jednym na kilka łokci wysoko, wszystko to unosiło jéj duszę, pobudzało ją do wdzięczności i uwielbienia dla Stwórcy,— Sara siedząc u nóg przyjaciółki słuchała w milczeniu jéj uwag, a chociaż czasem niezupełnie ją rozumiała, przecięż nie śmiała przerwać mowy o Bogu, o tym Bogu którego tak niedawno poznała i ukochała.

Wzamian i Sara miała o czém mówić: — opowiadała Marji jak w *Sydnéj* na targu, dokąd ogrodowiny woziła, ujrzała kilku australczyków, którzy przynieśli skóry dzikich zwierząt na przedaż, a raczéj na zamianę za broń lub inne żelazne narzędzia, co słyszała o dzikości tych pokoleń mieszkających za górami dzielącémi wybrzeże zamieszkane przez osadników od głębi kraju; opisywała przepych mieszkania wielkorządcy któremu od pani swojéj nosiła świeży nabiał, o wygnańcach i zmianie w ich położeniu, opowiadała który od prac publicznych przeniesiony został do osad, który przebywszy czas za karę mu przeznaczony osiadał dobrowolnie na wydzielonym mu gruncie, i z złoczyńcy stawał się rolnikiem.— Nieraz silna i żwawa przebiegając pole, chwyciła sierp z omdlałéj ręki starego żniwiarza, i w krótkim czasie wykonała zadaną jemu pracę, nieraz zbłąkane dziecię odniosła na ramionach do chaty rodziców, nieraz na osiołka służącego jéj do przewożenia jarzyn posadziła znużoną staruszkę, a sama wzią-

wszy brzemię na ramiona szła obok niéj wesoło choć kamienie rozsypane po drodze do krwi bose jéj nogi raniły. Rzadko wspominała o tém Marji, bo czuła że czyn dobry póty tylko nas cieszy, póki podług wyrażenia Ewanielji nie wie lewa ręka co zrobiła prawa, lecz ile razy wydał się mimowolnie podobny czyn Sary, Marja ściskając ją mówiła z uśmiechem:

— A co? nie prawdęż mówiłam, że warto żyć na ziemi, choćby nie dla siebie?

I zawsze łzy wdzięczności w oczach młodéj przemytniczki jedyną bywały odpowiedzią.

XII.

Ucieczka.

Rok blisko upłynął tym sposobem; w Australji znaczna tymczasem przyspasabiała się zmiana;— łagodny zarząd pana Paterson niebardzo był korzystnym dla osady, wygnańcy bowiem nie lękając się surowości wielkorządcy, nietylko że się opuszczali w pracy, lecz wracali do dawnych

przewinień, osadnicy nie chcieli wnosić należnéj ilości ziemnych płodów potrzebnéj do wyżywienia wojska, a żołnierze głodni, również niechętnie wypełniali rozkazy naczelnika, wieści o takim stanie rzeczy doszły do Londynu, i wnet na zastępcę dotychczasowego wielkorządcy przeznaczono pułkownika *Bligh* (1). Mąż ten znany z męztwa, prawości, i nieugiętego charakteru, przybywszy do *Sydnéj* zajął się gorliwie przywróceniem zachwianego porządku, dniem i nocą zwiedzał najodleglejsze zakąty osady, przywracał najściślejszą karność, rachował się z osadnikami, bywał przytomnym rozsądzaniu spraw i wydawaniu wyroków, słowem był wszędzie, gdzie tylko obecność jego potrzebną być mogła.— Pułkownik lubo w podeszłym już wieku, był bezżennym, i utrzymywał że kto jak on całe życie spędza na morzu lub na polu bitwy, nie powinien przywiązywać się do domu i rodziny;— jednakże kiedy ukochana jego siostra umierając powierzyła maleńką córeczkę opiece wuja, kiedy wymogła na nim przyrzeczenie że nie opuści biednéj sieroty, pułkownik przywiązał się całą duszą do młodziutkiéj Emmy, wychował ją jak własne dziecię, pia-

(1) W epoce w któréj opowiadanie to umieściłam, wspomniane tu wypadki rzeczywiście miały miejsce.

stował, pieścił, a nawet odpływając do Australji zabrał z sobą ośmioletnią dziewczynkę ażeby nie złamać danego jéj matce przyrzeczenia.

Pomimo wspaniałych ofiar pułkownika, kobiéty dozorujące Emmy niechciały jéj towarzyszyć do Australji, lękając się pobytu w kraju o którym tyle najdziwaczniejszych wieści biegało nietylko po Anglji, lecz po całéj Europie;— jedna tylko stara piastunka ulitowała się nad dziewczęciem, i więcéj z przywiązania niżeli w nadziei znacznéj nagrody wsiadła na okręt.— Trudy podróży zwątliły do reszty osłabione wiekiem zdrowie staruszki, i za przybyciem do Sydnéj nie było komu służyć i pielęgnować Emmy. P. Bligh niespokojny o bezpieczeństwo i wygodę swojéj wychowanki, począł się troskliwie starać o dobrą jaką kobiétę, co w rzeczy saméj nie bardzo było łatwo, — z osadniczek bowiem żadna nie przyjęłaby takiego obowiązku mając domowe zatrudnienie, a o wygnankach ani myśleć nie chciał pułkownik. — Po długiém wachaniu, po tysiącznych badaniach, zdziwiony jednogłośnemi pochwałami jakie wszyscy oddawali Marji, wielkorządca postanowił przyjąć ją do usług Emmy, ułożył się z dotychczasowym jéj panem, który mimo niechęci żony i córek, bez wymówki ustąpił biedną wygnankę władcy całéj osady.

Marja smutnie poszła do Sydnéj, żal jéj było ślicznych pól, szerokiego widnokręgu, spokojnego wiejskiego życia, a nadewszystko towarzystwa Sary, z którą po pierwszy raz rozłączyć się miała, lecz smutek jéj zwiększył się jeszcze, kiedy stanąwszy w mieszkaniu wielkorządcy poznała że służyć i dogadzać ma zepsutemu, wymyślnemu dziecięciu. — Emma przywykła do licznych sług w domu wuja, pojąć nie mogła jakim sposobem jedna osoba wydoła jéj żądaniom, Marja zaś lękając się wpływu jaki zbliżenie innych wygnanek, ich mowa i obejście mogłyby mieć na dziecię, natężała wszystkie siły, chcąc sama jéj życzeniom zadość uczynić.

Niewiem czy długo podołałaby temu, bo nie dość było nieustannych starań przez dzień cały, młoda wygnanka w nocy nawet spoczynku użyć nie mogła.— Emma bowiem w czasie żeglugi z Europy polubiła jednostajny ruch okrętu, i nie mogła zasnąć na zwyczajném łóżku, trzeba zatém było co noc kołysać ją po kilka godzin. Żywa, ciekawa, chciała zwiedzić każdy zakątek osady, a unikając dziennych upałów wybiegała równo ze świtem; w przejażdżkach po morzu i ziemi Marja nie mogła jéj odstąpić ani na chwilę, bo rozpieszczona Emma pokochała ją serdecznie, i nie wiedząc sama o tém dręczyła nieustannie swoją

dozorczynię wymagając od niéj, to piosnki, to powieści, to przeczytania jakiego ustępu.

Pewnego wieczora Emma wróciwszy z wiejskiego domku który wielkorządca kazał dla niéj w bliskości *Sydnej* urządzić, znużona przechadzką i zabawą wcześniéj jak zwykle zabrała się do spoczynku.— Zrzuciwszy szybko dzienne ubranie, uśmiechnęła się do Marji, skoczyła lekko na miękkie łóżko zawieszone u sufitu na jedwabnych sznurach, i przeciągając się na niém rzekła niedbale:

— Ah! zapomniałam o pacierzu!— Marjo! ty się tak lubisz modlić, zmów pacierz i za mnie!

Uśmiechnęła się Marja, i klękła do modlitwy, ale nim ją skończyla ucichło ziewanie i szepty w łóżeczku Emmy, i już tylko równy ruch zegara przerywał głębokie milczenie.

Biedna wygnanka oddawna spragniona samotności poprawiła lampę, rozłożyła pismo święte na stoliku, jedną ręką ujęła sznur zwieszony od łóżka, na drugiéj wsparła głowę i kołysząc śpiące dziecię zaczęła czytać tę księgę, z której nawykła czerpać siły i pociechę.— Niedługo jednak cieszyła się spokojnością; Nemrod pies nowoziemski, ulubieniec pułkownika Bligh, położył się przy nogach Marji która go łagodnością i pieszczotami od wejścia w dom wielkorządcy przynęciła do siebie, lecz w brew zwycza-

jowi swemu zamiast spoczywać w milczeniu zrywał się co chwila, warczał, podbiegał do drzwi jak gdyby przeczuwał cóś niezwyczajnego, i ledwie surowy rozkaz Marji skłonił go do położenia się na powrót. — W chwilę potém za przymkniętemi drzwiami do biblioteki, usłyszała rozmowę, i poznała głos pułkownika, i pierwszego jego adjutanta.

— Nie spodziewam się tak prędko wybuchu, mówił pułkownik Bligh.

— A ja go się lękam co chwila, odrzekł podwładny jego.— Cała osada szemrze.

— Jak się im podoba! nie mogłem postępować inaczéj.

— Jednakże, za nadto ich od razu ścisnąłeś pułkowniku— żołnierze przykrzą sobie karność, wygnańcy pracę i ściślejszy dozór,— osadnicy zakaz handlowania napojami, a straszliwa susza od trzech miesięcy trwająca do rozpaczy ich przywodzi.

— Zabawnie! przecięż ja im deszczu sprowadzić nie mogę.

— Prawda, ale za miesiąc osadnicy będą musieli złożyć należną ilość ziarna, wiedzą że czekać nie będziesz a zboże zeschło im na polu.

— Niech sobie czynią co im się podoba, przedsięwziąłem środki ostrożności,— wiem że mię żołnierze nie odstąpią, a z resztą dam sobie radę.

Jeszcze Marja nie rozważyła dobrze co znaczyły te słowa, gdy Nemrod poskoczył ku otwartemu oknu, i pokazawszy groźnie zęby szczeknął przytłumionym głosem.

— Ucisz psa! wyrzeczono zcicha; — i wnet z za jedwabnéj firanki ukazała się twarz bladéj z zmęczenia i przestrachu Sary, a za obrębem murów otaczających mieszkanie wielkorządcy rozległ się okrzyk tysiąca głosów, i szczęk zcierających się orężów.

— Słyszysz? rzekła Sara: cała osada powstaje przeciw Blighowi.

— On wie o tém, i zapewne uspokoi ich niezadługo.

— Mylisz się Marjo, oni chcą tak łagodnego zarządu jak mieli za Patersona, wiedzą że prośbą ani przemocą nie dokażą tego, i postanowili użyć podstępu.... Bligh kocha małą Emmę nad życie, oni ją porwą, a wtedy wszystko na wielkorządcy wymogą.

— Nie znają go!

— Tém gorzéj, jeżeli się będzie opierał, biedne dziécię zginie z ich rąk w oczach opiekuna.

— Przerażasz mię Saro! zkąd ty wiesz o tém?

— Oddawna z pojedynczych wyrazów tu i ówdzie słyszanych domyślałam się tego, dziś ukryta za tamą portową podsłuchałam plan ich do reszty.

— Ach to okropnie! trzeba ostrzedz pułkownika.

— Już on pewnie na czele żołnierzy, ale jeżeli chcesz ocalić Emmę....

— Mów, mów Saro! co czynić?

— Uciekaj do wiejskiego mieszkania.

— A w drodze nie spotkają nas powstańcy?

— Lądem, nie wiem! ale morzem pewną jestem że nas gonić nie będą.— Tylko śpiesz, bo się zgiełk zbliża.

— Boże! o Boże! nie śmiem opuścić domu.

— Uciekaj, powtarzam ci,— czy słyszysz? walka już wre u bramy.

— Ale któż nas przewiezie?

— Zapomniałaś widzę o mnie! czyliż szkocka przemytniczka nie potrafi rozpiąć żagla, lub wiosłem plusnąć po fali?

— Więc trzeba.... ach co czynić! co czynić? i Marja niepewna siebie załamywała ręce, lękając się rozrządzać losem obcego dziecięcia, i powierzać je morskiéj głębi, lecz w tejże chwili straszliwy huk zagrzmiał przed domem, kłęby dymu i szerokie płomienie buchnęły w pierwszy dziedziniec, a coraz bliższe okrzyki dowodziły że niebezpieczeństwo zbliża się z każdą chwilą. Nie było na co czekać, Marja ujęła śpiącą Emmę na ręce, otuliła ją czém mogła na prędce, i wyskoczyła oknem wychodzącém do sadu, przezorna

Sara zabrała podróżną torbę leżącą przy łóżku, włożyła w nią ulubioną książkę Marji rozłożona na stoliku, i wskazując psu to wszystko, rzuciła za okno. Nemrod sunął się do sadu, tego téż właśnie chciała przemytniczka, lękała się bowiem aby zostawszy w mieszkaniu nie poprowadził kogo tropem uciekających; potém zgasiła świecę, wyskoczyła lekko na murawę, przymknęła okno, podparła okiennicę ogrodową tyką, i ująwszy Marję za rękę puściła się szybkim krokiem po krętych i spadzistych ścieżkach zstępujących z ogrodu do morza.

Niedługo, posłyszały lekki szum wałów, a Sara spytała:

— Gdzie bacik pułkownika?

— Musi być tu gdzie blisko, odrzekła Marja, ale w takiéj ciemności, nie mogę dojrzéć miejsca.

Jakby w odpowiedź jéj słowom szeroka łuna oswobodziwszy się z dymu zaległa niebiosa, oświecając nietylko płonący dom wielkorządcy, lecz całe miasto, i wybrzeże, — Jasnością niezwykłą zbudzona Emma sądząc że na łóżku spoczywa, zawołała na pół śpiąca:

— Marjo! kołysz!

Lecz wkrótce przecierając oczy.

— Cóż to?— gdzież jestem? krzyknęła przerażona.

— Nie krzycz! ostrzegła Sara, słyszę biegają-

cych po sadzie, pewnie spostrzegli waszą ucieczkę, pewnie was szukają!

— Ale któż taki?

— Wygnańcy i osadnicy, którzy oto palą dom twego wuja i walczą z jego wojskiem.

— Ach Marjo! Marjo! zawołała Emma chwytając za szyję młodą wygnankę, uciekajmy, oni nas zabiją, oni niecierpią wuja, i mnie nie lubią.

— Jeszcze chwilkę rzekła Marja, zdaje mi się że hałas cichnie, może się to wszystko uspokoi.

Kula karabinowa świsnąwszy w blizkości dowiodła że czekać nie było bezpiecznie, przy blasku więc pożaru dojrzawszy miejsca gdzie stał ulubiony bacik wielkorządcy, Marja wsiadła w lekki statek, utuliła drżącą Emmę na ręku, Nemrod siadł przy jéj nogach, a Sara odczepiwszy łańcuch od przystani, ujęła ster silną dłonią i w kilka chwil wolne od pogoni, ujrzały się na morzu, mając nad sobą gwiaździste sklepienie nieba, z jednej strony płonące miasto, z drugiéj wybrzeże platanami zarosłe, po za którémi rozkoszne, ciche, wiejskie ustronie uśmiechało się do ich wyobraźni.

XIII.

Zginęły!

Nazajutrz po owém powstaniu które tyle przeraziło dwie młode wygnanki, w *Sydnéj* wszystko wróciło do porządku; ucichły wystrzały, przygasły płomienie, żołnierze stali na straży przy gmachach publicznych, wygnańcy wyprowadzeni do pracy w porcie, wygrzewali się na słońcu zapijając ulubiony sobie napój, którym przytłumiwszy do reszty i tak już ztępione władze umysłu, rozprawiali bez ładu o wczorajszém zwycięztwie.— Nieco daléj osadnicy tłumnie z okolic zebrani, pod namiotem wystawionym naprędce raczyli wyszukańszemi napojami oficerów, którzy się poprzedniego dnia przyłączyli do ich strony, i oprócz kilku domów spalonych, prócz kilku osób zabitych których ciał pogrzebać nie było dotąd komu, zdawało się że nic nadzwyczajnego nie zaszło.

Tymczasem pułkownik Bligh obciążony łańcuchami, w ciasném więzieniu rozważał wszystko co zaszło. — Nie żałował on ani na chwilę postępowania swego, bo mu tak postę-

pować honor i sumienie kazały, ale od dwunastu godzin bez najmniejszéj zostając wiadomości, dręczył się domysłami, co się do téj chwili stać mogło z osadą którą kraj jego pieczy powierzył, i jaki los stał się udziałem sieroty nad którą czuwać przysiągł matce w godzinie jéj zgonu?— Kilku officerów, starych towarzyszy pułkownika, wierni obowiązkom nie odstąpili go w wczorajszém przesileniu, i dzisiaj téż dzielą z nim niepewność i więzienie.— Z rozmowy tych prawych mężów najjaśniéj poznać można cały bieg minionych wypadków, lecz nie chcąc nadużywać cierpliwości czytelników, podam im tylko treść takowéj.

Silny i surowy zarząd pułkownika Bligh w Australji niepodobał się zarówno wszystkim klassom mieszkańców; szemrano więc zcicha, lecz kiedy wielkorządca mimo ostrzeżeń których mu życzliwi jego przyjaciele nie szczędzili, nietylko nie zwalniał wydanych rozporządzeń, lecz je owszem coraz bardziéj obostrzał i wypełnienia ich jak najściśléj pilnował, zniechęcenie doszło do najwyższego stopnia.

Wygnańcy i osadnicy którym najmocniéj dojęła żelazna Bligha prawica, ułożyli i wykonali wiadomy nam napad na dom wielkorządcy;— wojsko pod jego rozkazami zostające, a szczególniéj dowódcy wiedzieli o zamiarze uprowadzenia

Emmy, i mniemając że tym tylko sposobem bez rozlewu krwi wyjednają przyzwolenie pułkownika na swoje, i reszty mieszkańców żądania, udawali w pierwszéj chwili napadu że bronią wielkorządcy, lecz kiedy wieść o zniknieniu lub ukryciu się dziecięcia gruchnęła w szeregach powstańców, kiedy rozjątrzona tém gromada, z dzikim wykrzykiem rzuciła się na żołnierzy, broniących się niechętnie, officerowie widząc że wojsko wkrótce uległoby przemocy i natarczywości zdziczałéj tłuszczy, przerażeni skutkami jakieby wynikły gdyby jéj z bronią w ręku zwycięztwa dopuścić, przyrzekli głośno opuścić wielkorządcę byle powstańcy do porządku wrócili.

Tak więc Bligh opuszczony od wojska, z rozpaczą w duszy, miotając sprawiedliwe wyrzuty odstępcom, poprowadzonym został do więzienia, już to dla zaspokojenia wygnańców, już dla zasłonienia go przed ich zemstą.

Tymczasem, Johnston dowódca wojskowego oddziału objął władzę wielkorządcy, i zostawiwszy na pierwszy dzień swego panowania zupełną swobodę podwładnym, zajął się ułożeniem sprawozdania, które na statku mającym [za tydzień odpłynąć do Europy chciał przesłać do Londynu;— w sprawozdaniu tém wystawił Bligha jako człowieka okrutnego, który o tyle się całéj osadzie naraził, iż lękając się gwałtownego wstrząśnienia,

na jednogłośne prośby, on Johnston i reszta officerów usunęli wielkorządcę od steru rządu w *Sydnéj* i zabezpieczywszy jego osobę, oczekują rozporządzenia wyższéj władzy (1).

Nad wieczorem dopiéro, Johnston chcąc pozorną uprzejmością osłonić niejako swe postępowanie, zszedł do więzienia byłego wielkorządcy.— Bligh przyjął go z zimną powagą. Na zapytanie czegoby żądał dla uprzyjemnienia samotności, w jakiéj jeszcze czas jakiś pozostać mu wypadnie? stary żołnierz wskazując na towarzyszy więzienia rzekł:

— Samotnym nie jestem, mam tu bowiem towarzystwo, jakiém w téj chwili nie poszczyci się cała osada.— Ale nie o mnie tu idzie;— któż objął ster rządu?

— Mnie kazano stanąć na czele;— odparł nieśmiało Johnston.

— Spokojność przywrócona?

— Zupełnie.

— Jeżeli WPan w nowym zawodzie będziesz potrzebował objaśnień mogących jaką korzyść zapewnić osadzie, udzielę ich chętnie.

Johnston chciał dziękować, lecz Bligh przerwał mu mowę zapytując:

---

(1) Przytoczone tu wypadki są ściśle historyczne, czerpane z dzieł PP. Grej, Lushington, i Arrowsmith.

— Skoro zupełny porządek panuje w mieście i okolicy, spodziewam się, że moja siostrzenica lady Emma Witmore należnych doznaje względów?....

Zmięszał się Johnston, bo o biednéj Emmie nikt dotąd nie pomyślał;— nagradzając to zapomnienie, rozesłano na wszystkie strony zwiady, lecz próżno;— po nieładzie w pokoju dziecięcia i zniknieniu Marji, domyślono się ucieczki, po śladach wyciśniętych na piasku w ogrodzie odgadniono jéj kierunek, odczepienie bacika wielkorządcy wskazało prawie pewność że Marja przeprawiła się z Emmą na drugą stronę zatoki, do wiejskiego domku pułkownika, lecz dalsze poszukiwania daremnémi się okazały, nikt nie widział dziecięcia!

Bligh strapiony tą wiadomością, z więzienia podawał tysiączne środki znalezienia Emmy; Johnston lękający się odpowiedzialności za zginienie dziecięcia należącego do jednéj z najpierwszych rodzin angielskich wypełniał troskliwie rozkazy swojego więźnia.

Po tysiącznych poszukiwaniach na wybrzeżu, znaleziono tylko chusteczkę należącą do Emmy, którą wiatr gwałtowny zaczepił o nadbrzeżną skałę, wnoszono zatém że bacik nie rozbił się dotąd gdyż szczątki jego, lub zwłoki zatopionych ukazałyby się także. Porozsyłano statki do wysp

znanych już na oceanie spokojnym, a nie mogąc bez wyższego zezwolenia rozrządzać okrętem, uzbrojono największą szalupę, opatrzono w żywność, osadzono ludźmi przywiązanémi najszczerzéj do Bligha, i zachęciwszy ich przyrzeczeniem znacznéj nagrody, wysłano na zwiady.— Wyprawa ta spędziwszy wśród tysiącznych niebezpieczeństw tydzień cały na otwartém morzu, wróciła bez innego śladu, prócz kawałka płótna który dostrzeżono na falach, a który po znakach uznano za część żagli z poszukiwanego statku. Szczątki żaglu zerwanego gwałtownym wichrem, nie dowodziły jeszcze wprawdzie rozbicia, lecz nie pozostawiały także wielkiéj nadziei odzyskania kiedyś straconych. — Bligh nawet, który najdłużéj trwał w przekonaniu, że usiłowania jego uwieńczone pomyślnym skutkiem zostaną, Bligh który uwielbiał poświęcenie i przeklinał śmiałość Marji, który jéj prawie tyle ile własnéj wychowanki żałował, on sam w czasie długich poszukiwań i nudzącego więzienia upadłszy na duchu, ze smutkiem, lecz stałością powtórzył za powszechnym odgłosem:

— Zginęły!

XIV.

Betty.

Opuściliśmy młodą siostrę Marji w chwili, gdy ją obłąkany ojciec chorą i nieprzytomną sobie uniósł z domu przed mniemaną sądową pogonią;— przez długi czas ukrywał się z nią po dzikich i górzystych Szkocji okolicach, codzień do innéj wstępując chaty, i doznaną gościnność odpłacając usilną pracą, już to około uprawy jałowéj ziemi, już przy budowie lub naprawianiu domóstw.— Czy to częsta zmiana miejsca i powietrza tak skuteczna w chorobie, czy téż niezwykła siła dziecięcia przyspieszyła jéj wyzdrowienie, dość że w kilka tygodni po opuszczeniu domu, Elżbietka chodziła już o własnéj sile, a lubo na twarzy pozostały jeszcze ślady straszliwéj ospy, nie szpeciło ją to bynajmniéj.

Zadziwiającą jest rzeczą iż obłąkani uroiwszy sobie fałszywą myśl jakąś, rozwijają takową i postępują za nią z największym rozsądkiem i trafnością; i Gilbert powziąwszy mniemanie iż klejnotów zgubionych lub ukrytych przez Marję, sąd na drugiéj i ulubionéj jego córce dochodzić chce ko-

niecznie, do tego dążył jedynie, by swoją Betty przed tém poszukiwaniem zasłonić.— Najprzód więc zakazał jéj najsurowiéj by przed nikim, a nawet przed nim samym nie wspominała o siostrze, ani o czémkolwiek coby z nią jaki stosunek mieć mogło, a Betty widząc że każde przestąpienie tego rozkazu wprawiało ojca w niezwykłe uniesienia, przyzwyczaiła się z czasem do zupełnego w tym względzie milczenia.— Lecz nie dość na tém było Gilbertowi, nieznacznie ale z widocznym namysłem krążył on po szkockiém, a późniéj po angielskiém wybrzeżu, pracując gorliwie, i domagając się zapłaty, za zręcznie wykonywane roboty, ktore mu jako wędrownemu cieśli, wiejscy gospodarze chętnie powierzali. W ten sposób przybył do Dowru, najął miejsce na statku odpływającym do Dieppe, przeprawił się nim z Elżbietką, i dopiero stanąwszy na francuzkiéj ziemi, ujrzawszy morze pomiędzy sobą a urojoném prześladowaniem odetchnął swobodniéj.

I tu wszelako nie opuściła go obawa; milczący, nie znając francuzkiego języka, niepewny co mówiono dokoła, drżał w każdéj chwili o Betty i nakazywał jéj by w czasie kiedy on w porcie pracował nie opuszczała izdebki którą najął w najlichszym zakątku miasta, ale młode dziewczę uporządkowawszy nędzne schronienie, przyrządzi-

wszy ojcu skromny posiłek cóżby samo robiło?— Elżbietka popatrzywszy oknem przez dni kilka, policzywszy szyby i kominy sąsiednich domów, znudzona, niecierpliwa, zbiegła na ulicę, a wmieszawszy się między dzieci portowych najemników, dzieląc ich zabawy, w krótkim czasie nauczyła się mówić po francuzku, i nieraz dla rozweselenia ojca śpiewała mu nadmorskie piosenki, a cieśla śmiał się serdecznie, z barbarzyńskiéj mowy, któréj jak mu się zdawało, Elżbietka musiała się nauczyć od ptaszków zaglądających do jéj okienka.

Dwanaście lat kończyła Betty kiedy Gilbert po ciężkiéj i pośpiesznéj w okrętowych warsztatach pracy, zachorował śmiertelnie, i w ostatnich nawet chwilach nie mogąc się pozbyć nieszczęsnego obłąkania, przełożył córce jakie niebezpieczeństwo czeka ją w ojczyźnie, zaklął by nigdy nie wracała do Szkocji, i skończył smutne życie.— Dwa okropne ciosy uderzyły razem w młode serce' Elżbiety, strata ojca, i najstraszliwsze wyrzuty sumienia;— cała przeszłość rozwinęła się przed jéj pamięcią, przypomniała sobie ową nieszczęsną igraszkę z peruką i brylantami, którą jéj siostra tak drogo przypłaciła, i jedno, palące, niepowściągnione pragnienie opanowało jéj duszę, pragnienie uwolnienia i usprawiedliwienia Marji.— Lubo tak młoda jeszcze, lecz wzrosłszy

prawie samotnie obok obłąkanego ojca, przywykła radzić sobie w potrzebie, nie ulękła się trudności jakie powrotowi jéj do rodzinnego kraju towarzyszyć mogły, i zaledwie zwłoki Gilberta w orszaku wszystkich okrętowych cieśli, postępujących poważnie ze świecami i toporami w ręku, odprowadzono na miejsce wiecznego spoczynku, już Elżbieta z czerwonémi od płaczu oczyma obejmując kolana dowódcy okrętu który miał wkrótce odbijać do Anglji, błagała go, by ją zabrał na pokład swego statku. — Zmiękczony prośbą dziecięcia kapitan przewiózł ją znowu do Dowru, a ztamtąd Elżbieta za jednéj myśli popędem już pieszo, już na wózku wieśniaczym, to o głodzie, to o żebranym chlebie przybyła sama do Wilton-hallu, przesunęła się przez odemkniętą kratę, śmiało weszła na schody, a otwierając drzwi do pokoju lady Wilton siedzącéj pod oknem nad paką papierów rozłożonych na stole, padła jéj do nóg wołając:

— Pani! twoje brylanty nie zginęły, jam je w dziecinnéj pustocie ukryła w perukę....

Poznała lady Wilton w nędznéj, obdartéj, ogorzałéj dziewczynie owe dziecię, które tak często tkliwych od niéj doznawało pieszczot, podniosła ją, posadziła obok siebie, i przyszedłszy nieco do spokojności, uwiadomiła ją że nieszczęśliwy klejnot znalazł się wkrótce po osądzeniu Marji,

i że niewinność jéj zupełnie dowiedzioną została.

— A więc ona wolna! wykrzyknęła klasnąwszy w dłonie Elżbieta; lecz widząc pomieszanie lady Wilton, dodała niespokojnie:

— Czyżby jeszcze była w więzieniu?... albo... może... może nie dożyła uniewinnienia swego?

I na jéj twarzy malował się wyraz takiego cierpienia że przerażona lady wolała opowiedzieć prawdę, niż wystawiać biédne dziewczę na dręczące domysły.

Właśnie w chwili przybycia Betty odebrała ostatnie wiadomości z *Sydnéj*, przywiózł je z tamtąd półkownik Bligh który po roku więzienia w Australji, po badaniu i sądzie w Londynie, nietylko wolnym od winy uznanym został, lecz owszem otrzymał publiczną choć trochę późną pochwałę i podziękowanie za szlachetną wytrwałość, jaką w czasie urzędowania swego okazał; lady Wilton wiedziała dawno o zniknieniu Marji, a chociaż sama pewną była jéj śmierci, pragnąc pocieszyć Betty załamującą rozpacznie ręce, poczęła jéj wyliczać przykłady, cudownego prawie ocalenia żeglujących po oceanie spokojnym, już rozbitków, już uciekających z Australji wygnańców, którzy nieraz na wątłych, kryjomo zbijanych tratwach dostawali się szczęśliwie do Batawji, a

nawet mimo niebezpieczeństw do przylądka Dobréj nadziei.

Betty słuchała uważnie; nadzieja znalezienia kiedyś siostry rozjaśniła jéj lica, i ukoiła duszę.— Spokojniejsza, przystała chętnie na żądanie lady Wilton, by u niéj czas jakiś pozostać; opowiadała jéj liczne przygody jakich żyjąc z ojcem doznała, czytywała chciwie dzienniki i książki, których jéj nie broniono, a poprosiwszy o objaśnienie mappy, zagłębiała się w jeografji. Pilność ta dziwiła i cieszyła razem lady Wilton, bo mniemała że podając sposobność rozwinięcia umysłu, zaspokojenia téj nadzwyczajnéj żądzy nauki w Elżbiecie, i uposażając ją kiedyś przyzwoicie, nagrodzi choć w części krzywdę i cierpienia Marji, których sama lubo niewinnie była pierwszą przyczyną.

Ale jakże się zdziwiła, kiedy raz Elżbietka przeczytawszy ogromny tom podróży po oceanie spokojnym, zamknęła go szybko, a całując lady Wilton w rękę rzekła:

— Teraz, żegnaj mi pani! idę do mojéj matki.

— Dziwaczysz moja Betty; rzekła zdziwiona lady Wilton, matka ciebie nie potrzebuje w téj chwili, a tymczasem u mnie nauczyłabyś się czego.

— Już się nauczyłam czego mi potrzeba; wiem teraz że przy pomocy Boga można na lekkiém czółnie przepłynąć ocean bez szkody, wiem że

dokoła morza mieszkają ludzie, więcéj się uczyć nie chcę, i nie mam czasu.

— Cóż znaczy ta mowa?

— To pani, że teraz prawie pewną jestem iż moja Marja jeszcze żyje, a gdziekolwiek ona jest, muszę ją znaleźć i przebłagać.

— Dziecko! nie wiesz o czém mówisz, nie zastanowiłaś się nad odległością miejsc;— sądziszże iż tak łatwo opłyniesz ocean jak przebyłaś kaletańską cieśninę?

— O! bynajmniéj! wyrachowałam sobie ile mil przebyć na to potrzeba, a nie tracąc czasu, mogłabym całą tę podróż odbyć w dwóch latach.

Lady Wilton zdziwiona pewnością z jaką Betty opowiadała swoje przedsięwzięcie, strwożyła się, myśląc czy nie odziedziczyła po ojcu obłąkania ta śmiała, rozważna, i pod każdym względem zadziwiająca dziecina.

— Moja Elżbietko; przemówiła mylady poważnie;— piękną bez wątpienia jest myśl twoja, i może nie zupełnie płonną nadzieja znalezienia kiedyś Marji;— ale zdaj to na Boga, bo zuchwalstwem byłoby z twojéj strony zamierzać nawet tak ogromną podróż.— Do tego trzeba majątku, wiadomości, a przynajmniéj starszego wieku.

— To prawda! ale ja też nie samabym pojechała.— Patrz pani!

Betty podała lady Wilton leżący na stole dziennik, wskazując na następne doniesienie:

„Rodzina z czterech osób złożona, zamierzająca długą podróż do Ameryki, życzy sobie znaleść osobę, posiadającą dostatecznie język francuzki i angielski, by mogła służyć za tłumacza. Osoba taka ma być młodą, i zdolną do zniesienia trudów podróży.— Zapewnia się przyzwoite względy i wynagrodzenie.— Wiadomość powziąść można w Londynie, w hotelu francuzkim, u hrabiny de Beaumont.“

Lady Wilton opuściła ręce w zadumieniu; podróż przed chwilą za wymysł gorączkowéj wyobraźni uważana, była więc podobną! Mocny charakter Elżbiety zapewniał o moralném jéj wytrwaniu, ale czyż możnaby puścić dziecię samo, z obcémi, na drugą stronę świata?

— Podziwiam cię Elżbieto! przemówiła nakoniec; jednakże pomyśl, wprzód nim cokolwiek przedsięweźmiesz, że przez kilka lat musiałabyś znosić trudy i niewygodę.

— Marja zniosła więzienie, wygnanie, i teraz pewnie nie mieszka jak ja w pałacu.

— A twoja matka?

— Moja matka nie potrzebuje mnie w téj chwili.— Sama to pani wyrzekłaś; wiem że łaska twoja zapewniła jéj byt wygodny.

— To jéj nie zastąpi oddalenia ostatniego dziecięcia.

— Ach pani! o ile pamiętam, moja matka jest anielską kobiétą,— ale pani nie wiesz,— Marja, to był jéj skarb, jéj pociecha, Marja była wsparciem i przyjaciółką matki, a ja— ja włócząca się ciągle za ojcem po lasach i drogach,— po mnie ledwie wspomnienie trwogi i niepokoju zostało.

— Nie znasz serca matki Betty! nie wiesz ile razy opłakiwała ciebie.

— Wierzę, o! wierzę! ale mamże patrzeć jak płacze za Marją? mogęż wzywać macierzyńskiego błogosławieństwa, kiedy zatrułam jéj życie?— mogęż ocierać łzy tą samą ręką która je wycisnęła; mogęż nakoniec siedzieć spokojnie przy ciepłém ognisku, kiedy moja siostra jęczy gdzie może pod otwartém niebem, kiedy mi tu coś ciągle mówi, że ja ją znajdę, bylem szukać poszła!

Betty przyłożyła rękę do serca, a oczy jéj takim błyszczały ogniem, twarz tak świętym jaśniała zapałem, iż lady Wilton nie mogła się wstrzymać od pomyślenia, że tylko wyraźna wola Boga natchnęła takiém męztwem i rozwagą prostą, nieświadomą dziecinę.

— Jedź więc do matki! rzekła: zobaczymy co ona postanowi;— ale przyrzecz mi pierwéj; że nawet w razie otrzymania macierzyńskiego zezwo-

lenia, nie przedsięweźmiesz nic bez mojéj porady.

— Przyrzekam ci to pani!

W chwilę potém, piasczystą drogą wijącą się od Wilton-hallu, lekkim wózkiem, Betty jechała do rodzinnego domu.— Trudno opowiedziéć widzenie się jéj z matką, ale kiedy w dwa dni po przybyciu, odważne dziewczę wybierało się znowu do zamku, kiedy żegnając rodzicielkę swoją, zgięła przed nią kolana i uchyliła jasnowłosą głowę, wychudła ręka wdowy spoczęła na jéj czole, w wyschłém od dawna oku zabłysła łza rozczulenia, a usta drgające z wzruszenia wyrzekły:

— Niech cię Bóg prowadzi!

Tegoż samego dnia, lady Wilton pisała do Londynu w celu dowiedzenia się i porozumienia z ową obcą rodziną, a w tydzień, cały zamek był w ruchu, bo mylady chcąc się poradzić londyńskich lekarzy względem nadwerężonego zdrowia swego, wyjeżdżała do stolicy Anglji, zabierając z sobą córkę Gilberta.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WYJĄTKI Z LISTÓW

CZTERECH KRÓLOWYCH.

Nieprędko jeszcze zapewne czytelnicy nasi przeglądać będą zbiory pism starożytnych, objaśniających dzieje nasze, a nawet doszedłszy do tego punktu, wiele ważniejszych znajdą wiadomości nad prywatne listy;— tymczasem więc, niewchodząc w przedmioty historji lub polityki dotyczące, przedstawimy tu kilka wyjątków, wskazujących: jak w rozmaitych czasach niewiasty na tronie zasiadające pisywały do miłych sercu swemu osób, lub w sprawach domowych, w przekonaniu: że ukazując je kobiétami, nie odejmiemy nikomu chęci poznania ich jako królowych,

Wyjątek I.

Z listu Barbary żony Zygmunta Augusta pisanego w Krakowie dnia 26 *Kwietnia* 1550 *roku do Mikołaja Radziwiłła.*

To naostatek Waszéj Miłości znać dajemy, iż nam dopiero wczora J. K. M. o śmierci pani matki naszéj powiedziéć raczył, ta żałosna nowina jakiego nam smutku przydała, to trudno wypisać mamy, wszakoż iż to wola Boska była, żeśmy tę godzinę zejścia ostatniego rodzica naszego widzieć mieli, Jemu to samemu, a woli jego świętéj poruczamy. — My, acz się od żałości odejmujemy, wszakoż to znamy, iż trudno przyrodzeniu rozkazać, naostatek się Panu Bogu poruczając, także W. M. prosząc byś W. M, sobie w tym zarównym z nami smutku folgować a radzić umiał, gdyż tak Pan Bóg mieć raczył, któremu z nami wszystkimi wolno czynić co on raczy. Zatém W. M. w dobrém zdrowiu być długo a fortunnie żądamy.

W. M. siostra Barbara K.
ręką swą.

II.

Z listu Anny Jagiellonki do Kardynała Hozjusza pisanego w Warszawie 19 *Stycznia* 1754.

— I sami to dobrze czujemy, i z listów W. M. baczemy iż z trudnymi ludźmi czynić mamy (1), którzy nietylko na sprawiedliwość naszą mało baczenia dają, ale téż i na to, na czém wprzódy swoje intencje zasadzali. Posłało się dokumenta których się domagali, że JKM. Pan a brat nasz zszedł z tego świata; posłało się, iż bliższego żadnego nad nas nie miał; posłało się, iżeśmy rodzoną dziewką nieboszczyka Króla Zygmunta i Bony Królowéj Imci, a siostrą nieboszczyka Zygmunta Augusta.— Wszystko to tak wiele pomogło jak nic.— Otóżby to wszystko, i inne rzeczy takowe przed Ojcem Świętym przełożyć, a o pomoc prosić jako potężniejszą, gdyż to co się tych czasów działo, mało pomaga.

Podpis w tym liście następujący:

M. W. życzliwa panna
Anna Królewna Polska.

III.

Z listu Anny Jagiellonki Królowéj Polskiéj, pisanego do X. Stanisława Zająca proboszcza ka-

---

(1) Szło tu o sukcessją po królowéj Bonie znaną pod imieniem summ Neapolitańskich.

plicy zygmuntowskiéj, w Warszawie 14 *listopada* 1594.

Xięże proboszczu!

Gotujemy tu do kaplicy naszéj krakowskiéj obrus na ółtarz, który aby we wszystkiém był doskonały, trzeba nam wiedziéć miarę ółtarza, jako wysoki od pawimentu i po boki, także jako szeroki, i jako ółtarz od rogu do rogu długi.— Tego wszystkiego poślesz nam W. T. miarę jako najprędzéj być może.

IV.

Z listu tejże Anny Jagiellonki, pisanego dnia 12 *września* 1579 *roku do Jewy Niewiarowskiéj.*

Moja najmilsza pani Niewiarowska! tak jako W. M. wyrozumieć raczyła z listu Kasieczki mojéj, który pisała z rozkazania mego do W. M. tedy W. M. racz wiedzieć, iż ta wola moja, abyś W. M. tę panienkę miała przy sobie z kilka niedziel, a wyrozumiawszy z niéj, jeśliby była godna ku służbom moim, do chowania rzeczy i do pokoju mego; bo ja ich mam dosyć moich własnych sług, takich którymbym mogła zwierzyć tego, ale ja chcę z ręku W. M. mieć. Jakoż w tém nie wątpiemy iż za taką życzliwością jaką znamy po W. M. że nam W. M. taką zjednasz.

V.

Z listu Katarzyny z Opalińskich Leszczyńskiéj pisanego do Władysława Ponińskiego.

Domyśliłam się że złe zdrowie WMP. nie dopuściło korespondować, z którego polepszenia srodze się cieszę, i dziękuję że obiecujesz być punktualnym. Uczynisz mi tém wielką konsolacją, bo Bóg widzi, że każdéj poczty czekam jak dnia zbawienia.

Król jeszcze większą tęschność zostawił po sobie niż przedtym była.— Już nie wiem co czynić, ledwo się mogę zostać.— O synaczka (1) się nie turbuj: kazałam mu się u innego tancmistrza uczyć, com go niedawno przyjęła, który jest daleko lepszy niż przeszły. Będę upewniam mieć o nim staranie wielkie.

VI.

Z listu Izabelli Jagiellonki Królowéj Węgierskiéj, pisanego do X. Mikołaja Radziwiłła w Piotrkowie, 1559 *roku.*

Miłościwy panie!— iż nad wszystko spodziewanie moje raczysz być W. M. tak życzliwym

(1) **Władysław który się chował w domu królewskim.**

w tém sieroctwie mojém i królewiczowém przyczynami swemi ku Jego K. M. zato dziękuję, starać się o to będę iż na każdy to czas W. M. okazywać będę, iżem tego wdzięczna; prosząc, abyś W. M. tego przestawać nie raczył, i mnie, i sprawy i sieroctwo moje u Jego K. M. zalecone mieć. — Przy tém daj Panie Boże W. M. to wszystko, co sobie W. M. od Pana Boga winszować raczysz.

Dla zapoznania czytelników z pisownią użytą w tym liście, kładziemy kilka pierwszych wierszy jego w zupełnie wiernym odpisie.

„Myloszczywy Panye ysz nad wszytko spodzyalowanie moye raczysz bycz W. M. tak szyczlywem w tym szyrocztwye moym i krulewyczowym przyczynamy szwemy ku yego K. M. szato dzyenkuye, sztaraycz szye o to bende ysz na kaszdy to czasz w. m. okaszowaycz bende yszem tego wdzyeczna.

podpis *Ysabella renką właszną.*

DO DZIECI.

Kochajcie dzieci skromność i prostotę,
Wśpiewujcie sobie do serduszka cnotę,
Krzepcie się piosnką, jak rosą kwiateczki,
Bądźcie pociechą ojca i mateczki!

Kto wesół śpiewa ten złym być nie może,
Przy śpiewach, pracy dopomagasz Boże!
Śpiewaków leśnych karmisz cudem Panie!
Lubisz poczciwych żniwiarzy śpiewanie,

Ale w piosence niech brzmi sława Boga,
Piosnka niech powie gdzie ku niebu droga,
Piosnka niech Boskie wskaże przykazanie,
A z wonią świętą w niebo się dostanie.

Stanisław Jachowicz.

ANIOŁ

w dzień twych urodzin. (1)

Co rok z rana, bardzo wcześnie,
W dzień twojego urodzenia,
Gdy spoczywasz jeszcze we śnie,
Anioł skrzydłem cię ocienia...

Anioł w dzień twój pożądany,
Niewidzialny jest przy łóżku,

(1) W poszycie Zorzy za miesiąc marzec przez pomyłkę, pod wierszami p. t. *Księga nieba*, i *Walercia w dniu imienin* umieszczono podpis Stanisława Jachowicza, prostując tę pomyłkę redakcja oznajmia: iż wspomnione wiersze równie jak niniejsze otrzymała od pana Teofila Nowosielskiego, z pod którego pióra wyszły.

I przez dar, od Boga dany,
Przegląda się w twém serduszku.

Nie napróżno anioł stoi
I twe serce we śnie bada;
Bo on z każdéj myśli twojéj
Niebu sprawę wiernie składa.

Co dobrego przez rok cały
Uczyniłeś — li dla cnoty?
Niewidzialny anioł mały,
Pisze to w swéj księdze złotéj.

Lecz gdy serce twe odsłoni
I złe myśli tam spotyka;
Sam nad tobą łzę uroni,
I przed tobą we śnie znika.

Teofil Nowosielski.

GRÓB SŁOWIKA.

Przy tym kwiatku... dla ptaszyny,
W ziemi dołek zrób!
Faworytku nasz jedyny,
Tu będziesz miał grób.

Miłoś śpiewał nam i sobie,
W szczęściu i w niedoli.
Dziś stoimy przy twym grobie...
Jakże nas to boli!

Jeszcze róże wtedy były
Kiedyś zgasł słowiku,
Śpij więc teraz, ptaszku miły,
Przy nieśmiertelniku.

Teofil Nowosielski.

ROZMOWA PRZY STOLE.

Obsiadły stół tatki dziateczki dokoła,
Zajadając smacznie, rozmowa wesoła
Krążyła, i pytań miał bez liku tato,
Czy szczepy i kwiatki, będą sadzić w lato?—
A mała dziewczynka, ozwie się do matki:
—Po co sadzić drzewa? lepiéj same kwiatki,
Bo nie długo czekać, i ładne wyrosną,
A drzewa nie będzie, i za drugą wiosną—
—Posłuchaj Ludeczko, matka jéj powiada:
Wszak smacznie kompucik, dzisiaj się zajada?
A gdyby był dziadzio, tak myślał jak Ludka,
Nie byłoby dzisiaj, jabłuszek z ogródka.
Kwiatki chociaż ładne, ta piękność chwilowa,
Ich Ludka jak jabłek, na zimę nie schowa,
Gdyż zapach utracą, i prędko zwiędnieją,
A gruszki soczyste i zimą wonieją—

—I z ludźmi toż samo, odezwał się tata,
Piękności zewnętrzne, zacierają lata
A cnota i praca, do późnego wieku,
Są z korzyścią bliźnim, i chlubą w człowieku.

Tekla z Kr. B........



SZYMON SYRENIUSZ.

Jeden z pierwszych i znakomitych naszych botaników, urodził się w Oświecimiu około roku 1540;— w dwudziestym roku życia wszedł w liczbę uczniów Akademji krakowskiéj, i ówczesnym zwyczajem polskie swoje nazwisko *Syreński* zmieniwszy na łacińskie *Sirenius* poświęcił się nauce lekarskiéj, i tak ściśle z nią połączonéj znajomości świata roślinnego.— W roku 1569 Syreniusz ukończywszy naukę w akademji, wybrał się w podróż, a obok zamiaru doskonalenia się w medycynie, nie spuszczał z oka ulubionéj sobie botaniki, i już to po polach, górach i lasach, już po botanicznych ogrodach zbierając zioła i kwiaty, przebiegł całe prawie Niemcy, Węgry, Szwajcarją, zapisując wiernie gdzie znalazł który listek, i jakie w nim odkrył własności.— Gdy powrócił do kra-

ju wzbogacony nauką i doświadczeniem, obejrzał się na rodzinne niwy, i pełniąc obowiązki nauczyciela przy Akademji krakowskiéj, niosąc ulgę uciekającym się do niego chorym, w dopadkowych wycieczkach zwiedził Podole, Pokucie, okolice Kamieńca, Lwowa, Sącza,— Tatry, Bieszczady, Babią-górę, zewsząd znosząc skarby, jak pracowita pszczółka z każdego kwiatka pożytek wyciągając, a pożytek nie własny, lecz powszechny.

Po trzydziestu latach pracy, badań, doświadczeń, na prośby i nalegania przyjaciół, wygotował swój zielnik, owoc tak długich trudów, i postanowił podać go do wiadomości współziomków.

Zielnik ten, herbarzem z łacińskiego nazwany, dzieło nieznanéj dotąd w botanice objętości, składa się z 394 arkuszy druku, i mieści przeszło 700 drzeworytów, wyobrażających rośliny.— Wyobrażenia te, lubo nie wytworne, bo w owym wieku nisko u nas rytownictwo i inne sztuki stały, za usilném Syreńskiego staraniem nader są dokładne. Ale łatwo téż sobie wystawić że wydanie dzieła takiego, gdzie co chwila nowe spostrzeżenie przybyć mogło, niemało potrzebowało czasu, i Syreniusz lubo przez całe życie ulubionéj pracy oddany, przecięż wolny od zarozumiałości, dążąc do najwyższego udoskonalenia dzieła swojego, prędzéj się starości, a nawet

śmierci, niż wydania zielnika doczekał.— Kto wie nawet? może plon tak starannie zbierany zginąłby marnie, gdyby na przedstawienie doktora Joannicego przyjaciela Syreniusza. nie była wzięła na siebie kosztownego wydania herbarza, Anna królewna szwedzka, rodzona siostra Zygmunta III. wielka lubowniczka botaniki.

Potomka Jagiellonów oddająca się sama z zapałem naukom przyrodzonym, po królewsku wsparła dzieło zmarłego ziomka swéj matki, i w roku 1613 Zielnik czyli Herbarz Szymona Syreniusza wyszedł z druku w Krakowie.

Księgi téj nie można ściśle mówiąc nazwać botaniką, bo niema w niéj opisu systematycznego roślin; ale téż wtenczas, nietylko u nas, lecz nigdzie nieznano i nie trzymano się w téj nauce żadnego układu, a pierwszy twórca jego Linneusz dopiero w sto lat po śmierci Syreńskiego się urodził. Jest to raczéj dzieło lekarskie, bo obok opisu każdéj rośliny, i jej wyobrażenia, umieszcza Szymon opis jéj użytku, tak w medycynie jak w gospodarstwie, handlu, rękodziełach;— dodaje gdzie rośnie, kiedy ją zbierać, i jak przyrządzać należy, wspomina jak używali jéj starożytni i współcześni. Słowem w dziele swojém nietylko lekarzy i aptekarzy ma na względzie, pamięta owszem, o kupcu, gospodarzu, kmiotku,

rzemieślniku, nawet o niewieście w domowéj zagrodzie żyjącéj.

Zielnik Syreniusza wielkie miał w kraju naszym znaczenie; a w czasach kiedyśmy jeszcze ubogimi byli w lekarzy, książka ta nieodbicie potrzebną była w każdym niemal domu; z niéj to prababki nasze słynne z lekarskich i gospodarskich wiadomości czerpały przepisy: jak ratować zdrowie rodziny lub włościan, jak leczyć rany tak często w boju odnoszone, jak zdrowém i smaczném przyrządzeniem pokarmów utrzymać siłę i czerstwość, jak kroplami, korzeniami, zapobiegać chorobom.— Dziś jeszcze w medycynie wiele wiadomości za nowe uchodzących znajdzie się w zielniku Szymona; niejedna gospodyni przyrządza nalewki, konfitury, pomady do włosów, nie domyślając się, że przepis na to gospodarskie dzieło, który ją doszedł może już w dwudziestym odpisie, ułożył przed półtrzecią wiekami sławny doktór krakowskiéj Akademji.

Pomimo wielkiéj wziętości swojéj, Syreniusz zupełnie nauce oddany, nie pomyślał nawet o zebraniu majątku; puściznę jaką z Oświecimia po rodzicach otrzymał, przeznaczył na przygotowanie do druku dzieła swojego, a córkom, z których jedna Elżbieta zaślubioną została z Molendą mieszczaninem krakowskim, a drugą Jadwigę niezamężną odumarł, zostawił tylko wsławione imię,

i niebogate domowe sprzęty.— Księgi rzadkie i liczne które nad dostatki przenosił, rozproszyły się po zgonie jego, i dziś jeszcze po publicznych i prywatnych księgozbiorach pojedynczo je spotkać, i po podpisie sławnego właściciela poznać można.

Szymon Syreniusz w późnéj. starości umarł dnia 29 Marca 1611, żałowany od licznych przyjaciół, i całego Krakowa, którego mieszkańcy wszyscy prawie lekarskiej jego rady, i dobroczynnéj pomocy doznali, a chociaż miejsca pogrzebu jego nie uczczono pomnikiem, imię cnotliwego i uczonego męża trwaléj się w serca i pamięć ziomków wpoiło, niżby je snycerz na twardym wykuć zdołał kamieniu.

P. K.

CO TO SĄ SKAMIENIAŁOŚCI?

TADEUSZ. Powiedz mi ojcze kochany, czy w naszym kraju niema skamieniałości, o których czesto słyszałem od ciebie? tyle razy przy-

glądałem się jak kopią lub orzą ziemię, i nigdy nic podobnego nie dostrzegłem.

OJCIEC. Bo patrzyłeś tylko na ziemię urodzajną, na którój rosną rośliny, czyli trawy, zboża, zioła, kwiaty, krzewy lub drzewa; grubość jéj nie jest zbyt wielką, bo pospolicie 3 do 4 stóp wynosi, i kolor ma czarny, pochodzący od rozłożonych części roślinnych i zwierzęcych.

STEFANIA. A pod tą ziemią cóż być może?

OJCIEC. Pod powłoką ziemi urodzajnéj, w różnych stronach, różne skały zwykły się znajdować. W okolicach Warszawy np. leżą piaski żółte, a pod témi szare iły, lub żółtawe gliny; w tym ostatnim pokładzie dopiero, i to w niektórych miejscach, znajdują się skorupy ślimaków, podobnych do teraz żyjących na drzewach, po ogrodach i gajach, a pomiędzy niémi znajdują się niektóre ślimaki nie mieszkające teraz w naszych okolicach, lecz w krajach nieco cieplejszych jako to: w Alpach we Włoszech.

TAD: Ależ ojcze, słyszałem nietylko o ślimaczych skorupach,] lecz o kościach niezmiernéj wielkości zwierząt, słoniów i nosorożców odmiennych od teraźniejszych, które się zdarza wykopywać z ziemi, a które wieśniacy nasi znalazłszy, tłuką w kawały niby dla odwrócenia złego.

OJCIEC. Jest to przesąd ciemnego gminu, który sobie roi, że wszystko co się na świecie znajduje jest dla jego pożytku lub szkody stworzoném; lecz i te kości olbrzymów pierwotnego świata, lubo nie mają jak wiele innych tworów natury bezpośredniego pożytku, mają przecież cel przez Stwórcę sobie wskazany, lubo nie zostający pospolicie z człowiekiem w tak bliskim stosunku.

TAD: Cóż wypada czynić znalazłszy takie kości?

OJCIEC. Ludzie poświęcający się badaniu natury wielką z nich dla swéj nauki korzyść odnieść mogą; w miejscach zaś gdzie na uczonych badaczach zbywa, bardzo stosownie postępują sobie pasterze kościołów, którzy znalezione kości zawieszają przed podwojami świątyń pańskich, aby odwiedzający one, podziwiali reszty stworzeń, które stwórca w początkach świata wygubił.— W wielu kościołach, znajdują się one, a nawet przed wejściem główném do sławnéj w całéj Polsce katedry na Wawelu, wisi niezmiernéj wielkości głowa przedpotopowego nosorożca (Rhinoceros tichorinus) wraz z potężnym piszczelem mammuta, czyli słonia przedpotopowego i ogromną kością szczękową wieloryba, pospolicie za żebro wielkoluda wydawaną.

STEF: W którym téż jednak kraju najwięcéj takich kości i skorup się znajduje?

OJCIEC. Przez długi czas sądzono iż te gliny zawierające skorupy ślimaków i kości potężnych zwierząt, znajdują się tylko nad Renem; niedawno dopiero zwróciły na siebie uwagę geologów, (to jest: uczonych badających: jakim sposobem ziemia powstała?) i ci przekonali się, że owe gliny niezmierne zajmują przestrzenie w Europie;— najprzód poznane w dolinach górnego Renu, zostały w całych Niemczech i Polsce odkryte; pod Krakowem tworzą one bardzo gruby pokład, poprzerzynany głębokiemi parowami; okrywają znaczną część Węgier, a P. Marchison uważał je w całéj Rossji aż do Uralu.

TAD: Tego jednak niepojmuję, jakim sposobem dostały się tak głęboko w ziemię owe zwierzęce szczątki?

OJCJEC. Uczeni zgadzają się na to: iż ta żółta glina w któréj dziś skamieniałości znajdujemy, musiała się osadzić z ogromnego jeziora, rozciągającego się od Renu aż do Uralu, i że w tém jeziorze potonąć musiały ślimaki żyjące na lądzie i olbrzymie zwierzęta czworonogie.

STEF: Ach! jakieżby to ogromne jezioro być musiało!

TAD: Ale ojcze, słyszałem że nieraz, głębiéj jeszcze znajdują się muszle ślimaków,

już nie lądowych, lecz morskich;— skąd one się tam wzięły?

OJCIEC. Są to nasypiska, przez fale morskie spędzone wraz z twardemi szczątkami ich mieszkańców.— Znajdują się one często wśród kontynentów, sta mil odległe od teraźniejszego brzegu morza.— Jeden z najpiękniéjszych tego przykładów mamy w naszym kraju: — pod wioską Korytnicą, niedaleko Pińczowa i Wiślicy, na płaszczyźnie rozciągającéj się na wzniesionym pagórku, w nieprzeliczonéj ilości rozrzucone są na rolach, skorupy muszel i ślimaków morskich, które szczególniéj obficie pokazują się przy oraniu, gdyż piaski czyli iły szare spoczywają bezpośrednio pod czarną powłoką ziemi urodzajnéj, i przez poruszenie pługiem ziemi zostają na wierzch wyrzucane.

STEF: I pewnie ich się nie mało marnie kruszy pod pługiem.— O! gdybym ja tam była kiedy!

OJCIEC. Nasyciłabyś ciekawość swoją dostatecznie, bo w Korytnicy naliczono dotąd 200 gatunków muszli;— bywają one w najrozmaitsze sposoby zwijane, jedne w wielkie kolce, drugie w brodawki opatrzone, inne jakby siatką pokryte, niektóre zupełnie gładkie, rzekłby kto że najstaranniéj wypolerowane;— dwuskorupnych tylko muszel jest mało, a korale bardzo rzadko znajdują.

STEF: Jakto? i korale wykopują z ziemi? ależ kochany ojcze, to ósmy dziw świata ta korytnicka rola!

OJCIEC. Takby może niegdyś była uważaną, lecz dzisiaj, to znajdowanie się ślimaków morskich wśród stałego lądu jest tylko niezaprzeczonym dowodem, że wody oceanu rozpościerały się dawniéj na stałym lądzie, a nawet góry w obłokach kryjące swe szczyty zanurzone w nim były.— Prawda ta, nie odrazu przyjętą została w uczonym świecie;— w przeszłym wieku jeszcze utrzymywano, że znajdowane w ziemi ślimaki porzucali pielgrzymi wracający z ziemi świętéj, lecz mniemanie to jest zupełnie błędném, gdyż reszty skorup takich trafiają się na całéj ziemi, a często w znacznéj głębokości, w okolicach, których nigdy nie przebywali pielgrzymi.

Oprócz tego, też same muszle i ślimaki znajdują się nieraz w piaskowcu, czyli piaskowym kamieniu, który nie jest czém inném jak zlepionym piaskiem, czyli raczéj morskim osadem.

TAD: Czyliż i wapno pochodziłoby z owego wielkiego morza, które tyle ziemi zalewało?— bo podobno i w wapiennych kamieniach znajdują się niekiedy skamieniałości?

OJCIEC. Nieinaczéj; — wszystkie skały zawierające muszle morskie są osadem morskim, przez czas, własności chemiczne i działania ognio-

we stężałym. A chociaż w teraźniéjszym czasie tego rodzaju skały tworzą wysokie góry, dawniéj były one niewątpliwie na dnie morza.

TAD: Słysząc mówiących o geologji myślałem sobie zawsze: — na co się przyda badać jakim sposobem ułożona ziemia? byle nam tylko na niéj dobrze było! — ale teraz uznaję że piękną i pożyteczną jest nauka odkrywająca ludziom tyle zadziwiających rzeczy.

STEF: Powiedz nam jeszcze drogi ojcze, czy w naszym kraju w jednéj tylko Korytnicy znajdują się muszle morskie?

OJCIEC. Owszem, niedaleko klasztoru *Czerny* w prześliczném położeniu, przy kąpielach krzeszowskich, brunatne marmury tworzące góry wysokie, zawierają w niektórych warstwach składy muszel dwuskorupnych. — W Tatrach także na szczycie góry *Opalone* nad doliną Miętusią sterczącéj, wyniesionym nad morze o 4500 stóp paryzkich, składającym się z twardéj wapnistéj skały, więcéj jest resztek organicznych, aniżeli massy skalnéj.

STEF: 4500 stóp! więc to dawne morze głębszém od dzisiejszych być musiało.

OJCIEC. Zadziwia cię ta wysokość, a przecież toż samo powtarza się w górze *Diable rets* w Szwajcarji, w kantonie Wallis, na wysokości 9000 stóp; w Andach amerykańskich znajdo-

wano reszty organiczne wyżéj jeszcze, bo na 13000 stóp nad powierzchnią morza, a w pasmie Himalajskiém na wysokości 16000 stóp.

TAD: Dziwna rzecz! ja sobie nawet wystawić tak ogromnéj wysokości nie mogę.

STEF: Ale gdzież się tyle wody podziało?

OJCIEC. Długo nie umieli geologowie tego wytłumaczyć. Wprowadzani w błąd teorjami o powstaniu ziemi, wystawiali sobie że ocean nadzwyczajnie wysoki wszystkie lądy i góry pokrywał, że z téj wysokości stopniami opadał aż wreszcie doszedł do obecnego poziomu.— Gdzie się owa niezmierna ilość wody podziała, różne robiono przypuszczenia;— wystawiono sobie w końcu, że ogromnéj objętości jamy otworzone, przyjęły je do głębi ziemi.

TAD: Mnie się zdaje, że te jamy czystém są przypuszczeniem, bo nigdzie śladu ich nie znaleziono.

STEF: Objaśnij nam więc ojcze kochany jakim się to stało sposobem?

OJCIEC. Nierówności ziemi, i góry składające się z warstwowych skał zawierających reszty organiczne, nie powstały przez zniżenie się oceanu, lecz z dołu zostały wypchnięte.

STEF: To pewnie tylko domysł?

OJCIEC. Bynajmniéj! pobrzeża morskie gdzie dziś czynne są wulkany, najlepiéj dowodzą, że

w głębi ukryte siły, nierówności na ziemi sprawiły.— Pobrzeża Wezuwijusza, (wulkanu przy Neapolu leżącego zapadają i wywyższają się często, nawet pojedyncze) góry wznoszą się nagle.

TAD: Prawda, czytałem niedawno, że po gwałtownym wybuchu Wezuwijusza gdy się krater jego zamknął, powstały niezmierne trzęsienia ziemi, i w jednéj nocy podniosła się od razu wielka góra niedaleko Neapolu, którą do dziś *Monte nuovo* (nową górą) zowią.

OJCIEC. Od pewnego czasu, pobrzeża całéj Norwegji wznoszą się corok o kilka stóp w górę nad poziom morza, i już na wzgórzach 200 stóp wzniesionych pokrywają je skorupy ślimaków w teraźniejszych morzach żyjących, a to samo okazuje że pobrzeża Norwegji ciągle się wznoszą, chociaż w ich poblizkości nie ma śladu wulkanów.

TAD: Jeżeli góry gwałtownie wypchniętemi z głębi zostały, jakże się to stać mogło, jeżeli w nich rozmaite pokłady spoczywają równemi warstwami?

OJCIEC. Skały zawierające reszty organiczne podzielone na warstwy osadzające się z wód, musiały mieć pierwotne warstwy poziomo ułożone.— Jak długie i szerokie jest pasmo Karpat, wszystkie statecznie nachylają się pod znacznym kątem w różne strony świata;— w pół-

nocnych częściach tych gór, nachylają się warstwy na południe, w południowych na północ; miejscami zaś krzywią się esowato, i wiją się najrozmaiciéj.— Zmiany te w położeniu warstw sprawiło wypchnięcie z dołu przez siły we wnętrzu ziemi ukryte, które zarazem nadały im tak odmienne położenie.— Na wielu punktach nawet widzieć można skałę z wnętrza ziemi wzniesioną która ten nieporządek sprawiła. Takie ogniowe skały, pospolicie bardzo bywają twarde, i składają się z ziarn minerałów różnych, jak większa część law z wulkanów płynąca,— Ale może za długo do was mówię dziatki, może nie rozumiecie mię dokładnie?

TAD: Dotąd zrozumiałem, że nie tak jest w istocie jak mniemano dawniéj, że nie morze ustępując z mniemanéj wysokości i rozrywając skały dało początek dolinom, ale pchnięte w górę skały potworzyły góry, a z ich rozpękiwania się powstające szczeliny, w doliny się zmienić musiały.

STEF: Ale ja jeszcze nie wiem co to są skamieniałości? a tylko o tém dowiedzieć się chciałam,

OJCIEC. Szczątki istot pierwotnego świata obdarzonych życiem, tak z królestwa zwierzęcego jak roślinnego najrozmaitszemi sposobami przemienione, zowią się skamieniałościami.— Są to

różne części roślin, jakoto: liście, kwiaty, owoce, łodygi, same drzewa, a wreszcie ich żywice czyli bursztyn.

TAD: I szczątki te nie tracą pierwotnego kształtu?

OJCIEC. Pospolicie na iłach szarych, pokrywających pokłady węgla kamiennego, nadzwyczajnie liczne bywają odciski liści paprociowych, wraz z korami drzew, mającemi nader foremne kształty.— Pnie potężnych drzew bywają rozmaicie przeistoczone;— albo się zmieniły w węgiel brunatny, albo téż ginie zupełnie materja roślinna, zastępuje ją krzemienna, a budowa drzewa z najdrobniejszemi naczyniami pozostaje.

STEF: To pozostałości zwierząt łatwiéj jeszcze rozpoznać można?

OJCIEC. Te, napotyka się od najwyżéj ukształconych aż do najniższych.— Okiem niedostrzeżone wymoczki, czyli *infusoria* tworzą całe pokłady, a rozeznać je można zaledwie za pomocą najlepszych mikroskopów.— Również wśród stwardłych skał widzieć się dają całe ławice korali, co dowodzi że one w pierwotnych morzach żyły również nagromadzone jak teraz.— Najpospolitsze są muszle i skorupy ślimaków, a najmniéj znajduje się szczątków zwierząt mających kręgi kościste, gdyż stosunkowo mniej ich jest na ziemi i w wodach, najpospolitszemi z nich jednak

są reszty ryb, mianowicie ich łuski.— Z jaszczurów, ptaków, i zwierząt ssących pozostały kości, często tak ułożone jak były za życia.

TAD: Jakżebym pragnął widzieć kiedy takie skamieniałości, i ze szczątków poznawać rośliny i zwierzęta!

OJCIEC. O! zapewne, badania nad stopniowémi przemianami ziemi bardzo są zajmujące, tém bardziéj, że wszystkie te reszty organiczne w skałach zawarte zupełnie są różne co do gatunku, od teraz żyjących zwierząt i roślin.

STEF: Więc te bukiety, karczochy, raki, figurki powleczone czerwoną massą które wracający z Karlsbadu podróżni przywozić zwykli, są, czy nie są skamieniałościami?

OJCIEC. Nie.— Wszystkie reszty teraz żyjących istot wmieszane do ziemi, albo zawarte w jamach sztuką wyrobionych. choćby zupełnie przemienione środkami chemicznemi, nie są w nauce za skamieniałości uważane.

STEF: Żkądże pochodzi ta twarda skorupa która w karlsbadzkiéj wodzie pokrywa każdy wrzucony do niéj przedmiot?

OJCIEC. Cieplica karlsbadzka szprudlem nazywana, zawiera w swym składzie różne części stałe, które odpływająca woda osadza, włożone do niéj przedmioty pokrywają się z czasem powierzchnią kamienną, przez wodan żelaza czer-

wono zafarbowany.— Jest to toż samo działanie jakie się odbywa z owocami, włożonemi w cukier, gdy ten je powleka.— Jestto warstwa tężejącego płynu obkładająca ciała stałe. Są to słowem reszty teraz żyjących istot, skamieniałości zaś są szczątkami zagubionych, wymarłych.

SZLACHETNA PRZYJAŹŃ

WYJĄTEK Z DZIEŁA

(*La morale des anges p l'abbé de Villiers*).

W kilka lat po rewolucji która pokryła Francję żałobą i łzami, w jednéj z najsłynniejszych instytucji paryzkiej znajdowało się dwie młode panienki prawie jednego wieku a bardziéj jeszcze zbliżone do siebie słodką i religijną sympatją. Obie należały do szlachetnych i starożytnych rodzin u których cnota i wierność dziedzicznemi były przymiotami. W chwili więc zamieszek,

rodzice tych dwóch panienek emigrowali i dopiero w 1807 r. powrócili do Francji kiedy ujrzeli ją już rządzoną przez stałą władzę, przyjmującą z usilnością tę dawną szlachtę, która dodała tyle blasku poprzednim panowaniom. Jednakże za powrotem swoim obie rodziny niejednakowego doświadczyły losu. Hrabia de ** odzyskał znaczną część dóbr swoich, towarzysz zaś jego wygnania zastał majątek swój zupełnie zniszczony, i w gruzach zamek przodków; musiał szukać sposobów utrzymania się, a jako dawny wojskowy został dowódzcą pułku kirasierów i w kilka lat póżniéj zginął w jednéj z ostatnich wojen Napołeona.

Adela i Leonja (tak się nazywały córki wspomnionych emigrantów), połączyły się najściślejszą przyjaźnią. Słodkie i pobożne, wychowane w szkole nieszczęść, jedne przebywszy kraje, równych doświadczywszy kolei, instynktowie nawet zbliżały się do siebie; często w wolnych chwilach przechadzały się razem w ustroniu, albo siadały w jakim odległym kąciku ogrodu, gdzie nie dochodziły odgłosy gwarnych zabaw innych pensjonarek. Tam, z upodobaniem rozmawiały o różnych miejscach znajomych, o najtkliwszych epokach młodocianych latek tak często chmurnych i przykrych, o wsparciu i pociechach niespodzianych jakie im często zsyłała Opatrzność

Boska tak baczna na potrzeby dzieci swoich. Często też ich rozmów samotnych przedmiotem była pobożność; zachęcały się do pełnienia cnót chrześcijańskich, które jedynie są zdolne zapewnić szczęście ziemskie. Ale punktem jedynym w ich rozmowach do którego zawsze mimowolnie wracały; było wyobrażenie roskoszy wspomagania biednych. Ta myśl słodka wzruszała ich duszę, ożywiała mowę, i przyrzekały Bogu poświęcić się kiedyś wspieraniu nieszczęśliwych. I teraz już ich dobroczynność nie była bezowocną, a pieniądze otrzymane na drobnostki zawsze lepiéj użyte były. W piętnastym roku życia już utrzymywały dwie biedne rodziny i jużto własnemi zasiłkami, już wyjednaném od towarzyszek wsparciem przykładały się do zapewnienia bytu tych rodzin, które w każdy dzień wolny odwiedzać mogły.

Jednakże od jakiegoś czasu Leonja zaczęła być smutną i zadumaną, słodka melancholja wyryła się na jéj twarzy, zmieniła się jéj wesołość, zdawało się nawet że zdrowie jéj cierpieć zaczyna; Adela usłyszała ją wzdychającą podczas modlitwy, a kiedy wspominała jéj o swoich dobroczynnych zamiarach w przyszłości rozwinąć się mających, oczy jéj drogiéj Leonji rosiły się łzami. i napróżno je wstrzymywać usiłowała. Niespokojna Adela, rzuciła się w objęcie przyjaciółki

pytając ją o przyczynę smutku, ale Leonja która zawsze oddalała rozmowę o tym przedmiocie, pochylona na ramię przyjaciołki, zaklinała ją ze łzami, aby modliła się za nią i szanowała jéj tajemnicę aż do chwili, w któréj ją sama powierzyć jéj będzie mogła.

Leonja wiedziała dobrze że jéj ojciec żadnego już nie posiada majątku, a płaca przywiązana do stopnia jego zaledwie wystarczała na utrzymanie się i opłacenie pensjonatu córki. Nie ukrywała i tego przed sobą, że śmierć codziennie zaskoczyć go może w jednéj z tych strasznych potyczek które w owéj epoce mnożyły się na wszystkich krańcach Europy. Jeśli Opatrzność zachowa jéj ojca, zaledwie kiedyś z dochodów swoich maleńką biednym dawać będzie mogła cząstkę; jeśli zaś na polu chwały znajdzie spoczynek, wtenczas biedną sierotę imię szlachetne nie ochroni od nędzy, i będzie musiała pracą własną zarabiać na kawałek chleba. Smutek jéj powiększał się, ile razy wspomniała sobie, jak przyjaciołka jéj jedyna będzie mogła kiedyś używać swojego majątku na piękne cele, ale pośród takich właśnie myśli przyszło jéj natchnienie nagłe, silne, i opanowało całą jéj duszę. *Gdyby też została Siostrą - miłosierdzia?* gdyby zamknęła młodość swoją w szpitalu nie z takim blaskiem, równie wiele dobrego biednym by ro-

bić mogła. Ależ wyrzec się nawet niewinnych uciech świata, żyć pośród jęku i ciągłego widoku samych cierpień dręczących ludzkość, mieć ciągle przed oczyma śmierć i konanie, ach! ta myśl tyle jéj sprawiła boleści, że walczyła ciągle ze szlachetném natchnieniem, nie mogąc go oddalić. Jednakże nie widziała innego sposobu— bo trzeba było albo dokonać poświęcenia siebie, albo zkamienić serce i przytłumić w niém tkliwe współczucie dla niedoli. Ta to walka wprowadziła ją w stan melanholji którego przyczyny tak usilnie badała Adela. Wiara nareszcie położyła wachaniom koniec; Leonja modliła się ciągle i prosiła Boga aby jéj wolą świętą swoją dał poznać; powoli wstręt jej do smutnych obrazów przyszłego stanu zniknął, tryumfując nad ostatnim oporem serca, zaczęła wzdychać do chwili w któréj już nazwać się będzie mogła *sługą biednych*. W cztéry lata potém, doszła ją wieść o śmierci ojca, a ona pod imieniem siostry Magdaleny czuwała przy łożu chorych i umierających.

Ożywiona duchem wiary, szlachetna córka S. Wincentego a Paulo zapomniała prędko że była młodą i piękną, i że w puściźnie po ojcach swoich świetne otrzymała imię. Cała oddana obowiązkom odpowiadającym tak wiernie uczuciom jéj serca, dzień i noc czuwała przy drogich

swoich chorych, delikatnemi rączkami dźwigała ich posłanie, niosła im z pośpiechem przepisane leki, opatrywała ich rany i zachwycała ich słodyczą i anielską cierpliwością swoją. Z natury cicha i nieśmiała, znalazła jednak w sercu swojém wdzięczne i pobożne słowa do zachęcenia i pociechy cierpiących, do przygotowania na śmierć idących przed sąd Boży; dawała im do pocałowania swój krucyfix, którego widok ożywiał odwagę. Tyle było świętobliwości w jéj głosie że najzatwardzialsi nawet nie mogli oprzeć się temu aniołowi miłosierdzia, i niepojmując nawet wielkiego poświęcenia hołd uwielbienia mu składali. W 1813 roku posłana do obozowego szpitalu zadziwiała starych wojaków gorliwością podwajającą jéj wątłe siły, i wiodącą ją wszędzie gdzietylko pomoc jéj przydatną być mogła. Na widok tych wojowników okrytych szlachetnemi bliznami. siostra Magdalena myślała o ojcu swoim, który rażony na polu bitwy, żył kilka godzin jeszcze po śmiertelnym ciosie, a nie było ręki któraby go podniosła i opatrzyła okropną bliznę, żaden głos przyjacielski nie wspomniał mu w téj chwili tak uroczystéj o wielkim Bogu, o niebie! Pamięć ta łzy wyciskała z jéj oczu, a żołnierze którzy w téj Siostrze-miłosierdzia tak dobréj, słodkiéj, tak pilnie niosącéj pomoc poznawali córkę jenerała ukochanego, płakali z nią

także, i powstawali z uszanowaniem przed szlachetną dziewicą mieszczącą w sobie cały urok i całe poświęcenie chrześcijańskiéj dobroczynności.

W kilka lat potém siostra Magdalena powołana do Paryża, czuwała modląc się przy łożu biednéj jednéj choréj, kiedy dama w bogatym stroju weszła do ubogiego poddasza;— przygląda się pilnie czuwającéj dziewicy, i rzucając się w jéj objęcia drogą ją swoją Leonją nazywa. Była to Adela, od kilku lat zaślubiona baronowi de **, która wśród przepychu wielkości przechowała w nieskażoném sercu uczucia lat młodocianych. Obca próżnym roskoszom świata, z konieczności tylko ukazywała się czasami w ich kole, bo całém jéj szczęściem była dobroczynność, najmilszém zajęciem zwiedzanie nędznych chatek, gdzie ubogim mieszkańcom zawsze chojne wsparcie pozostawiała jéj szczodrobliwa ręka. Z jéj jałmużny utrzymywało się kilka rodzin, żywiła wielu starców, płaciła pensionat za kilka opuszczonych sierot. Nikt napróżno nie wezwał jéj miłosierdzia; jéj imię łączyło się z każdém pięknem przedsięwzięciem; nieraz nawet widziano ją doglądającą troskliwie chore niewiasty i opuszczone dzieci. Błogosławili jéj wszyscy biedni, a ona idąc tylko za natchnieniami nauki Chrystusa i serca swojego skłonnością, unikała podzięk, a

obojętna na ludzkie pochwały, największą każdy uczynek miłosierny otaczała tajemnicą, dwie tylko córeczki swoje niewyłączając od widoku czynów szlachetnych, czerpanych w uczuciu chrześcijańskiéj miłości.

Nienadługo już jednak, po szczęśliwém spotkaniu, złączone być miały dwie przyjaciołki. Czuwania, trudy, przed czasem wycieńczyły siostrę Magdalenę; zgasła pośród szlachetnych swoich zajęć, a umierała szczęśliwa, jak powtarzała często, i wdzięczna Bogu, że powołując ją do klasztornego życia pozwolił jéj złagodzić wiele cierpień; a w chwili skonania pomimo gorącéj chęci cieszenia się widokiem Boga, żałowała że się rozłączy z chorymi pośród których kosztowała tak słodkich pociech. Teraz już używa szczęścia wiecznego, i tam pewno błaga Najwyższego o wspomożenie i błogosławieństwo dla biednych na ziemi.— Pani zaś baronowa de ** przeżywszy swoją pokorną przyjaciołkę, jest ciągle opatrznością biednych, matką sierot, podporą starców, aniołem opiekuńczym cierpiących. Jéj imię błogosławione; a ona sama szczęśliwa, posuwa się w lata powtarzając: że nie wie czy zasługują jéj czyny na nagrodę w przyszłości, kiedy tyle znalazła szczęścia i niezachwianéj rozkoszy w czynieniu dobrze, w łagodzeniu cierpień nieszczęśliwych.

W. T.

WSPOMNIENIA WYGNANKI

(Ciąg dalszy).

XV.

Żeglarki.

Silna i zręczna Sara wprawną ręką kierując sterem małego statku, odbijała szybko od brzegu zkąd odgłos zgiełku, i łóna pożaru lubo już słabiéj dochodząc uszu i oczu uciekających, napełniały serca ich trwogą, i gorącą chęcią oddalenia się coprędzéj od niebezpieczeństwa. — Spokojna powierzchnia zatoki, któréj najlżejszy nawet wietrzyk nie poruszał, kołysała ich lekko, a młoda przemytniczka oddawna pozbawiona zatrudnień i zwyczajów dziecinnych lat swoich, od dwóch lat pod ścisłym dozorem trzymana, oddychając swobodnie, tylko w towarzystwie lubéj przyjaciołki przesuwając się po obszerném wody przestworzu, pluskała figlarnie wiosłem po zatoce, i zrazu

cicho, potém głośniéj, nakoniec z pełnéj, uszczęśliwionéj duszy śpiewała piosnkę szkockich górali, przypominającą jéj chwile dzieciństwa.

Marja znała tę piosnkę, a w głosie Sary tyle było wyrazu, tak głębokie uczucie szczęścia i tęschnoty brzmiało z każdego dźwięku, że mimowolnie prawie, i ona złączyła myśl swoją z myślą towarzyszki, i jéj głos témi samémi zabrzmiał wyrazy.— Lecz wnet wspomnienie Szkocji ustąpiło uczuciu religijnemu.

— Ach Saro! rzekła z uśmiechem Marja, jakie my téż bezbożne! dopiero co uniknęłyśmy niebezpieczeństwa, i już wyśpiewujemy płoche piosneczki, zamiast składać Bogu dzięki za ocalenie.

— Prawda, odpowie powolnie Sara:— a téj właśnie śpiewki nie powinnabym powtarzać, bo mi za nadto przemytnictwo przypomina.

I zebrawszy przez chwilę myśli, poważnie, uroczyście zanuciła hymn, którego się jeszcze w przeprawie z Europy nauczyła.— Marja wtórowała młodéj przewoźniczce, a słodka melodja rozlegając się w przestrzeni zbudziła uśpioną Emmę, która rozmarzona jeszcze, i nieprzypominając sobie gdzie się znajduje, spytała:

— Marjo! czyliż to już ranek że swój ulubiony hymn śpiewasz?

-- Nie, o! jeszcze do rana daleko; odrzekła Marja, śpij Emmo, wszakże ci wygodnie!

Emma wstrząsnęła główką, chłód nocny ożywił jéj zmysły, obejrzała się wkoło mówiąc:

— Ach! płyniemy do Emmy-house? to dobrze; — tylko trzeba było choć do dnia poczekać.— Ale prawda! zapomniałam że się nasz dom palił w Sydnéj, i... niepamiętam... ktoś nas gonił podobno?

Marja opowiedziała dziewczynce przed jakiém ją uchroniła niebezpieczeństwem; roztropna Emma zrozumiawszy jéj poświęcenie, objęła wygnankę drobnémi rączkami, i całowała ją serdecznie, a ona nawzajem pieszcząc dziecinę, okrywała ją starannie przed zimnem i wilgocią.

— Gdybyś chciała usiąść, lub położyć się Emmo, to jabym pomogła Sarze, która się już widzę spracowała nad wiosłem.

— Sara! ta którą często spotykałam biegając z tobą po polach i ogrodzie?— Pomoż jéj kochana! ja tu sobie posiedzę spokojnie z Nemrodem i patrzéć na was będę.

— Nie troszcz się o moje utrudzenie, rzekła Sara:—nieraz ja po całych dniach wiosłem pracowałam, a potém, to już nie tak daleko! widzisz ten ciemny pas na przeciwko, to .wybrzeże zaroślami pokryte.

— Jednak dłużéj dziś płyniemy niż zwykle.

— Bo téż dziś zamiast dwóch wioślarzy macie tylko dziewczynę, która z początku za leniwo może wzięła się do pracy.— Wreszcie, jeżeli koniecznie chcesz pośpiechu, siądź przy sterze, i pilnuj żeby statek nie zbaczał z prostego kierunku.

Przez jakiś czas trwało milczenie; przerwała je Emma:

— Nie przybliżamy się wcale do brzegu;— nie umiesz widać przewozić Saro!

— Ja sama nie rozumiem co to znaczy; zdaje mi się że bacik pruje szybko wody, a zawsze w jédném od wybrzeża oddaleniu jesteśmy.

— Możeby rozpiąć żagiel? spytała niespokojna Marja.

— Sprobuję; jest wprawdzie trochę wiatru od ziemi, może nas popędzi.

Odpięła sznury wstrzymujące lekki żagiel, wiatr wypełnił wkrótce powiewne płótno, i widocznie prędzéj posuwał lekkim statkiem, a jednak ów ciemny pas do którego wygnanki tak usilnie dążyły zawsze równie daleko, równie niewyraźnie odbijał się na końcu widnokręgu.— Powoli już gwiazdy gasnąć poczęły na sklepieniu nieba, w miejsce łagodnego ich światła nastał mrok ciemniejszy, a po nim blado-różowe

światło, niby poprzednik jutrzenki.— Emma złożywszy głowę na miękkiéj ławeczce znudzona milczeniem usnęła znowu; Sara z całéj siły robiła wiosłem, Marja stérowała uważnie, obie niby jedynie pracą zajęte ukradkiem tylko spoglądały na siebie; nakoniec spotkały się ich oczy:— pomimo czerwonego blasku rozlewającego się po całéj morskiéj przestrzeni, twarze ich blade były jak marmur, a na rysach boleść i przerażenie osiadło.

— Saro! my nie do Emmy-house płyniemy, wyrzekła zcicha Marja.

— Widzę to oddawna; wschodni wiatr nas pędzi, ale nie mamy wyboru, trzeba spieszyć do lądu jakiegokolwiek, bo patrz! jak czerwono słońce powstaje, ranek nie będzie spokojny na morzu.

— Byłyżbyśmy na otwartém morzu?

— Lękam się tego, lecz prawie pewną jestem.

— Mój Boże!.... A ta ziemia co przed nami uciekać się zdaje, czyliż nas przyjmie gościnnie?

— Życie nam przynajmniej ocali.

Znów przeszedł czas jakiś;— Marja ująwszy drugie wiosło pomagała towarzyszce, bo żagiel wiatrem wzdęty stérnika zastępował; co chwila wygnanki ocierały pot z czoła, co chwila Sara powtarzała:

— Co za duszące powietrze! o! gdyby czémprędzéj stanąć u brzegu!

— Czy jeszcze płyniemy? zawołała Emma powstając w głębi statku.— Ja nie chcę płynąć tak długo, ja chcę być w domu!

— Staniemy niedługo, patrz Emmo! naprzeciw nas, widzisz.... Marja chciała powiedzieć:— widzisz ziemię?.... lecz głos jéj zamarł na ustach, opuściła ręce w rozpaczy, wzniosła oczy w niebo, i zwracając się do Sary: zmienionym wyrzekła głosem: — To nie ziemia!....

Sara od chwili już opuściła wiosło, zakryła twarz rękami, i w rozpaczy wstrząsając głową przemówiła:

— To chmury!.... a w nich burza!....

— Chmury.... burza.... a ziemia? gdzież ziemia? ja chcę na ziemię, do domu! Do Emmy-house, do Sydnej, gdzie chcecie płyńcie, ale do lądu koniecznie! bo ja się boję tak długo być na morzu, ja jeszcze nigdy tyle wody nie widziałam!

Płaczliwy głos dziecięcia boleśnie przejmował serce Marji, i Sara chociaż mocniejsza i mniéj tkliwa, załamała smutnie ręce, słuchając skarg Emmy.

— Wy widzę obiedwie uwzięłyście się na mnie, niedobre! chcecie mnie może utopić? o! gdyby mój wuj mnie słyszał, gdyby moja matka żyła!

Ostatnie wyrazy wywołały gorzkie łzy na lica Marji.

— Tak, rzekła tuląc dziecię do piersi, gdyby

twoja matka żyła, nie byłabyś teraz o krok od zguby; onaby się była zdała na Boga, zaufałaby Jego opatrzności, a ja niebaczna! uprzedzić go chciałam.

Na widok cierpienia Marji, Emma pieścić ją zaczęła.

— Nie! tybyś mnie zgubić nie dała! ale kiedyż, kiedy wysiądziemy z tego statku? już mi się i jeść chce!

Biedna wygnanka wzniosła oczy do nieba, ale domyślna Sara schwyciła podróżną torbę którą w ucieczce rzuciła była na dno bacika, na traf zapuściła w nią rękę i wydobyła zawiniątko, którém gospodyni wiejskiego mieszkania Bligha, podług zwyczaju swego opatrzyła powracającą do Sydnej Emmę, by na przypadek apetytu w przeprawie posilić się mogła.— Niewielki to był zapas, bułka, kurczę pieczone, i flaszka limonady, bardzo stosowne na przekąskę w przejażdce, były teraz jedyną żywnością czterech istot, bo trzeba tu policzyć i Nemroda, który co chwila wyglądając z pod ławki zdawał się równie dziwić tak długiéj podróży.— Marja udzieliła posiłku tego połowę dziecięciu, resztę zachowując na przyszłość, a lubo Emma serdecznie zapraszała obie wygnanki by część tego spożyły, żadna z nich nie miała chęci do jedzenia;— Nemrod tylko z wdzięcznością przyjął kostki od pieczystego, i znów na

statku zupełna nastąpiła spokojność.— Ale nie tak było w powietrzu; wiatr dął coraz mocniéj;— już przezorna Sara odpięła żagiel, już lekką osłonę pokrywającą tylną część statku nakształt baldachinu zdjęła, a jeszcze bacik tak się silnie kołysał, że niebezpiecznie było stać, a nawet siedziéć,— ze wszystkich stron ściągały się czarne chmury, deszcz zimny i przenikliwy padać zaczął, fale piętrzyły się coraz wyżéj, coraz mocniejsza trwoga ogarniała żeglarki, Emma ze drżeniem składała rączki, Nemrod nawet skomlił żałośnie.

— Jeżeli się jeszcze cokolwiek znam na morzu, rzekła nakoniec Sara, to nam nie wiele czasu pozostaje.

— Polećmy więc dusze nasze Bogu, i czekajmy co nam przeznaczy.

To mówiąc Marja uklękła, i objąwszy ręką słupek od zasłony, wolnym i wyraźnym głosem poczęła odmawiać modlitwę używaną w godzinie skonu; Sara i Emma mimowolnie poszły za jéj przykładem, a to odwołanie się do miłosierdzia Najwyższego, to wyrzeczenie się życia w samym kwiecie wieku i zdrowia, nową, cudowną prawie odwagą natchnęło ich serca.— Twarz Marji szczegolniéj, po skończonych modłach taką jaśniała ufnością i pogodą. jak gdyby słońce z za chmur wyjrzawszy ukazywało jéj bliski cel drogi.

— Teraz, rzekła powstawszy; czyńmy co można, a Bóg nam pomoże!

Sara podziwiając męztwo i przytomność przyjaciołki, pomagała jéj dzielnie;— w niedługiéj chwili, rozciągając gęste, smołą napuszczone płótno żaglowe na jednym końcu bacika, i przytwierdzając do ławek, przybitych w koło, utworzyły niby namiocik, pod którym na kobiercu złożyły Emmę, okryły ją czém tylko było można, oddały pozostałe jedzenie, a przy ciasném wnijściu wskazawszy Nemrodowi miejsce spoczynku, klękły jeszcze obie, i trzymając się masztu ostatnie modlitwy posłały w niebo.

— Boże! mówiła wkońcu Marja: mnie tylko ukarz za zuchwalstwo moje!

— Marjo! wołała smutnie Sara, przebacz! to ja radą i nierozwagą wtrąciłam cię w tę przepaść.

— Matko! ojcze! Betty! żegnam was! moja rodzinna ziemio! nie ujrzę cię więcéj.

— Ja tylko ciebie jedną mam na świecie Marjo! ale ja cię nie żegnam, jam z tobą do śmierci!

Ręce dwóch dziewic splotły się w ostatniém objęciu, w tejże chwili zaciemniło się niebo, zabieliło się morze nawałem piany, brudne wały wzniosły się ze wszech stron jak olbrzymie góry, na statku już się utrzymać nie było można, i

obie wygnanki padły na dno, każda jedną ręką ściskając towarzyszkę, drugą przytrzymując pokrycie chroniące Emmę od burzy.

XVI.

Ziemia!

Jak długo szalał wicher miotający falą, tego nikt z będących na statku oznaczyćby nie był w stanie, lecz kiedy po lżejszém poruszeniu można było wnieść że się burza uspokaja, kiedy Marja i Sara powstały z wody zajmującéj bacik do połowy, już słońce oswobodzone z czarnéj chmur zasłony, przedzierając się przez resztę morskich wyziewów, ukazywało tylko ostatnie promienie, a jasna jego głowa tonęła w widnokręgu.

Najpierwsza myśl Marji do Emmy się zwróciła; — kobierzec na którym ją była złożyła, rozpostarty na niskiéj ławeczce uniknął zamoczenia, dziecię blade, zziębnięte, spało snem utrudze-

nia, flaszka z limonadą dobrze zatkana stała przy jéj nogach, lecz reszta żywności stoczywszy się na dno, przesiąkła morską wodą, a tak do wszystkich udręczeń, przybyła Marji jeszcze obawa rychłego głodu, nie dla siebie, lecz dla biednego i tak już wycieńczonego dziecięcia.

Nie tu przecięż ograniczały się jéj troski; zdając przyszłość na wolę Boga, miała przed oczyma bliskie, i groźne niebezpieczeństwo;— bacik do połowy napełniony wodą, płynął ciężko, i nasiąkając wewnętrznie, coraz bardziéj zanurzał się w morze;— trzeba było wyczerpać wodę, a nie łatwa to rzecz była, nie mając innych prócz wioseł narzędzi.— Niezrażone dwie żeglarki wzięły się jednak do pracy, i po długich usiłowaniach udało im się ulżyć cokolwiek statkowi.

Noc się tymczasem zbliżała; Emma zbudzona wyrzekała na głód i zimno, a za cały posiłek ledwie cokolwiek chłodzącego napoju udzielić jéj było można.— Marja i Sara, więcéj jeszcze potrzebowały orzeźwienia, bo od doby nic do ust nie wzięły pomimo tylu wzruszeń i utrudzenia.— Po wieczornym zmroku zajaśniał księżyc, uspokojone morze szemrało tylko zcicha, lekki wiatr wschodni popędzał bacik, Emma osłabiona wsparła głowę na kudłatéj szyji Nemroda, a dwie wygnanki koleją wspierając się na ławkach, pokrzepiały snem wyczerpane siły, i od

czasu do czasu, kawałem gęstego płótna wybierały ze statku wodę, sączącą się w niego nieznacznie.

Noc minęła bez przygody, ranek zabłysnął pogodnie, złote promienie słońca zdawały się uśmiechać do naszych żeglarek, i szczęśliwszą przyszłość zapowiadać, a jednak niebezpieczeństwo co chwila mocniéj im zagrażało;— mimo wszelkich usiłowań niepodobna już było wyczerpnąć wody cisnącéj się do batu, który coraz wolniéj, coraz ciężéj płynął, coraz głębiéj w morze opadał, i już brzegi jego zaledwie na pół stopy nad powierzchnią wody się wznosiły, już im ledwie parę godzin życia zostawało.

W oddaleniu, ku zachodowi, ciemny pas zdawał się pływać w przestworzu, Sara i Marja patrzyły w niego bez przerwy, lecz raz już tak okropnie zdradzone nie śmiały ufać nadziei, jaką ten widok napełniał ich serca.— Wreszcie Sara klasnąwszy radośnie w ręce zawołała:

— Do wiosła Marjo! godzina pracy, a staniemy u brzegu!

Z niedowierzaniem spójrzała Marja na towarzyszkę, a potém z litości i żalu wyrazem zwróciła oczy na Emmę, która utrudzona, zgłodniała, bezwładnie leżała na kobiercu, i jakby przez sen dosłyszawszy słów Sary powtórzyła:

— Ach! do brzegu!

— Marjo nie ociągaj się! zawołała pracująca już Sara, tą razą to ziemia prawdziwa, widzę ptaki unoszące się nad wodą.

Na jéj twarzy malował się taki zapał, taka ufność na zbladłe od dwóch dni lica wystąpił tak żywy szczęścia rumieniec że Marja nie ufnością, lecz tajemnym wiedziona pociągiem chwyciła również za wiosło, i statek prędzéj, śmieléj, sunąć się zaczął ku upragnionéj stronie.

— Ach! czemuż nam fale żagiel uniosły! westchnęła Sara.

— Na cóżby się przydał? patrz! już woda tylko na kilka cali od wierzchu, statek nie pójdzie daleko.

— Mniejsza o to! niech tonie, byle bliżéj od brzegu.

Niezwykły od jakiegoś czasu ruch statku, wyrwał Emmę z odrętwienia; wsparła się na ręku, i z podziwieniem patrzyła na swoje towarzyszki.

— Do ziemi płyniemy! rzekła Marja dziecięciu głosem od radości stłumionym:— Bóg nie chce naszéj zguby!

Nadzieja przywróciła nieco sił dziewczynce, złożyła rączki, zwróciła oczy ku ziemi, któréj zarysy coraz wyraźniéj widać było, i w téj postawie, z przetwartemi usty czekała ocalenia.

Za każdém poruszeniem przechylał się statek, za każdém przechyleniem czerpała się weń wo-

da, zimny pot płynął po czole Marji,— utonąć u brzegu byłoby okropnie!

— Umiesz ty pływać Marjo? zapytała Sara.

— Nie!

— Nemrod! zawołała przemytniczka.

Pies powstał z ławki na któréj się od doby nieruchomie prawie przeciągał, i z podziwieniem poglądał, czegoby od niego żądano? — Sara tymczasem darła chustkę wełnianą którą dotąd miała na szyi, i długie z niéj pasy wiązała jeden do drugiego.

— Co chcesz czynić? spytała Marja.

— Przywiązać dziecię do grzbietu Nemroda; widzisz że wpół kwandransa statek zatonie, pies więc ocali dziecię, a ja ciebie.

— Na to nie pozwolę! ty weź Emmę Saro! ona tu jedna cierpi bez własnéj winy. Ja się uchwycę za obrożę Nemroda, a jeżeli on dopłynie, i ja nie utonę!

— Więc zginiemy razem! bo ciebie ratować ja tylko mam prawo! odrzekła z dzikiém postanowieniem Sara, i założyła ręce na piersiach; ale wnet ująwszy Emmę, położyła ją na grzbiecie Nemroda, długim pasem obwiązała ich mocno oboje, drobne rączki przytwierdziła do skórzanéj obroży, a potém chwyciwszy sznur który się był od żaglu przy maszcie pozostał, zarzuciła go szybko za pas Marji, związała końce

jego i przełożywszy przez swoje ramiona, z tkliwym wyrazem patrząc na przyjaciółkę, rzekła:

— Uściśnij mnie Marjo! bo nawet ocalić ciebie, nie śmiem bez zezwolenia.

Marja widząc że opór byłby daremnym, objęła z uczuciem wdzięczności i niechęci szyję przemytniczki która w mgnieniu oka rzucając się z bacika, silnémi jeszcze ramiony poczęła spokojne morze rozpieracć.

— A Emma! Emma! krzyknęła Marja.

Tuż obok niéj ukazała się kosmata ogromna głowa Nemroda płynącego prędzéj od Sary, i bez zmoczenia go prawie unoszącego omdlałe dziecię.

W pół godziny potém, żeglarki uczuły pod stopami miałki piasek wybrzeża, Nemrod zmęczony rozciągał się w cieniu skały chwytając rozwartą paszczą powietrze, a orzeźwiona Emma głaszcząc go słabą rączką płakała razem z głodu i radości.

(Dalszy ciąg nastąpi)

KWIAT NIEZAPOMINKA.

Sierota na świecie,
W rannych latek kwiecie
Łzami twarz rosiła,
Ni ojca, ni matki,
Ni rodzinnéj chatki,
Gdzieby się schroniła,
Jéj smutek głęboki;
A świat tak szeroki,
W świecie tyle ludzi!
I ziemia bogata;
A jéj zdarta szata
Litości nie budzi.
Więc sierota biedna
Idzie sama jedna
Z ojców swoich wioski.

Ale idzie społem
Ze stróżem aniołem.
On łagodzi troski;
I myśl jéj podaje,
I dziecina staje,
I rączęta skromnie
Ku niebu złożyła,
I Bogu mówiła:
„Nie zapomnij o mnie!"
Niebiescy anieli
Prośbę usłyszeli,
Zabrali ją z ziemi,
I Bogu podali—
Sami zapłakali
Łezkami rzewnemi.
Łzy ich jak gwiazdeczki
Spadły na kwiateczki
Rosnące u brzega,
A z każdéj téj łezki
Kwiateczek niebieski,
Już w górę wybiega!....
Dziecina szczęśliwa
Cudne kwiatki zrywa,
Układa w równianki,
I do miasta bieży
Aby je młodzieży,
Rozprzedać na wianki.

Tam— pani bogatéj
Wzrok znęcają kwiaty,
Lecz gdy je kupuje
Zarazem dziecinę
O dom, o rodzinę
Mile zapytuje.
I tkliwie wzruszona
Tuli ją do łona,
I z sobą zabiera,
I biednéj sierocie
Dostatków swych krocie,
I serce otwiera.
Tak dziecina miła
Cudów doświadczyła
Opatrzności ręki,
To też wdzięczne zawsze
Za losy łaskawsze,
Niebu niosła dzięki,
A mieszkańcy wioski
Uznając cud Boski
Nad ową dziewczynką,
Nosili przy boku
Kwiatek z nad potoku,
Zwiąc *niezapominką*.

W. T.

SPIS RZECZY

W TOMIE V. ZAWARTYCH.

Proza

Wiersze